



GABRIELA ZAPOLSKA

---

**Menażeria ludzka**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

GABRIELA ZAPOLSKA

# Menażeria ludzka

## Żabusia

Była jasną blondynką, jasną jak słońce promienne...

Drobna jej, maluchna buzia; różowa i biała, śmiała się jakimś dziecinnym, naiwnym śmiechem, żłobiącym w pulchnych policzkach dwa rozkoszne dołki.

Z całej jej postaci zdawała się wydzielać woń właściwa różowym hiacyntom, a gdy ubrana w różową *matinée*<sup>1</sup> przesuwiała się ze śmiechem z pokoju do pokoju, jakaś srebrna smuga znaczyła jej przejście, smuga, którą pozostawia po sobie wschodząca jutrzienka.

Śmiała się ona zawsze, ta rozkoszna, jasnowłosa kobietka — śmiała się leżąc jeszcze w kołysce, potem u kratak konfesjonału — wreszcie u stopni ołtarza, gdy wlokła za sobą szumiący tren jedwabnej białej szaty.

Śmiech powitał nawet krzyk jej córki — bo nawet w cierpieniach umiała coś zabawnego wynaleźć.

Była bardzo pobożną i co dzień prawie biegła do kościoła.

Miała ładną książeczkę oprawną w kość słoniową i zbrudzoną na kartkach, które czerniły się modlitwą *Za męża i rodzinę*.

To była jej świąteczna książka — na co dzień miała wielkiego *Dunina*, którego czytała, strzelając oczkami na lewo i prawo lub przechylając główkę na atlasową koldrę swego eleganckiego łóżka.

Lubiła łakocie i miała pod poduszką kilka daktyli, które jadła przebudziwszy się w nocy, chichocząc jak szalona.

Przepadała za wanilią i miała jej zawsze pełne kieszenie, lubiła grać w loteryjkę, przy tym szachrowała dość zręcznie.

Córkę swoją — małą, pucolową dziewczynkę — przezywała „Nabuchodonozorem<sup>2</sup>”, a męża „Rakiem”. Siebie samą, jakkolwiek miała na chrzcie św. imię Zofii, nazywała „Żabusią”. Często siadywała na dywanie i bawiła się z córką, przy czym następowała kłótnia o zabawki, które matka z córką wydzierały sobie wzajemnie.

Mąż, dobry, poczciwy filister<sup>3</sup>, urzędnik w jakimś towarzystwie asekuracyjnym, podkręcał węża i uśmiechał się z zadowoleniem.

— Dziecinna! Ach, jaka dziecinna ta moja Żabusia!

Ona z krzykiem zrywała się z ziemi, siadała na kolanach męża i rozpoczynała śpiewać...

Jechał pan,  
Za nim chłop,  
A za nim Żydóweczki  
Pogubiły patyneczki<sup>4</sup>...

Śpiewając, wyciągała z mężowskich kieszeni pieniądze i z powagą dawała mu dziesięć groszy:

<sup>1</sup>*matinée* (fr.) — tu: poranny strój kobiety. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*Nabuchodonozor* — imię królów babilońskich. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*filister* (pogardl.) — mieszczanin. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*patyneczki* — rodzaj płytkich pantofli. [przypis edytorski]

— Masz, Raku, na czarną kawę!...

Resztę pieniędzy chowała do toaletki. I Rak poddawał się tej tyranii, jakkolwiek dzięć groszy dziennie, nawet dla urzędnika w towarzystwie ubezpieczeń, chyba za mało!...

Jakże się jednak sprzeciwić tej rozkosznej istocie, która z całą naiwnością patrzy mu w oczy i biały, pachnący karczek do pocałunków nadstawia? Brał Rak ową wytartą dzięściatkę i całował Żabusię, znajdując w tym wiele rozkoszy.

Była więc bożyszczem całego domu.

Kochał ją mąż, pomimo że tyranizowała go nieznacznie.

Kochało dziecko, pomimo że wydzierała mu zabawki i wyrzywała włosy, czesząc dwuletnią dziewczynkę à la Mikado<sup>5</sup>.

Kochały sługi, pomimo że grymasiła bezustannie i czasem całe ranki siedziała w kuchni.

Nad wszystko jednak ubóstwiali ją rodzice.

Tych dwoje starych ludzi w Żabusi swej widziało uosobienie cnót i doskonałości wszelkich.

Żabusia — jedyne, wypieszczone dziecko — za wzór była wszystkim kobietom stawiana...

A gdy co wieczór zgromadzono się dookoła stołu oświetconego wiszącą lampą, Żabusia, wycinająca lalki z tektury lub lepząca abażury, była punktem koncentrującym wszystkie spojrzenia.

Ku niej zwracano się, uśmiechano, przesyłano pieśczośliwe słowa.

Ona — różowa, biała, wesoła — poddawała się tym pieśczołom, tej wielkiej miłości, jaka ją otaczała, kąpiąc się niejako w ciepłe przywiązania i rozsiewając dookoła promienie szczęścia rodzinnego. Każdemu odwzajemniała się dobrym słowem, uśmiejchem, a drażniąc Nabuchodonozora, głaskała dziecko po głowie; potraćciwszy sługę, uśmiejchała się do niej, nazywając „pocziwą idiotką”...

Nie — stanowczo nikt się nie mógł na Żabusię gniewać, lecz przeciwnie, każdy musiał ją uwielbiać jako wcielenie dobroci, wdzięku i prostoty...

Była ona uosobieniem kobiecości.

Miała tyle tkliwości w spojrzeniu, w głosie, w ruchach łaszającej się kotki, że rozkosz było patrzeć, gdy na paluszkach skradała się, by uszczypnąć drzemiącego męża lub nasypać pieprzu w otwartą buzię córki...

Śmiała się przy tym rozkosznie i wdzięcznie przeginając, zasypywała pieśczołami przerażonego męża lub skrzywioną dziecinę... mówiła przy tym cieniuchnym głosikiem:

— Nie gniewaj się na Żabusię!...

Więc mąż uśmiejchał się do tego białoróżowego zjawiska, dziękując Bogu, że dziecinne usposobienie żony pozwoli mu nie lękać się o naruszenie z jej strony wierności małżeńskiej...

I rzeczywiście — kręcąca się po domu z wesołą piosenką na ustach, ubijająca piankę w kuchni, przyszywająca guziki do mężowskiego palta lub nicująca<sup>6</sup> krawaty, była uosobieniem kochającej żony i „milutkiej” kobiety.

Miewała jednak chwile, w których przychodziły jej na myśl poważniejsze refleksje.

Na przykład po przeczytaniu *Pani Bovary*, zamknąwszy książkę, usiadła u nóg męża.

W ręku trzymała kawałek *newchatelu*<sup>7</sup>, lecz nie gryzła go, ale pogrążyła się w zadumie.

Mąż, czytając „Kuriera”, nie przerywał ciszy.

— Wiesz, Raku — wyrzekła wreszcie — ta kobieta to zdradzała męża... niegodziwa, prawda?

— Hm — odparł zagadnięty — jeżeli mąż był niedołęga...

Lecz nie mógł dokończyć.

Żabusia porwała się nagle jak szalona.

<sup>5</sup>*mikado* — tytuł cesarza Japonii. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*nicować* — wywracać na drugą stronę. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*newchatel* — gatunek sera szwajcarskiego. [przypis edytorski]

— To nie upoważnia! — wołała — i ty, Raku, jesteś niedołągą, a przecież cię nie zdradzam!...

— O — protestował mąż.

— Nie ma... o! Upiec na rożnie taką kobietę... nic jej nie usprawiedliwia... to potworne!... W dodatku pani Bovary miała dziecko, o, takiego Nabuchodonozora!...

I tu Żabusia, porzuciwszy ser, chwyciła w objęcia córkę, która głośnym krzykiem zaprotestowała przeciw temu gwałtowi.

Rodzice tymczasem spoglądali po sobie.

O, tak! — oni wychowali Żabusię w świętych tradycyjnych przepisach cnoty i surowości. Ona wie, czym się brzydzić na świecie, co jest nikczemnością, fałszem i podłością...

To anioł!

Anioł domowego ogniska, który śmiechem swym troskę z czoła męża spędza, jest chlubą i podporą rodziców, troskliwą i czułą matką!...

To anioł ta Żabusia, kręcąca się w tej chwili po pokoju z szelestem jedwabnego szlafrocza...

Uosobienie wdzięku, miłości, niewinności, cnoty!...

Nagle Żabusia zatrzymuje się w tańcu.

Spogląda na zegar i kołysząc się, z wolna podchodzi ku mężowi.

— Żabusię głowa boli! — mówi, sadzając córkę na kolanach męża. — Żabusia pójdzie na spacer...

— Będę ci towarzyszył... — woła mąż.

— Nie chcę! — protestuje z miluchnym dąsem — pójdę sama! Rak tu zostanie i będzie Nabuchodonozorowi cacka<sup>8</sup> ustawiał!...

— Ależ...

— No! Sprzeciwiasz się?

— Nie... tylko kawa!...

— Pójdiesz, jak wrócę... wtenczas dam ci dziesiątkę, inaczej z czym Rak do cukierni pójdzie?

Mąż jeszcze próbuje opozycji.

— Żabusia tak chce! — woła młoda kobieta, uśmiechając się zalotnie. — Żabusia bardzo prosi, główka ją tak boli!...

Rodzice uważają za stosowne interweniować.

— Ależ idź, drogie dziecko!... Przejdź się! — mówi ojciec.

— Pobladaś, cierpisz widocznie — dodaje matka.

I za chwilę przez pokój, w którym jest zgromadzona cała rodzina, przesuwa się Żabusia w nowym sukiennym kostiumiku, okładanym szynszylami.

Wygląda jak młodziuchne dziewczątko w tym obcisłym żakieciku, a nowe buciki skrzypią z każdym krokiem.

Całuje ręce rodziców, mężowi nadstawia usta do pocałunku, córkę głaszcząc po głowie i żegnana, obdarzona pieścizotami, staje jeszcze w w progu, przesyłając pocałunki końcami palców, ubranych w duńską rękawiczkę.

— Pa!... pa!... — woła — Pa, Raku, pa, Nabuchodonozorze!... pa, mamusi i ojczusiowi... a niech Rózia za pół godziny po sucharki pójdzie!... pa!!!

I cicho znika we drzwiach, pozostawiając po sobie gamę srebrzystego śmiechu i wspomnienie uosobienia niewinnego wdzięku kobiecego.

\*

Przeciągły pocałunek przerwał ciszę.

Wśród bladego światła przyciemnionej lampy zamajaczyła nagle drobna postać kobieca, powstająca z otomany.

Kaskada jasnych włosów, rozsypana na zarumienione ramiona, drżała złotawym blaskiem; oczy błyszczącym fosforycznym ogniem migotały u tej kobiety, jak dwa błędne ogniki; usta namiętnie rozchylone, zgniecione w świeżym pocałunku miłosnym, zachowały jeszcze wilgoć zmysłowej ekstazy.

<sup>8</sup>cacko — tu: zabawka. [przypis edytorski]

Wszystko w tej postaci tchnęło zmysłowością, szalem bachantki<sup>9</sup> poddającej swą pierś pod uściski satyra<sup>10</sup>.

Stała, wyciągając ręce wysoko nad głową, przechylając się w tył, wciągając jakby w siebie cząstkę miłosnego dreszczu.

Stojący przed nią mężczyzna zapalał właśnie papierosa.

— Mogłabyś zostać chwilę.

— O, nie, nie — odparła kobieta — muszę wracać, aby podejrzeń nie ściągać.

I zaczęła szybko nakładać żakiet i resztę ubrania. On jej pomagał, szukając po całej pracowni porozrzucanych drobiazgów, które przed chwilą zrywali oboje drżącymi od namiętności rękami.

Kapelusz zapadł gdzieś poza wielkie sztalugi, trzeba było go szukać... odsuwać draperię.

Oczy ich spotkały się, ręce splotły się w uścisku. Cała bezgraniczna zmysłowa potęga zadrgała w tym jednym spojrzeniu. Gorąco aż biło od tych dwojga młodych ludzi ukrytych w cieniu odosobnionej pracowni malarskiej na ustronnej ulicy.

— Kiedy cię zobaczę?... — zapytał mężczyzna, cały drżący pod wpływem dotknięcia jej rąk rozpalonych.

Ona wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, kiedy się wyrwę, niełatwo to przychodzi...

On wstrzymywał ją jeszcze, obejmując miłosną pieśczętą.

— O, ale... niedługo!

Kobieta spojrzała mu znów w oczy.

Zielone błyski strzeliły spod jasnych rzęs...

— Szaleńcze! — wyszeptła zdławionym od wzruszenia głosem — czyż ja mogę istnieć, nie widząc cię dni kilka?...

A do progu już zwrócona, dodała pieśczętliwie:

— Kochaj swoją... Żabusię!...

Portiera<sup>11</sup> zapadła, kobieta znikła pozostawiając po sobie całą smugę płomiennej namiętności drgającej w powietrzu.

Mężczyzna powstał chwilę, uśmiechając się jakoś ironicznie.

Po czym otrząsnął się, położył na otomanie i gwizdząc walca, zapalał zgasłego papierosa.

Nabuchodonozor tęsknił bardzo do mamy. Tęsknił i Rak, tęsknili i rodzice siedząc dokoła stołu, na którym nakrywano do herbaty.

Na białym obrusie rozstawiono filiżanki, a stary ojciec upominał pokojówkę:

— A uważaj, aby samowar gotował się dobrze, bo pani pewno zmarznięta powróci...

A matka układała sucharki, chowając lepiej lukrowane na spód, aby tylko dla Żabusi się zostały.

— Zimno jest, gdzie też ona tak długo bawić<sup>12</sup> może? — wyrzekł wreszcie mąż.

— Wstąpiła pewnie do kościoła — w adwent lubi przecież tam chodzić wieczorem — odrzekła matka.

— Jeszcze się zaziębi.

— Bóg ją od złego ochroni!...

Nastało milczenie.

Tylko Nabuchodonozor pociągał noskiem, bo cierpiał na katar okropnie.

Nagle drzwi otwarły się z trzaskiem.

We drzwiach stanęła... Żabusia.

Cała była jeszcze różowa, w oczach grały dogasające namiętne blaski.

Wszyscy rzucili się do niej z krzykiem:

— Żabusia!!!

<sup>9</sup>*bachantka* (mit. rz.) — ogarnięta szalem kobieta z orszaku Bachusa, boga wina. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*satyr* — bożek z kozimi nogami, symbol pożądania. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*portiera* — zasłona. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*bawić* (daw.) — przebywać. [przypis edytorski]

Ona witała kolejno każdego, rozsypując całusy jak grad cukierków. Opowiadała przy tym wiele o zimie i o modlących się ludziach po kościołach.

Organy pięknie grają, świec masy płoną, a Żabusia siedziała w kąciku, a potem na spacer pięknie poszła...

Zrzuciła żakiecik i przygładziła rozrzucone włosy.

— Herbatki! Prędzaj! — wołał ojciec.

— Ja naleję!... — dodawała matka. — Biedactwo przeziębło, gotowa zachorować.

Ale Żabusia siedziała już na kolanach męża i śpiewała:

Jechał pan,  
Za nim chłop...

Nabuchodonozor uszczęśliwiony opierał swą główkę o suknię, patrząc w oczy matki, w których gasły kolejno zmysłowe ogniki.

— Masz dziesięć groszy — wołała Żabusia dając mężowi monetę — idź, zabaw się ty teraz... biedny... Raku!

## Koteczek

— Co chcesz do herbatki, koteczku?

— Cokolwiek!...

— Ale przecież!...

— Coś taniego!...

— Może szynki?...

— Hm!... Zaraz trzeba brać pół funta.

— Po co? Dla mnie nie trzeba, ja mam jeszcze pieczeń z obiadu!

— Tak?... Ale zawsze to już duży wydatek, nie! — nie potrzeba. Zjem bułeczkę z masłem, mnie to wystarczy zupełnie. Zresztą oszczędzać musimy, daleko jeszcze do końca miesiąca...

Młoda kobieta spojrzała z uwielbieniem na męża.

Jej koteczek byłby w stanie zagłodzić się z oszczędności, gdyby ona na to pozwoliła. Prawda, że pensyjka bardzo szczupła, gratyfikacji nie ma podobno żadnych, a procent z jej posagu zaledwie piąty.

Przynajmniej tak koteczek powiada.

A co kotucho powie — to święte. Żona ślepo ufać powinna mężowi. Tak ją od dziecka uczono.

Tymczasem koteczek przeczytał „Kuriera” i ziewając powstał z krzesła.

Był to wielki, rosły mężczyzna, szeroki w plecach, szeroki w karku, szeroki w czole. Zdrowie, siła były aż odurzającym zapachem z tych wspaniale rozwiniętych członków dobrze odżywianego człowieka, twarz mieniła się niemal różową cerą. Jasne, delikatne włosy uczesane dość starannie, zakrywały mu wielką łysinę, usta foremnie wykrojone miały w sobie zmysłową wilgoć, jakby od świeżych jeszcze pocałunków lub połykanych ostryg, oczy senne, o namiętym przywarciu powiek, patrzyły spod jasnych rzęs na wpół łagodnie, na wpół złośliwie.

Ręka biała, zgrabna, o długich kształtnych palcach, gładziła starannie uczesaną brodę, od której z daleka rozchodziła się woń ateńskiej wody.

Ubranie letnie, jasne, zdrowa cera, wreszcie cała postać, wyprostowana, nie zgarbiona, nie skurczona bynajmniej, nie miały cech charakterystycznych zwykłego biuraliste, spleśniałego w cuchnącej atmosferze wilgotnego biura.

Koteczek był wprawdzie urzędnikiem, ale jednym z tych pomocników buchaltera, którzy po biurach kolejowych śpią na ceratowych kanapkach lub zadają tłuste szarady do rozwiązania swym kolegom, za co pobierają pensję, a nawet i gratyfikacje.

Dziś — koteczek wrócił wcześniej trochę z biura, zjadł skromny obiadek, który sam zadysponował, ze smakiem, przespał się dwie godzinki wśród kościelnej ciszy na swej

Mąż, Żona, Skąpiec

ulubionej sofie, a teraz, ubrawszy się, czytał „Kuriera” i czekał na herbatkę, którą mu żoncia poda.

Później pójdzie przejść się trochę.

Ona zostanie w domu, jutro pranie, bieliznę policzyć trzeba — wreszcie koteczek zwykle sam wychodzi.

Żoncia zostaje, już się do tego przyzwyczaiła. Teraz do herbaty przygotowuje chodząc jak cień w swych biednych, przydeptanych pantofelkach, taka chuda, mizerna, znędzniła przed czasem. Ma zaledwie dwadzieścia pięć lat, a trudno byłoby oznaczyć jej wiek, patrząc na zapadłe piersi, na żółte plamy dokoła oczu, na nos wąski, wydłużony, na całą postać schyloną w tym bolesnym pochyleniu, właściwym chronicznie cierpiącym kobietom, które zasypiają obłożone mokrymi płatami, a melisę pochłaniają garncami prawie.

I teraz, gdy zdejmuje z półek kredensowych filiżanki i wyciera je czyściuchną serwetką, krzywi się boleśnie, tłumiąc jęk, który jej się na usta wydobywa.

Lekarz mówił, że cierpienie jej pochodzi głównie z braku sił, i zalecił buliony, stare wino, surowe mięso... ba! nawet wyjazd do Krynicy... Ale lekarzowi łatwo mówić. Skądże ona wziąć by mogła na takie zbytkowne rzeczy, ona, której koteczek z najwyższą trudnością zaledwie jest w stanie tę skromną kwotę co pierwszego na utrzymanie domu wręczyć?...

A potem, gdy zabraknie... A! niech Bóg zachowa! Koteczek nie doda ani grosza, choćby głodem zamrzeć przyszło. Pójdzie na spacer bez obiadu, bez herbaty, a nie doda nic, nawet z przyszłego miesiąca nie zaawansuje paru rubli...

Zapewne nie może.

Ona mu tego za złe nie ma. O! Gdzieżby znowu. Gdyby miał, to by dał... Koteczek ma przecież anielskie serce... niedawno kupił jej skórzaną broszeczkę za dwa złote; kiedyś znowu pozwolił jej... natrzeć włosy wodą ateńską.

O! Gdyby on miał, dodałby jej nieraz do miesięcznej pensji... raz nawet dał jej na to — słowo honoru — choć ona bynajmniej nie żądała takiego dowodu, ona wierzy mu we wszystkim.

Tylko — jakże to można pozwolić, aby koteczek jadł do herbaty samą bułeczkę?!...

Trzeba posłać po szynkę koniecznie, choćby się miał rozgniewać, zresztą ona wie, że koteczek pokrzepić się musi, wszak większe pół dnia w biurze pracuje!

A wiadomo, biuro strasznie zdrowie niszczy. Podobno nawet suchoty<sup>13</sup> sprowadza.

Nie!... Bóg by nie był tak Nielitościwy i nie zabrałby jej koteczka — nie nawiedziłby go tak strasznym cierpieniem. Tak! Tak! Trzeba, żeby się mężuś lepiej odżywił, trzeba po szynkę posłać koniecznie.

Biegnie do komody, odsuwa szufladę, wyjmuje ostatniego rubla i chwilkę stoi zafrasowana. Cóż będzie z jutrzejszym obiadem?

E! — poradzi sobie, już wie, w jaki sposób. I uśmiechnięta, podskakując trochę, wychodzi do kuchni. Tymczasem stojący przy oknie mężczyzna odwrócił się i skrzypiąc butami przeszedł przez pokój. Dobył z kieszonki od kamizelki kluczyk, otworzył małą szafkę i spomiędzy porządnie poukładanego ubrania wy dostał niewielki pugilares<sup>14</sup>. W pugilaresiku tym szeleściły banknoty. Otworzył go i spiesznie przerachował. Było tam około pięćdziesięciu rubli. Pugilares schował do kieszeni, wyjął cieniuchną chusteczkę, z baletniczkami po rogach zamiast monogramu, zmienił szpilkę u krawata, po czym zamknąwszy szafkę podszedł do toaletki.

Systematycznie zaczął czesać rzadkie włosy, przyciskając je lekko do różowej skóry, po czym wyjąwszy z szuflady puszkę z pudrem pudrował się lekko, starannie ścierając welutinę z brwi, rzęs i wąsów. Puder osiadł na lekkim meszku, pokrywając policzki koteczka, tworząc w ten sposób na twarzy mężczyzny jakby krepową zasłonę. Po czym lekkim a wprawnym ruchem koteczek przyczernił sobie brwi i rzęsy za pomocą ołówka i odsunąwszy się od lustra, począł rozmaite podbójcze miny próbować.

Od kilku chwil otworzyły się cicho drzwi od kuchni i do pokoju wsunęła się żoncia.

W ręce trzymała szynkę zawiniętą w papier i w niemych uwielbieniu spojrzawszy na męża stanęła, przyciskając szynkę do piersi.

<sup>13</sup>suchoty (daw.) — gruźlica. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

Wydawał się jej w tej chwili tak piękny, tak elegancki, tyle od niej wyższy dystyncją i rozumem, i pięknnością, że wciąż stała zapatrzona w swoje bóstwo fryzujące sobie teraz wąsy maluchnym, rozgrzanym żelazkiem.

On, spojrzawszy przypadkowo na nią, dojrzał to uwielbienie malujące się w jej spłowiałych oczach.

— Hm, patrz! jakiego masz męża — rzekł z zadowoleniem.

Ona nie odpowiedziała nic.

Uśmiechała się tylko, prostując się także, jakby z dumy... urosnąć chciała.

— Możesz mnie pocałować — dodał z pobłażliwością — ale tu w szyję... o!...

Wyciągnął swą tłustą szyję dobrze zbudowanego blondyna i przymknął oczy z dobrotliwym uśmiechem.

Ona zbliżyła się szybko, zmieszana, niezgrabna, nie przyzwyczajona do częstych tego rodzaju pieścizot. Gdy znalazła się tuż przy nim, tak nędzna, mała, chuda, zmieszała się jeszcze więcej.

W lustrze widziała odbicie postaci swej i stojącego wciąż ze zmrużonymi oczyma męża.

Zawstydzila się samej siebie, swego wyniszczenia, swego skromnego szlafroka i stała niezdecydowana, cisnąc wciąż papier z szynką do zapadłej piersi.

Lecz on zniecierpliwiał się wreszcie.

— No, korzystaj, kiedy pozwalam...

Podniosła się więc na palce i cała spłoniona pocałowała go w klapę od jasnego żakietu, a silna woń *white rose*<sup>15</sup>, wydzielająca się z ubrania męża, odurzała ją do reszty.

Jak pijana zwróciła się do stołu, na którym zaczęła ustawiać talerzyk i rozkładać na nim szynkę.

Ręce jej drżały, widelca utrzymać nie mogła.

Była w tej chwili bardzo szczęśliwa.

Łzy jej oczy osłaniały mgłą wilgotną, serce biło w piersi bardzo żywo.

Tymczasem koteczek nałożył w eleganckie etui całą masę papierosów i z małej doniczki niezapominajek, stojącej przed obrazem Matki Boskiej, uszczknął gałązkę.

Gałązkę tę zatknął sobie w butonierkę i zasiadł do herbaty.

Zona podała mu filiżankę i nasmarowaną bułeczkę. Po czym, jeszcze cała zmieszana, z uśmiechem na pobladłych wargach, podsunęła mu talerzyk z szynką.

On — ze zdziwieniem poruszył umalowanymi brwiami.

— Szynka? — zapytał.

— Tak, kotku — proszę cię, jedz! — odpowiedziała nieśmiało.

— Zbytki! Zbytki!... — dodał, biorąc na talerz największy różowy platek. — Ale pamiętaj! Gdy zabraknie, nie dodam ani grosza! Ani grosza!

Lecz ona zaprotestowała.

— Nie bój się, wystarczy!... Jedz tylko! Proszę cię!

Krzętała się koło niego, podsuwając mu cukier, masło, śmietankę.

On — nawet nie zważał na tę usłużność, snadź<sup>16</sup> przyzwyczajony do tej troskliwości i niewolniczej czci, jaką go zwykle otaczała.

Jadł powoli, nie spiesząc się, odsuwając z daleka talerz z gracją i manierami aktorki, o której gazety piszą ciągle, że jest „dystygowana”. Wreszcie zapytał, nie podnosząc głowy:

— A ty?

— O, ja mam co innego — odpowiedziała kobieta.

Nastała znów chwila milczenia.

Jakże chętnie pragnęła żoncia zacząć jaką dłuższą z swym koteczkiem rozmowę.

Lecz o czym — o czym ona mówić mogła, pogrążona cała w drobnych kłopotach swego nędznego gospodarstwa, pomiędzy imbrykiem melisy a wiązką rzodkiewki? Instynktem zgadywała, że podobne przedmioty nie są odpowiednie dla jej eleganckiego koteczka, który w tej chwili tak delikatnie, tak ślicznie mieszał łyżką herbatę.

I w głowie tej kobiety powstała myśl bardzo zuchwała.

<sup>15</sup>*white rose* (ang.) — biała róża (tu: nazwa perfum). [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*snadź* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]



Gdyby tak koteczek zechciał dziś cały wieczór poświęcić dla niej, dla niej wyłącznie pozostać w domu!

Gożąco jej biło do głowy na samą tę myśl... jakże to byłby miły dla niej wieczór! Jakże jej szczęście byłoby zupełne!...

Ma wprawdzie liczyć brudną bieliznę, ale może to odłożyć do jutra...

Siedzi więc pochylona nad swoją filiżanką i w biednej głowie szuka zawzięcie sposobu, aby stać się miłą, rozmowną.

Wzrok jej pada na leżący na ziemi „Kurierek”.

— Co tam w „Kurierku”? — zapytuje niepewnym głosem.

— Przeczytasz sama — odpowiedział mąż. I znów nastaje milczenie.

Kobieta prawie rozpaczliwie wodzi wzrokiem dokoła.

Tak mają mało spójni moralnej, że wszystkie jej wysiłki pozostają bez skutku. Wreszcie on wstaje, ociera starannie wąsy i raz jeszcze podchodzi do lustra.

Ona wie dobrze, co to znaczy.

Za chwilę koteczek wyjdzie, a ona zostanie sama! Na cały wieczór, na długi, smutny wieczór.

Zapewne — jest do tego przyzwyczajona, ale dziś szczególnie jej smutno. Wszak to dziś rocznica ich ślubu...

On o tym zapomniał zupełnie...

Lecz ona nie zapomniała i chce mu to powiedzieć, wszak dzień taki to prawie uroczyste święto... Lecz on wziął już kapelusz i elegancką laseczkę, teraz naciąga rękawiczki, pogwizdując lekko. Żona zbliża się ku niemu, przełykając z trudnością ślinę.

— Wychodzisz? — pyta, patrząc mu błagalnie w oczy, jak pies świeżo obity.

— Naturalnie!...

Ona przestępuje z nogi na nogę, ręce jej machinalnie wyciągają bryty szlafroka.

— Zostań w domu — prosi cichutko.

On odwraca ze zdziwieniem głowę.

— Po co?

Tym jednym pytaniem przybija ją do miejsca.

Tak! Prawda! Po co?

Taki strojny, mądry, piękny mężczyzna ma siedzieć w tych trzech klatkach, których okna wychodzą na odludną ulicę...

Ona — ach! Ona to co innego!

Pragnie go jednak zatrzymać choćby chwilę jeszcze.

— A... co chcesz jutro na obiad? — pyta śpiesznie, wciskając głowę między ramiona.

— A!... co chcesz, byle tanie — odpowiada koteczek, otwierając drzwi do przedpokoju — najlepiej barszczyk, bo może późno wrócić...

Ona już nic nie odpowiada, tylko stoi na środku pokoju, smutna, zgnębiona — ujawniając w ostatnich blaskach zachodzącego słońca swą nędzę opuszczonej i oszukiwanej kobiety.

Nagle — porywa się i biegnie do okna.

On — będzie przechodził przez dziedziniec, zobaczy go jeszcze, może się uśmiechnie do niej, głowę odwróci...

— Nie!

Przeszedł przez dziedziniec pewnym i śmiałym krokiem, wywijając laseczką i pogwizdując lekko.

Dwie dziewczyny stojące koło pompy obejrzały się za nim ze znaczącym uśmiechem. Zniknął w ciemnej bramie, nie myśląc wcale o tym, że na drugim piętrze spoza białych pocerowanych firanek śledzą go oczy pełne łez i miłości, biedne oczy schorowanej kobiety, a żółtkę i spieczoną usta szepczą z dumą i niewysłowionym uczuciem:

— Koteczek! Koteczek!

Siedziała tak w oknie z pół godziny. Była to jedyna chwila dnia, w której oddawała się próżnowaniu.

Wciągała zgnile powietrze podwórka pełnymi piersiami i wpatrywała się w szmat nieba, który zarysował się ostro pomiędzy szczytami dachów.

W trakcie tego robiła myślą rachunek wydatków dnia całego i układała budżet na dzień następny.

A wszystkie jej myśli kręciły się tylko około jednego punktu.

Punktem tym był naturalnie... koteczek.

Od pierwszej chwili poznania rosły ten blondyn zaimponował jej i oczarował jej dziewczęcą istotę.

Gdy się oświadczył o nią, a właściwie o jej skromny posążek, nie mogła szczęściu swemu dać wiary.

Gdy odchodziła od ołtarza, już patrzyła na niego tym pokornym, błagającym wzrokiem, jak pies, którego po raz pierwszy na łańcuchu prowadzą.

Oddała mu się z pokorą i wdzięcznością, kryjąc rumieniec w dłoniach i szepcząc: „Kto się w opiekę”.

On — wspaniale, jak dobry książę z bajki, przyjął klejnot jej dziewictwa i pięć tysięcy rubli, które jako sierota złożone miała w kasie oszczędności.

Od tej chwili Józia o pieniądzech tych nie wiedziała nic.

Należały do niego, rozporządzał nimi według upodobania.

Ona welon oblubienicy zamieniła na fartuch ceratowy i rozpoczęła swą domową krzątaniem. Powoli on oddalał się coraz więcej z domu — wracał późno w noc, często podпиты, włócząc na drugi dzień po kątach mieszkania ten „katzenjammer”, w zamiejskich knajpach nabyty. Ona kochała go ciągle tym psim przywiązaniem kobiety, dla której pierwszy mężczyzna chwytający ją w objęcia jest zarazem jedynym przedmiotem uwielbienia.

Koteczek nie miał błędów, koteczek był najlepszym, najmiłszym, najpiękniejszym... Dzień, w którym koteczek kładł nowy garnitur, był dniem prawdziwego święta.

Wzruszona, zarumieniona, drżąca okrążała go w kółko, patrząc na niego z podziwem. Jakże piękny i jak zgrabny był jej koteczek!... Ona sama, mój Boże!... ona nie potrzebowała się stroić. Ot, byle co na siebie włożyć. Zresztą nigdzie przecież nie wychodziła z koteczkiem, nigdy — gdzież znowu!... Zawsze jej coś do stroju brakowało. To kapełuszka, to bucika, to znów rękawiczki. I tak dzień za dniem schodził. Zresztą nie miała czasu ani zdrowia. Ciągle stękała, chorując już od lat czterech, zaraz po urodzeniu niezżywej dziewczynki. Doktor mówił, że to anemia, ale ona nawet w części nie powiedziała doktorowi, co i gdzie ją boli. Po co? Lekarstwa drogie, a ledwo koniec z końcem ściągnąć można...

Wprawdzie koteczek jest niewybredny, je, co mu podadzą — nawet ją samą do oszczędności zachęca.

Ona nieraz dziwi się, jak mało jada w domu ten rosły, wielki mężczyzna, i frasuje się, że widocznie jadło mu nie smakuje.

Mój Boże! Robi, co można przecież. Ona i sługa jadają „plecówkę”, dla koteczka bierze się na rosół pierwszą krzyżową, masło także kupuje dla niego osobno...

Mimo to on je tak mało!

Byleby nie zachorował z tego braku apetytu... jutro trzeba upiec parę kurcząt i zrobić trochę sałaty...

Ostatni rubel wprawdzie wyszedł, ale Józia ma jeszcze dwa pierścioneczki z pozostałych po rodzicach drobiazgów.

Zastawi je u znajomej fanciarki i dociągnie w ten sposób do końca miesiąca.

Mój Boże!... Ile tam już rzeczy Józia spoczywa u tej fanciarki! I srebrne łyżeczki, i bransoletki po matce, i medalion z perełką, ba! nawet medal od chrztu, i srebrna portmonetka, złoty zegarek! Łańcuszek! Wszystko wyniosła tak wieczorami, gdy mąż wyszedł z domu, „prześć się trochę” — jak mówił — a wracał późno w noc, gwizdząc i śpiewając jakieś nie znane Józii piosenki.

Z początku przykro jej było rozstawać się z tymi drobiazgami, później oswoiła się z tą myślą.

Wszak to dla... koteczka.

Kochała go bardzo, bardzo, miłością schorowanej i zamkniętej w domu kobiety. Gdy słyszała jego kroki na schodach, serce jej biło bardzo silnie — w nocy nie kładła się nigdy, dopóki nie wrócił. Rozbierała się wprawdzie, ale bosa i w koszuli siedziała przy

oknie, patrząc w ciemną jamę bramy, czy nie dojrzy wysuwającej się z ciemności eleganckiej postaci męża. Gdy nie wracał długo, z najwyższym niepokojem śledziła godziny i przyciskając ręce do piersi, szeptała:

— Boże mój! Niech on już wróci!...

Zdawać by się mogło, że to namiętna kochanka oczekuje swego wybranego na pierwszą schadzkę miłosną — jednak!... jakże dalekie od namiętności było uczucie kładące w spieczone od gorączki wargi tej kobiety modlitwę szczerą, prawie dziecięcą.

— Niech... koteczek wróci!...

A potem ten powrót koteczka nie dawał jej żadnej pieśczości miłosnej, żadnej chwili tej rozpaczliwej rozkoszy, która jęł prawie z piersi kobiety wydziera.

Koteczek wchodził wolno, systematycznie, nakręcał zegarek, zapalał papierosa, zmieniał obuwie, wystawiając je za drzwi pokoiku, wyciągał z krawata elegancką szpilkę i chował ją w etui.

Wszystko to robił z właściwą sobie gracją, nie spojrzawszy nawet na żonę, która spoza przymkniętych powiek śledziła jego czynności, cała w ciągłym wyczekiwaniu jakiegoś dobrego słowa, przyjaznego spojrzenia ze strony męża. Nic, nic!

Koteczek zasypiał, uśmiechając się do wrażeń w ciągu wieczora otrzymanych, do jakichś wspomnień... na myśl których przeciągał się rozkosznie.

Ona śledziła go ciągle, śledziła uważnie.

Słabe światelko lampki płonącej przed Matką Boską oświecało w zupełności różową twarz mężczyzny, lubieżny wyraz ust, tęgą szyję wychylającą się spod ukraińskich haftów nocnej koszuli.

Instynkt samicy ostrzegał ją, że nie o niej, nie o jej uległości i żółklej twarzy myśli w tej chwili ten człowiek.

Lecz tak wierzyła mu, tak bardzo ufała w jego „małżeńską uczciwość”, że myśl zdrady nie powstała nigdy w jej głowie.

Myśli pewnie o gratyfikacji, a może... może o niej!

Wszak wczoraj jeszcze, wychodząc, powiedział:

— Dla kogoż się zapracowuję, jeśli nie dla ciebie? — Biedny! Drogi koteczek!...

Ach! Ona by życie swoje dla niego oddała!

I leżała tak cicho, nie śmiejąc się poruszyć, drętwiejąc w jednej pozycji, aby nie zbudzić koteczka, który w tej chwili uśmiechał się, jak tylko nasyчени mężczyźni uśmiechać się umieją!

Kareta ruszyła wreszcie z miejsca.

Lecz pani Lena była dnia tego w złym humorze.

Na próżno siedzący obok niej mężczyzna uśmiechał się i usiłował umieścić dogodnie jej kapelusze, cały z brązowego tiulu, istne pieścidełko wydmuchane z purpurowego obłoczka. Na próżno, zdjawszy jej rękawiczki, zwijał je starannie i wsuwał pomiędzy poduszki powozu, na próżno chwalił jej nowy dolman<sup>17</sup>, na który wyszło z pięćset łokci koronki; ona siedziała ciągle chmurna, z brwiami ściągniętymi, z twarzą gniewnie wykrzywianą.

— Dlaczego tak późno przyjechałeś? — zapytała wreszcie, zwracając się twarzą do swego towarzysza.

— Nie mogłem! Wierz mi! — tłumaczył się mężczyzna.

— Dlaczego?

— Bo!... bo!... mieliśmy gości!... — odparł, udając nonszalancję i oglądając sobie paznokcie.

Znać było, że blaguje, lecz ona nie poznała się na tym.

— Kto był? — nalegała już trochę udobruchana. — Kobiety?

— O, zaledwie kilka! Kuzynka Esterghazy z córką, wiesz... ta hrabina!

Ona potwierdziła spieszenie.

— Tak! Tak! Mówiłeś już mi o niej, a z mężczyzn?

— Zwykli goście czwartkowi.

<sup>17</sup>dolman — turecki a. węgierski strój pod kurtkę. [przypis edytorski]

— Więc to *jour fixe*<sup>18</sup>?

— Tak!... *five o'clock tea*<sup>19</sup>.

Rzucił wyraz angielski, posłyszany kiedyś ze sceny w teatrze, który zapamiętał i używał w razie potrzeby, co nigdy nie chybiało efektu. I teraz dosięgnął celu.

Kobieta siedząca obok niego zdawała się na chwilę przybita posłyszonym słowem.

Lecz prędko odzyskała równowagę.

— Nie wiem, czy to wygodne — wyrzekła — wolę już urządzić *receptions matinales*<sup>20</sup>...

Spojrzała na niego triumfująco.

On wzruszył ramionami.

— Zapewne, lecz już cały dzień jest zderanżowany<sup>21</sup>.

Pochylił się teraz nad podbitą już kobietą.

— No, cóż?... darujesz mi to opóźnienie? — szeptał miękim głosem — wierz mi, tylko obowiązki światowe mogły powstrzymać twego koteczka; wierzysz mi? No... Lena!...

I objął ją ostrożnie, cofając się w tył, gdyż karetka skręcała w ciaśniejszą ulicę, a na chodnikach kręciło się sporo przechodniów.

Lena potrząsnęła wspaniałomyślnie głową. Dobrze! Przebacza mu, ale pod warunkiem, że to będzie raz ostatni... zapewne nie wie, że i ona ma obowiązki światowe, które trzymają ją poniekąd na uwieczni; jeśli on ma żonę prowadzącą dom otwarty, ona nawzajem ma męża, który od niej pewnych ustępstw światowych wymaga, a przecież...

On przyznaje jej rację, cały rozplomieniony tak bliską obecnością tej kobiety, której pełny gors i błyszczące oczy działają na niego jak rozpalający trunek — ostrożnie, delikatnie szuka jej ręki w całych falach koronek i rękę tę znalazłszy całuje długo, wysysając paluszki o krogulczo zagiętych paznokciach.

Ona poddaje się tej pieszczocie, jak kobieta przyzwyczajona do podobnego rodzaju objawów powstrzymywanej namiętności, drugą ręką zasłania sobie twarz, gdy karetka nadto się zbliży do chodników.

Czyni to z wprawą wielką, w ogóle czuje się zupełnie swobodnie w tej ciasnej atmosferze powozu, w której cudzołóżne szepty, śmiechy, pocałunki zdają się drzemać wśród zagięć zniszczonego sukna okrywającego poduszki.

— Gdzie dziś pojedziemy? — pyta koteczek.

— Gdzie chcesz... — odpowiada Lena — byle nie do Marcelina.

— Masz rację, kuchnia tam wcale<sup>22</sup> nieszczególna.

— O, tak! Bordeaux niepodobne do picia...

I znów zaczyna grać ze sobą komedię tych dwoje ludzi, którzy się poznali pod cieniem drzew Saskiego Ogrodu i nic prawie nie wiedzieli o sobie ani o swej pozycji socjalnej.

Ona — miała w sobie popsutą krew trzydziestoletniej kobiety, wiecznie niezadowolonej ze swego otoczenia, obnoszącej w czarnych oczach i pełnych kształtach chęć nieprawych rozkoszy i zakazanych wycieczek. Pozowała jednak przed nim na „dame” — wykwinną i wytworną — pragnęła mu imponować koronkami, wziętymi na kredyt, i francuszczyzną, zapożyczoną z *Rozmówek* pani Bocquel.

On — dokładał wszelkich usiłowań, aby ujść w oczach tej wykwinnej damy za człowieka bogatego, prowadzącego dom na wielką skalę. Olsniewał ją szpilkami u krawatów, jasnymi garniturami i znajomością gabinetów restauracyjnych, po których włóczyli się często, siedząc do późnej nocy i rozstając się w pełni niesmaku i chęci ponownego zejścia się, aby nawzajem udawać przed sobą wytworne maniere i... namiętne porywy.

Karetka wjechała teraz w ulicę Mokotowską i powoli skręcała na lewo.

Wozy z beczkami zastąpiły jej drogę, woźnica wstrzymał konie na chwilę.

Koteczek wychylił głowę.

— Cóż tam? Dlaczego stajesz?

Nagle cofnął się w głąb powozu.

Towarzyszka mimo woli spojrzała w otwarte okienko.

<sup>18</sup>*jour fixe* (fr.) — przyjęcie. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*five o'clock tea* (ang.) — herbatka o piątej. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*receptions matinales* (fr.) — poranne przyjęcia. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*zderanżowany* (z fr.) — tu: zdezorganizowany. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*wcale* (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

Na chodniku, pomiędzy gromadką bosych dzieci czekających na opróżnienie ulicy, stała ciemno, ubogo ubrana kobieta w zniszczonym kapelusiku na pochylonej głowie.

W tej chwili kobieta ta z wyrazem zdumienia na pośliskiej twarzy wpatrywała się w okienko karety, a z wół otwartych ust zdawał się ulatywać jakiś głos stłumiony.

Pani Lena odwróciła się i spytała szybko:

— Patrz!... Ta kobieta dziwnie tu spogląda, czy może znasz ją?

Lecz mężczyzna nie ruszył się nawet, przytulony do kąta karety, nikczemny, nędzny w tej trwodze, jaka zwykle ogarnia każdego z nich na widok zdradzonej kobiety.

— Siedź spokojnie! — wyrzekł — to szwaczka mojej żony!...

Kareta ruszyła wreszcie z miejsca, obryzgując błotem stojącą na chodniku kobietę.

Ona patrzyła jeszcze długą chwilę, zdumiona, przerażona, powtarzając cichutko:

— Koteczek? Koteczek?

Lampka przed Matką Boską dopalała się prawie, a nikt nie myślał o dolaniu oliwy.

Cicho było bardzo w sypialnym pokoiku. Obydwa łóżka małżeńskie były próżne, choć już druga wybiła na kuchennym zegarze.

Józia, boso i w koszuli, siedziała skulona na oknie, czekając na powrót męża.

Była bardzo wzburzona, niespokojna, smutna. Wszakże to wracając od fanciarki dostrzegła w karecie obok jakiejś ładnej kobiety mężczyznę tak bardzo podobnego do koteczka!

Lecz cóż by jej koteczek robił w karecie o tej porze i to jeszcze z jakąś damą?... A może to dyrektorowa biura spotkała go i wzięła na przechadzkę...

Szukała teraz w swojej biednej głowie rozmaitych kombinacji, potykając się co chwila o jakąś myśl zbyt trudną...

Nie — stanowczo zrozumieć tego nie mogła.

By mąż ją zdradzał — nie przeszło jej nawet przez głowę, jej koteczek, skądże znowu?

Zanadto czystą, niewinną była w swym zastoju moralnym; zdradzać? — tak!!! Tak! To istnieje w książkach, na scenie, ale w życiu!...

Gdy przyszła od fanciarki, policzyła bieliznę, pocerowała skarpetki, zrobiła rachunek ze służącą, zadysponowała obiad, a teraz, posławszy łóżka, usiadła w oknie, czekając męża.

Noc zapadła, noc ciemna, wietrzna, chłodna. Z zacienionego dziedzińca, po zamknięciu bramy wzbil się w górę silny zaduch wylewanych przez dzień nieczystości.

Ona — otworzyła lufcik i przechyliła swą biedną, znękaną głowę. Smrodliwe powietrze owiało ją. Ona — nie czuła tego zaduchu, przyzwyczajona do tej atmosfery, którą wciągała w siebie nocami całymi. Przechyliła głowę i patrzyła wciąż w czarną przepaść podwórka.

Czekała.

Lecz on nie wracał, rozkoszując się w tej chwili wonią rozkwitłego bzu w podmiejskim ogrodzie i ciepłymi wargami kochanki, z których zbierał krople wina i słodycz kompotowego syropu.

Siedzącej w lufciku kobiecie wiatr rozwiewał rzadkie włosy i ziębił plecy. Ona — skurczyła się jeszcze bardziej, podsuwając pod siebie chude, żółtkłe nogi.

Jeszcze się jej chciało, obejrzała się na kredensową szafkę majaczącą w półcieniu. Była tam wprawdzie pieczeń pozostała z obiadu, ale koteczek dysponował barszczyk na jutrzejszy obiad, z pieczeni będą uszka... nie można więc poruszyć, nie można!...

Józia zwinęła się teraz prawie w kłębek i głowę smutnie zwiesiła.

Jakoś jej tak smutno! Tak bardzo, bardzo smutno, jak nigdy nie było!

Dlaczego?

Wszak on wraca tak codziennie, wraca późno, a ona czeka nań i zimą, i latem, skurczona przy szybie, pełna niewytłumaczonej chęci ujżenia go powracającego.

Zegary miejskie biją wół do trzeciej.

Na twarzy Józii płyną dwie wielkie, gorące łzy, zamiast serca czuje, że jej się otwiera rana... rana ta piecze, boli, pali jakby zarzewie... a wynędzniałe usta szepczą:

— Boże!... Niech koteczek wróci!...

Jej koteczek.

# Kozioł ofiarny

Pan Wentzel zmarszczył brwi i położył kanciastą linię obok siebie.

— Proszę o spokój! — wyrzekł ochryplym głosem.

— Oko brandenburskie! — odpowiedział natychmiast Julusiek.

— Z perską źrenicą — dorzucił Marian, pakując ręce w kieszenie od spodni.

Pan Wentzel podniósł swą spiczastą głowę, pokrytą najeżonym włosom, i spojrzał na porozkładane na krzesłach dzieci.

— Proszę o spokój! — powtórzył, a wargi wybladłych ust drżały mu jak w febrze.

— Patrzcie... panu „Wentzlemu” spuchła z lewej strony twarz — zawołał Julusiek, mrużąc powieki.

— To od tych papierosów, które po kryjomu pali, a nam nawet zaciągnąć się nie da — odparł flegmatycznie Marian, obserwując z ironią wychudłe policzki nauczyciela.

Panu Wentzlowi krew uderzyła do głowy.

— Nie palę papierosów — wyrzekł energicznie — nie wmawiajcie we mnie złych czynów, które sami spełniacie.

Julusiek wzruszył ramionami. Marian wpakował ręce jeszcze głębiej w kieszenie.

— Nie palisz pan? — zapytał, wydymając czerwone i pełne policzki. — Phi!... to taka prawda, jak to, że pan atramentem dziur w butach sobie nie czernisz... Zaprzecz pan temu!

— Zaprzecz pan temu! — zaskrzeczał, jak mały psiak, Julusiek i w ekstazie triumfu usiadł na stole, gdy tymczasem Marian wciąż kołysał się na krześle, patrząc spod oka na nauczyciela.

Pan Wentzel był przybity.

Rzeczywiście, nie dalej jak wczoraj smarował rano bielące się wśród czarnej skóry butów skarpetki... smarował atramentem, aby nie przeświecały zanadto, gdy wejdzie do sali jadalnej lub salonu.

Milcząc ujął w rękę jedną z ciemnooprawnych książek, których stosy leżały na stole.

— Zaczniemy wykłady od *Historii świętej* — rzekł cichym głosem.

Lecz Julusiek pragnął nasycić się swym triumfem i cały wlaźł na stół, strącając zabłocnymi nogami książki i zeszyty na ziemię.

— Wziąłeś pan patyk... o, tak!... Umaczałeś pan w atramencie i smarowałeś pan buty...

Pan Wentzel pobladł jeszcze bardziej.

— Proszę zleźć ze stołu i usiąść przyzwoicie, inaczej przerwę lekcję...

— Wielka będzie szkoda... — mruknął Marian.

Julusiek odsunął się trochę i podwinął nogi pod siebie.

— Jedź pan — wyrzekł — mnie to nie przeszkadza, ja i tak mogę pańskiego bajdurzenia słuchać.

Pan Wentzel otworzył książkę i powoli zaczął przewracać kartki ozdobione rycinami.

— Skończyliśmy na Samsonie i ucięciu włosów — zaczął polykając ślinę — wiecie, że uczyniła to Dalila i...

Na twarzach chłopców pojawił się dziwny wyraz.

— Musiała to być szykowna kobieta — mruknął Julusiek, uśmiechając się rozkosznie. — Prawda, Marian?

Lecz Marian zwrócił się teraz ku panu Wentzlowi i patrząc wprost na twarz nauczyciela — zapytał.

— Jak pan sądzi? Brunetka była? Co?

— Nie wiem! — odparł nauczyciel.

— Daj pokój, Marianie!... — wrzasnął Julusiek. — Albo on się zna na tym!

— Hm!... — odrzekł Marian — jest przecież mężczyzną.

— E! Taki tam! Boże się zmiłuj!...

Pan Wentzel zerwał się z miejsca.

— Cicho! — krzyknął uderzając książką o stół. — Cicho!... bo...

Głos uwiązał mu w gardle.

Marian i Julusiek, mrużąc oczy, przypatrywali mu się impertynencko.

Tyle ironii mieściło się w wyrazie twarzy tych przedwcześnie rozwiniętych dzieci, że nauczyciel najczęściej czuł swą sztuczną energię jakby zmrożoną i w głębi serca doznawał dziwnego ściśnienia, które mu dotkliwy ból sprawiało. Czuł swą bezsilność i milknął polykając łzy i upokorzenie.

Tych dwóch malców w kraciastych kurtkach, nie dorastających mu do nosa, tyranizowało go i kark mu do ziemi chyliło.

Co począć miał?

Podszedł do okna i machinalnie otworzył lufcik. Świeże wiosenne powietrze wpłynęło nagle do pokoju...

Wentzel cofnął się od okna, jakby nagle upojony...

Przymknął oczy i stał tak blady, nędzny w smudze świetlanej, która kładła żółte i białe tony na twarz jego znędzniałą.

— Może byś pan kończył lekcję!... — odezwał się nagle Marian, znudzony milczeniem nauczyciela.

— To się wie — dorzucił Julusiek — pan zbijasz bąki jak jaki radca. Nic pan w lufciku nie wystoisz! Jeszcze panu oko spuchnie! — Pan Wentzel powoli odwrócił się i zbliżył się do stołu. Na twarzy jego malowała się smutna rezygnacja. Usiadł na krześle i unikając spojrzenia w twarze chłopców, rozpoczął wykład:

— Wiecie, że Samson był bardzo silny, wiecie, że gdy oparł się o kolumny świątyni, ramionami wstrząsnął, kolumny w gruzy się rozsypały i dach cały runął...

— Albo to prawda — przerwał Julusiek uśmiechając się sceptycznie.

Marian poprzestał na ironicznym wzruszeniu ramionami.

Pan Wentzel ciągnął dalej:

— Dach cały runął, przygniatając zgromadzone tłumy. W ten sposób więc nieprzyjaciele Samsona...

— E, to taka prawda jak to, że Ewa jabłko zjadła... — przerwał znów Julusiek.

— Pokonani zostali... — brzmiał głos nauczyciela.

Teraz Marian poruszył się na krześle.

— A Adam ogryzkiem się udławił... — wyrzekł śpiewającym głosem.

— I gdyby nie Dalila, która...

Lecz już słowa pana Wentzla brzmiały jedynie chyba dla niego samego. Dzieci, pobudzone w swej przekornej wesołości, jak piłkę odrzucały sobie wzajemnie legendy, podawane im przez nauczyciela za fakt. Dla nich, dla tych rozbudzonych przedwcześnie umysłów, nie istniał już żaden urok naiwnej wiary — ze śmiechem i drwinami szarpali treść *Pisma*, nie mogąc jeszcze zrozumieć przenośni.

Pod gradem tych słów wyziewanych przez drobne, dziecięce usta, które zda się stworzone były do szeptania modlitwy, pan Wentzel siedział przybity, bezsilny, z głową na piersi zwieszoną. Codziennie powtarzało się to samo.

Codziennie nauczyciel i jego słowa były przedmiotem szyderstw, żartów i śmiechu.

Julusiek leżał już teraz na stole, wywijając z radości nogami, Marian napawał się spokojnym triumfem i pełen nieopisanej błogości wydymał usta do niebywałych rozmiarów.

— Jak tam było z tym Noem? Opowiedz pan, panie Wentzel!

— Albo z tym Dawidem!

— A Zuzanna? Co?...

Plomienie przebiegały zmysłową twarz Mariana.

— Tak! Tak!... Zuzanna!... To pyszny kawał!...

I nagle, ni stąd, ni zowąd, rozlega się z piersi dzieci wrzaskliwy śpiew:

Hopsztynder!... Madaliński

Fiuta!... z kopyta!...

Szara, ciach, ciach! Tańczy sobie

Z Barabaszem mazura!...

— Proszę o spokój!... — jęczy błagalnie pan Wentzel.

Hej kolęda!... kolęda!...  
Podobał się Jewie! Jeździ na cholewie,  
A boso go znać!... znać!... znać!...

Pan Wentzel głowę ukrył w dłonie.

A boso go znać!...

Lecz nagle drzwi się otwierają i dwie postacie kobiece ukazują się w progu.

— Co się tu dzieje? — pyta pani domu, chuda, płaska blondynka, nosząca na schy-  
lonych ramionach faldziste szaty wdowie.

— *C'est atroce*<sup>23</sup>! — odzywa się druga, odpinając żwawo guziki zniszczonego płasz-  
czyka.

— Panie Wentzel, jak pan możesz pozwolić na coś podobnego?!

Pan Wentzel powstał już z krzesła i w milczeniu układa książki i zeszyty. Czuje, że  
wszystko, co powie na swoje usprawiedliwienie, na nic się nie przyda.

W przekonaniu matki „dzieci” są trochę rozpuszczone, ale ostatecznie można na nich  
lekarstwo znaleźć i do posłuszeństwa doprowadzić.

Wprawdzie ona sama nigdy dokazać tej sztuki nie mogła, ale... przecież... pan Wentzel  
jest mężczyzną! Powinien umieć nakazać szacunek dla swoich słów i osoby.

Więc — słodkokwaśnym głosem mówi to wszystko, a słowa jej jak uderzenia bicia  
smagają zboląłą głowę nauczyciela.

Tak! Tak!... Pani ma zapewne rację — każdy inny na jego miejscu poradziłby sobie  
z pewnością, tylko on! On! Nie wie, nie umie poskromić swych uczniów, nakazać ciszę  
i potrzebny spokój.

— Uważasz pan... — ciągnie dalej pani Szymczyńska, a głos jej płynie łagodnie jak  
szmer strumyka — Julusiek i Marian są dzieci wyjątkowe, należy więc z nimi postępować  
w wyjątkowy sposób. Tymczasem pan!

Wyjątkowe dzieci z niezrównaną ironią spoglądają na pana Wentzla, który zmieszany,  
drżący, sploniony, szorując nogami po podłodze, ustępuje przy stole miejsca guwernantce,  
która — wytarty płaszczyk ostrożnie na łóżku Julusia złożywszy — przystępuje do krzesła  
z bardzo wojowniczą miną.

Matka tymczasem zachwyconym wzrokiem ogarnia pełne policzki Mariana i złotą  
głowę Juluśka, który zdecydował się wreszcie zsunąć ze stołu i usiąść na poręczy krzesła.

— Tak! Tak! Wyjątkowe dzieci! — powtarza machinalnie i po białych jej ustach  
przebiega uśmiech zadowolonej macierzyńskiej próżności.

Pan Wentzel pochyla pokornie głowę i odwróciwszy się, drżącymi rękami szuka w pu-  
delku, zastępującym mu szafę, czystej chustki i swej wytartej portmonetki. Pudełko to  
stoi pod jego łóżkiem, biednym, smutnym posłaniem opuszczonego wyrobnika, narzu-  
conym dla *decorum*<sup>24</sup> szafirową kapą, stanowiącą własność pani domu, którą skromny  
kocyk biednego chłopca raził i harmonię przyzwoitego umebłowania dzieciennego pokoju  
psuł zupełnie.

W pudełku — pan Wentzel nie znajduje chustki, ale za to wydostaje zdechlą mysz,  
uczepioną przy zamczku portmonetki, w której kilka miedziaków się kołacze. Jest to  
sprawka „wyjątkowych” dzieci, które duszą się ze śmiechu na widok białości pokrywającej  
nagle twarz pana Wentzla.

Wiedzą o tym, że pan Wentzel boi się konwulsyjnie myszy, i udanie się rozkosznego  
figla uczuciem błogim napelnia ich serduszka.

Lecz siedząca przy stole Francuzka marszczy brwi i groźnie, podniósłszy rękę do góry,  
woła ochryplym głosem:

— *Attention, sales gamins! Ou je vais vous fichier des claques*<sup>25</sup>!

<sup>23</sup>*C'est atroce* (fr.) — to okropne. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*decorum* (z łac.) — ozdobność, powaga, także: wysłowienie a. styl właściwe dla tematu. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Attention, sales gamins! Ou je vais vous fichier des claques* (fr) — Uważajcie, brudne dzieciaki! Albo dam wam klapsa. [przypis edytorski]



Chłopcy milkną i kołyszą się na krzesłach z mniejszym niż zwykle zapalem. Matka zaś przesyła dyskretny półuśmiech w stronę Francuzki, która przesłicznym żargonem z Montmartre rozpoczyna wykład greckiej mitologii.

I powoli fałdzista suknia matki-wdowy znika we drzwiach, spoza których dolatuje wystukiwane na fortepianie jakieś *Rêverie* Aschera.

Pan Wentzel tymczasem szamocze się ze zdechłą myszą, starając się odczepić ją od portmonetki. Pot pokrywa mu skronie, wyraz wstrętu maluje się w jego smutnych, wielkich oczach.

Trwa to długą chwilę — dzieci ciągle spod oka obserwują nauczyciela, triumfują wewnętrznie.

Wreszcie Julusiek dłużej wytrzymać nie jest w stanie.

— To ci pan Wentzel zdesenia!... — woła podrywając się na krzesło.

— Jak karaluch w tataraku!... — dorzuca śpiewająco Marian.

Lecz Francuzka uderzeniem pięścią w stół przerywa wybuchy radości miłych chłopczyków.

— *Taisez ous, tas des salauds*<sup>26</sup>! — I nagle sięgając do bocznej kieszeni sukni, wydobywa dość duży rewolwer, którego otwory pozaklejane są umiejętnie kulkami z chleba.

— No! — mówi kładąc rewolwer na stole — *j'espère, que vous allez vous tenir tranquilles... autrement — je tire*<sup>27</sup>!...

I dalej ciągnęła wykład przy wzorowej ciszy ze strony obu chłopców, po których twarzach przemknął nawet cień szacunku.

Pan Wentzel tymczasem uporał się z myszą i wzięwszy ze stolika wytarty i zrudziały kapelusz, gotował się do wyjścia. Z rodzajem zazdrości spojrział na zniszczoną twarz Francuzki i na leżący na stole rewolwer.

Tak! Widocznie inni ludzie posiadali dar wpływania dodatnio na te... wyjątkowe dzieci — on jeden tylko nie, on jeden!...

Stłumiwszy westchnienie, ujął cicho za klamkę i wysunął się z pokoju.

— *Junon, dévorée par la jalousie, épiait Jupiter*<sup>28</sup>... — mówiła Francuzka ochryplym głosem, wykrzywiając przy tym swą twarz na kształt maski kłowna — *et Jupiter aimait Jo*<sup>29</sup>...

Zagłębiła się teraz w miłostki Jowisza z całą lubością bulwarówki; po jej ustach igrał od czasu do czasu uśmiech, a ręka machinalnie poprawiała rzadką na czole grzywkę.

Julusiek, trochę znudzony, gonił czasami migające po suficie słoneczne plamy i usiłował zwinąć język w łuk, zwany „klops”. Tylko Marian, zasluchany w słowa Francuzki, ślizgał się wzrokiem po jej piersi, rysującej się dość wyraźnie pod opiętym stanikiem.

Patrzył, oczy mrużył i usta wydymał...

— Chwilkę, panie Wentzel, proszę tylko o krótką chwilkę!...

I Ewelinka powstawszy od fortepianu potrząsnęła głową ubraną w całe pęki loków.

— Gdzie pan uciekasz? Nigdy nie masz czasu... a ja tu sama tak siedzę!...

Ostatnie słowa podkreśliła znacząco powłóczyłym spojrzeniem.

Pod wpływem tego spojrzenia pan Wentzel pobladł jeszcze bardziej niż na widok myszy.

O! Gdyby wiedział, że Ewelinka obecnie „marzy” w salonie i fortepian... „gniecie”, jak mówił Julusiek, byłby z pewnością umknął przez kuchnię, choć i tam kucharka witała go niedwuznacznym mruczeniem i dowodzeniem, że „rosół się jej utrząsie w garnku, skoro pana Wentzla bez<sup>30</sup> kuchnię niesie”...

<sup>26</sup>*Taisez ous, tas des salauds* (fr.) — spokój, bando łajdaków! [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*j'espère, que vous allez vous tenir tranquilles... autrement — je tire* (fr.) — mam nadzieję, że zachowacie spokój... inaczej będę strzelać. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*Junon, dévorée par la jalousie, épiait Jupiter* (fr.) — Junona, pochłonięta zazdrością, śledziła Jowisza. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*et Jupiter aimait Jo* (fr.) — a Jowisz kochał Io. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*bez* (reg.) — przez. [przypis edytorski]

Lecz pan Wentzel stokroć wolałby już narazić się na gniew kucharki, niż poddawać się magnetycznym spojrzeniom Ewelinki, dopełniającej w ten sposób pensyjnej edukacji i próbującej siły swych wdzięków na nieszczęsnym nauczycielu swych braci.

— Zagram panu Aschera... — wyrzekła, sznurując dość duże usta — przewracaj mi pan kartki...

Pan Wentzel rozpaczliwie zaczął przestępować z nogi na nogę.

— Chcę iść... na pocztę — wyjąkał cichym głosem.

— Poczta nie ucieknie — szeptała panna, przechylając się w łuk dla uwydatnienia wypukłości bioder — a wreszcie, ja proszę!...

Ostatniemu słowu towarzyszyło znów wymowne spojrzenie.

W chorej piersi pana Wentzla serce zabiło gwałtownie, krew uderzyła mu do głowy i czerwonym płomieniem oczy zasłoniła.

Ewelinka uśmiechała się zadowolona. Chciała doświadczyć, czy „powłóczyście” spojrzenie „działa”, i przekonała się, że istotnie jest to dobry lek i nie kosztuje zbyt wiele zachodu.

Lecz, pobudzona w swych doświadczeniach kokieteryjnych, pragnie dalej prowadzić rozpoczęte dzieło.

— Pan mnie unika, panie Wentzel — zaczyna znowu, grając dość fałszywie „nokturno” — pan mnie unika, o! Ja to czuję!...

Pan Wentzel nie śmie zaprzeczyć. Stoi jak słup soli, zaciskając konwulsyjnie pięści. W gardle czuje dławienie, usta mu drżą nerwowo.

Tymczasem dziewczyna przechyla głowę i mrużąc lekko oczy, wpatruje się w swą ofiarę.

— Pan ode mnie ucieka, a ja cierpię!...

„Nokturn” rozplywa się w przyciszonym akordzie. Ewelinka z wdziękiem opiera głowę o pulpit i pozostaje w tej pozycji chwil kilka, żałując, że nie może widzieć siebie samej i ocenić w całej malowniczości sytuacji, w której się znajduje.

Pan Wentzel tymczasem mieni się na twarzy wszystkimi kolorami tęczy.

Boże mój! Ona... przez niego cierpi, a on stoi jak wkuty w dywan, nie mając siły, aby powiedzieć słowo na swoje usprawiedliwienie!...

Ewelinka obserwuje go spod oka.

Cieszy się serdecznie rozpaczą wrytą na chudej twarzy chłopaka.

Cierpi! Mężczyzna cierpi z jej powodu.

O radości!

Nie wie jednak, jak wybrnąć z tej sytuacji.

Czy, podawszy rękę, zmusić go do ukłęknięcia, czy oddalić się jak „senne zjawisko”, pozostawiając po sobie „szmer jedwabnej szaty”...

Wybiera to drugie, odkładając triumf zupełny na później i zerwawszy się z wdziękiem z taboretu, przebiega salon z szelestem świeżych spódniczek, a odwróciwszy się na progu, rzuca osłupiałemu Wentzlowi dwa słowa:

— Do wieczora!...

Lecz scena ta ma świadka w osobie matki-wdowy, która suwa się jak cień po całym mieszkaniu, udając gorliwie wypełnianie swych obowiązków.

Przed wrytym w ziemię Wentzlem zjawia się teraz nagle surowa, sztywna, pełna godności.

— Co pan tu robisz, panie Wentzel — pyta majestatycznie — proszę się nie zapominać! Nie za-po-mi-nać!...

I odwraca się jakby z jednej sztuki wykuta, owijając nogi nieszczęsnego nauczyciela w fałdy swej długiej szaty.

Pan Wentzel skłania się nisko i cofa się tyłem w stronę przedpokoju. Otwierając, drzwi słyszy brzęk szkła i odwróciwszy się dostrzega Justysię, pokojówkę, strącającą szczytką pogruchothane kinkiety.

— Wszystko przez pana — mruczy pokojówka — szarpnąłeś pan drzwiami, że się we mnie wszystko zatrzęsło...

Pan Wentzel na palcach sunie przez przedpokój.

— Czysto jak zmora, albo hałasuje, albo milczkiem lezie...

Pan Wentzel przy drzwiach prowadzących na schody podnosi zasuwkę i ujmuje klamkę.

Justysia, oparta na szczotce, patrzy z pogardą na jego wytarty surducik i wąskie ramiona.

— To ci mężczyzna! — szepcze pociągając nosem. — Ni do Boga, ni do ludzi...

Pan Wentzel gorączkowo zaczyna zbiegać po schodach.

Tymczasem w pokoju Ewelinki cicho odbywa się scena. Pani Szymczyńska uznaje za stosowne przestrzec córkę przed niebezpieczeństwem, na jakie się naraża, pozostając sama na sam z mężczyzną.

Lecz Ewelinka smaruje sobie nos kremem Simona i pogardliwie wzrusza ramionami.

— Z jakim mężczyzną mnie widziałas? — pyta wydymając usta.

— Z panem Wentzlem!...

— A!...

— No... nie zaprzeczysz temu, że byłaś z nim przed chwilą... w salonie — mówi jękając się matka, której zimna krew Ewelinki i wzdurzone miny prawie od chwili urodzenia córki imponują i pewność siebie odbierają.

Ewelinka teraz pudrem Simona bieli się na potęgę.

— Byłam... — odpowiada wreszcie — byłam, ale taki pan Wentzel przecież się nie liczy...

— Przecież jest mężczyzną...

Ewelinka spojrzała na matkę z litością.

— Mężczyzna?... To nędzna imitacja, nie żaden mężczyzna!...

I poszła, odwijając z cienkich obłonek mydło Simona, mające własność „udelikatniania naskórka”.

„I ftobie jednym całą naszą nadzieję synu najmilszego, com cię własnymi piersiami wykarmiła i sboieniem sercowym wyhodowała”...

Pan Wentzel rękę przesunął po oczach, bo jakaś mgła wilgotna źrenice mu przysłaniać poczęła. Ten kawałek grubego, ordynarnego papieru, zakreślony krzywymi i niewprawnymi pismem, szarpie mu duszę na kawałki.

Odebrał przed chwilą z poczty ten list od matki, ubogiej sklepikarki w małej podgórskiej mieścinie, gdzie i on spędził swe dziecinne lata. Gdy listy przychodziły dawniej do domu pani Szymczyńskiej, „wyjątkowe” dzieci na dobre bawiły się „koszlonami”, z jakich złożony był adres.

Od pewnego czasu więc pan Wentzel odbiera listy od matki z biura pocztowego i siada w małym ogródku, otaczającym gmach pocztowy, dla<sup>31</sup> odczytania i odcyfrowania hieroglifów, z jakich się zwykle listy te składają.

I teraz siedzi na wilgotnej ławce, tuż pod krzakiem bzu, który dopiero pączki wypuszczać zaczyna.

Dokoła kilka chudych drzew wznosi swe bezlistne gałęzie, pies jakiś błąka się po trawnikach, grzebiąc łapami w czarnej ziemi, poprzecinanej wąskimi paskami zieloności.

W powietrzu unosi się ciepła wilgoć, która piersi smutkiem tłoczy i moc wspomnień nasuwa. Pan Wentzel raz jeszcze powoli list przeczytał, po czym, pochyliwszy na piersi głowę, myśleć począł.

W nim jednym całą nadzieją!

Cała nadzieją tych dwojga starców, zgiętych od pracy, nędzy i smutku! Jak w tęczę, tak patrzą w niego ci rodzice, którzy — odmawiając sobie kawałka mięsa, chwili spoczynku — do szkół go wysłali i teraz czekają plonów z tej mozolnej, ciężkiej pracy.

On wie, on to czuje, że jemu ustawać w pracy nie wolno, że wszystko, co znosi w domu pani Szymczyńskiej, nadal znosić powinien, bo ma kąt, w którym stoi łóżko jego, ma dach nad głową, bo łyżka strawy, która mu nieraz przez ściśnięte gardło przejść nie może — trzyma go przy życiu — jego i tamtych dwoje...

<sup>31</sup>dla (daw.) — w celu. [przypis edytorski]

I widzi ich w czarnej jamie sklepiku pomiędzy workami kartofli, beczką nafty, pękami drzazg, widzi ich schylane postacie, słyszy kaszel ojca, stękanie matki, woń stęchlizny i wilgoci owiewa dokoła...

Biedni! Biedni starzy!...

Lecz on? On sam, czyż nie cierpi, czyż te upokorzenia, te tortury, które codziennie z Julusiem i Marianem przebywa, te noce bezsenne spędzone nad książką, te ranki, wśród których znużone ciało domaga się chwili snu, te zaparcia się wszelkich uciech młodości, uśmiechów, swobodniejszej myśli!... czyż to się liczyć daje?

Zresztą dość spojrzeć na niego, gdy tak siedzi, nędzny i blady w jasnych promieniach wiosennego słońca. Twarz ma żółtawą z zielonawym, prawie trupim na skroniach odcieniem, piersi wklęsłe, plecy wypukłe, nogi wychudłe.

Jest brzydki, nędzny, śmieszny — wie o tym, czuje to i jest bardzo nieszczęśliwym.

A jeszcze w dodatku serce mu bije gwałtownie i coś się przed nim majaczy, jakiś uśmiech dziewczyny, jakiś akord „nokturna”, zasłyszanego przed chwilą...

Wszystko to gnębi go i dręczy nad wyraz.

Ciasna klatka piersiowa nie może pomieścić tylu wrażeń, które razem z ciepłą wonią wiosenną do jego piersi się cisną.

Coś go dławi w gardle, oddech mu tamuje. O! Ta wiosna!... Czyż ona istnieć powinna dla takich jak pan Wentzel nędzarzy?!...

Pies, płaczący się po trawniku, zbliżył się teraz do ławki i przed nogami Wentzla przesuwać się począł.

Był tak jak Wentzel nędzny, wychudły i oddychał ciężko.

Chłopiec nachylił się nad zwierzęciem i brudne jego kudły delikatnie gładzić począł.

Bezdomne zwierzę oparło łeb o kolano człowieka, wpatrzyło się w bladą twarz, pochyloną nad nim i nagle przeciągle zawyło.

Wówczas z ciemnych, smutnych oczów pana Wentzla stoczyły się dwie wielkie łzy...

Gdy „wyjątkowe” dzieci weszły do salonu wraz ze swym nauczycielem, kilkanaście osób na wzór manekinów zapelniało fotele i kozetki. Był to *jour fixe*<sup>32</sup> i pani Szymczyńska uważały sobie za straszne uchybienie, gdyby przynajmniej ze sześć brzydkich jak noc panien, także ilość wychudłych mężczyzn i odpowiednia liczba mam nie wynudziła się wśród ścian jej salonu.

Pan Wentzel wprowadzał zwykle swych uczniów, drżąc na myśl wystawienia na światło licznych kandelabrowych wyplamionego tużurka<sup>33</sup> i gumowych kołnierzyków.

Była to dla niego najcięższa chwila w całym tygodniu.

Zwykle Marian i Julusiek ukłoniwszy się gościom zwracali się z dowcipnymi uwagami w stronę swego kozła ofiarnego.

Lecz dziś pan Wentzel był stokroć więcej zmieszany niż zwykle. List matki, poranne przejście z panią domu, a wreszcie scena z Ewelinką odebrały mu resztę przytomności.

Ewelinka w gronie panien rozpoczęła właśnie zajmującą rozmowę o emancypacji kobiet, pragnąc ją oprzeć na całkiem nowym gruncie, bo na darwinowskiej przemianie gatunków. Ewelinka lubiła popisywać się ze swą „głęboką wiedzą”, nie zaniebując przy tym powłóczystych spojrzeń.

Wypróbowała je rano na panu Wentzlu, była więc pewna swego i gradem ognistych spojrzeń obsypywała młodziuchnego blondynka, który jak wiśnia rumienił się i obrywał guziki u rękawiczek. Pan Wentzel, wciśnięty w kąt, stał opierając się plecami o ścianę.

Ponad nim płonęły świece kinkietu i oblewały go złotawym blaskiem i kroplami staryny. Marian zajął jedno z lepszych miejsc, tuż obok dobrze wydekoltowanej mężatki, i włożywszy ręce w kieszenie, patrzył i usta wydymał.

Julusiek zatrzymał się chwilę przed panem Wentzlem.

— Cóż pan tak tkwi koło ściany? Nie może pan usiąść?...

Pan Wentzel obejrzał się za fotelem, czując, że parę osób zwraca na niego uwagę.

W pobliżu właśnie stał wspaniały fotel, obrzucony makatą.

<sup>32</sup>*jour fixe* (fr.) — przyjęcie. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*tużurek* — dwurzędowy, ciemny surdut popularny na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

Pan Wentzel osunął się na niego machinalnie.  
 Julusiek wzruszył ramionami.  
 — Na fotelu? — zaskrzeczał podskakując na jednej nodze — jak jaki obywatel?... Nie możesz pan na krześle?...

Osoby siedzące bliżej zaczęły się uśmiechać.  
 Julusiek uczył, że odnosi sukces, i podniósł głowę z prawdziwym triumfem.  
 Pan Wentzel zacisnął usta i nie śmiał oczów<sup>34</sup> oderwać od ziemi.  
 Wniesiono herbatę.  
 Julusiek porwał z tacy filiżankę i zbliżył się z nią do nauczyciela.  
 — Napij się pan herbaty! — mówił, pakując się na kolana Wentzłowi — wyglądasz pan jak śmierć angielska... pij pan...  
 I potracił filiżankę, wylewając gorący płyn na rękę i tużurek Wentzła.  
 — Potem powiedzą, żeś się pan u nas zagłodził... — dodał, wykrzywiając się jak stary pajac.

Pan Wentzel ujął filiżankę i oglądał się za łyżeczką.  
 — Czego pan szuka?  
 — Łyżeczki!  
 — A to po co?  
 — Zamieszać!  
 — A nie możesz pan palcem?

I zląwszy z kolan nauczyciela, „wyjątkowe” dziecko zmieszało się z tłumem gości, depcząc po jedwabnych trenach dam i lakierkach mężczyzn.

Pan Wentzel pozostał w swoim kąciku z filiżanką herbaty w ręku.  
 Przed nim jakaś tęga brunetka prezentowała swą pełną szyję w oświetleniu płynącym z góry. Jej obnażone ramiona, fałda ciała na karku, fałda pełna tajemniczego cienia, mieszała pana Wentzła i napełniała jakąś bojaźnią. Sam, nędzny i chudy, lękał się dobrze rozwiniętego kobiecego ciała.  
 Zapach wydzielający się z sukien brunetki odurzał go do reszty.  
 Przy tym głos Ewelinki, donośny, trochę nosowy, jej śmiech nerwowy, nadto dobrze „ulożonej” panny, wstrząsał mu serce.  
 Uczuł się bliskim zemdlenia.  
 Nagle z tego pólśnu zbudził go skrzeczący głos Juluśka:  
 — Czyś pan kiedy kochał?

To wyjątkowe chłopię w ten sposób interpelowało rumianego blondynka, siedzącego obok Ewelinki. Mimo woli rozmowy uchliły. Julusiek miał własność śmieszenia całego towarzystwa, oczekiwano na coś bardzo dowcipnego.  
 Malec czuł się panem sytuacji.  
 Potrząsnął żółtą czupryną i rozstawił szeroko nogi.  
 — No! Powiedz pan, czyś już się kochał?...

— Nie... — wybąknął blondynek — jestem jeszcze za młody...  
 Julusiek szeroko otworzył oczy.  
 — Phi! — skrzeknął — a pan Wentzel młodszy od pana, a już się kocha.  
 Wszystkie oczy zwróciły się ku nauczycielowi, który otworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć, lecz głosu mu zabrakło.  
 — Ja bym panu powiedział, w kim — ciągnął dalej Julusiek — ale uprzedzam pana, że oni mnie zaraz za drzwi wyrzucą, bo prawdę powiem. O! Jewelinka i pan Wentzel to się mają ku sobie...  
 Purpurą oblała się twarz Ewelinki.  
 — Panie Wentzel! — zawołała, drżąc cała ze złości — proszę Julka wyprowadzić i zamknąć się z nim w dzieciennym pokoju...  
 Pan Wentzel podniósł się, czepiając poręczę fotela. Żyły mu na skroniach nabiegły, wyglądał jak pijany.  
 Chciał podejść do Juluśka, lecz malec szedł już ku drzwiom, dumny, zadowolony z uczynionego wrażenia, mrużąc ciągle:  
 — A co? Nie mówiłem, że gdy powiem prawdę, to mnie za drzwi wyrzucą?!

<sup>34</sup>oczów — dziś popr. forma D.lm: oczu. [przypis edytorski]

W dzieciennym pokoju pali się niewielka lampa, przysłonięta zielonym abażurem. Julusiek i Marian, zdaje się, śpią spokojnie w swych łózkach, ponakrywanych stosem kołder i kołderek.

Koło stołu siedzi pan Wentzel, kurcząc pod stołem nogi w zaplamionych atramentem skarpetkach. Przed nim leżą nożyczki, gruba igła, motek nici i kilka guzików. Pan Wentzel zabrał się do łatania swej codziennej kurtki i jakoś mu idzie niesporo. Kłuje się w palce, ścięgi daje monstrualnych rozmiarów! Miał zamiar sprawić sobie nową kurtkę na wiosnę, ale namyślił się — zrobi inaczej. Pieniądze te pošle rodzicom, właśnie matka pisała, że sklepik nic nie przynosi, ojciec coraz słabszy...

Pan Wentzel matce odpisał, guldeny w list włożył i teraz, szyjąc, spogląda z rozrzewnieniem na kopertę, która za parę dni w szerniałych od pracy rękach matki będzie.

I wśród tej ciszy nocnej w wyobraźni swej widzi pomarszczoną twarz ojca, wybladłe lica matki, którzy z radością się nad listem pochylą i sylabizować literę po literze będą.

Biedni! Biedni starzy!...

Pan Wentzel prawie uśmiechać się zaczyna. Na chwilę zapomina o swej nędzy, ciesząc się, że radość innym sprawia.

Nagle jakby na komendę z dzieciennych łóżek podnoszą się dwie rozczochrane głowy i rozlega się wrzask, od którego pan Wentzel drżeć i blednąć poczyna:

Hopsztynder! Madaliński!

Fiuta!... z kopyta...

Szara, ciach, ciach!... tańczy sobie

Z Barabaszem mazura!

Hej kolęda!... kolęda!...

Rodzina, Pieniądz

## Oślica

Gorączkowo Honorka zaczęła spowijać kwilące cichutko dziecko.

A wyciągając długi — na trzy łokcie powijak, mówiła ochrypłym głosem:

— Chodzi! Chodzi! Synulku!... pójdziemy na wesele twojego ojcaszka! Chodzi synulku, pójdziemy mu družbować, ale nie ołtarz mu sprawimy, ni jakie weselenie, jeno<sup>35</sup> łaźnię gorącą, że aż mu w piętach postygnie!

Stojąca obok barłogu, na którym leżało dziecko — kuma Kazimierzowa zaczęła nagle szlochać.

— A bezbożnik! Wydziwiacz, rozbijaka! Taką ci uczciwą dziewczynę z dobrej drogi sprowadził i teraz nijakiej pamięci o niej nie ma!...

Honorka szarpnęła silnie powijak.

— On ci pamięci o mnie nie ma, ale ja go za to w pamięci mam i niech mi Pan Jezus i Matka Najświętsza ręce i nogi poulamuje, jeśli ja go do ołtarza dopuszczę!... Beze mnie i bez<sup>36</sup> tę dziecinę przejść musi!...

— Prawdę masz! — przytakiwała kuma, obcierając lzy płynące gradem po tłustej i czerwonej twarzy — już ci takiej krzywdeczki to i Trójca Święta nie daruje. Ty się o swoje upomnij, Honorka, w twarz mu napluj — od młodej odciągnij, a swego nie daruj!

— I nie daruję! — powtórzyła zacinając zęby dziewczyna.

Wzięła duży szmat barchanowy<sup>37</sup>, który się suszył koło pieca, i przytrzymałszy jeden koniec w zębach, dziecko nim owijając poczęła.

Obracane jak piłka chłopię żałośnie płakać poczęło.

— Cicho, psiakrew, chorobo jedna! A bodajżeś się zadławił własnym ozorem, ty kundlu zatracony! A bodaj cię mór wydusił! — wybuchnęła Honorka, drząc prawie całą

Ojciec, Dziecko, Ślub

<sup>35</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>bez (reg.) — przez. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>barchanowy — wykonany z grubej tkaniny bawełnianej. [przypis edytorski]

od wewnątrz tłumionej rozpacz. I wstrząsnęła dzieckiem tak silnie, że aż jęknęło jak zdławione szczenię.

Wówczas kobieta przypadła twarzą do barłogu i gryząc koc, w nadmiarze rozpacz wołała:

— A nie jęcz ty nad moją biedną głową — sieroto nieszczęśliwa... bo jeszcze mnie w zbrodnię jaką zepchniesz.

Kuma Kazimierzowa pochyliła się nad klęczącą kobietą.

— A dajże spokój, Honorko, dziecku i nie widziwiał się nad tym robakiem!

— Bez niego to wszystko, bez niego!

Kazimierzowa wzruszyła ramionami.

— Oj, ty oślico! — wyrzekła z powagą — jak to: bez niego te rzeczy się dzieją? Czy to on ci się kazał z tym pędziwiatrem wdawać? A toć jego, robaka, na świecie wtedy nie było, jakżeście się złazili to w piwnicy, to w komórkach!

I odebrawszy dziecko z rąk Honorki, sama je spowijać i ubierać zaczęła.

— Nie w tym rzecz, aby nad niewiniątkiem pomstować — ciągnęła nosowym, monotonnym głosem — ale w tym rzecz, ażeby na czas do kościoła trafić i panu młodemu drogę mądrze zająć. — Słyszysz?

Honorka klęczała wciąż koło tapczana, mnąc w wychudłych rękach potargany i zniszczony kocyk. Z małego okienka, umieszczonego wysoko w ścianie tuż nad posłaniem, płynęła jasna struga światła i biła wprost na twarz dziewczyny zniszczonej słabością i zgryzotą, która jej duszę szarpała.

Nie odpowiedziała wprost na zapytanie kumy, lecz ściągając brwi, przez ściśnięte zęby wyszeptwała:

— Nie daruję! Nie daruję!...

Kazimierzowa skończyła ubieranie dziecka i zdjawszy z kołka ciemną chustkę, na plecy Honorki narzuciła.

— Chodzi! — wyrzekła — chodzi, już czas!

Po twarzy dziewczyny przemknął jakby cień przestachu. Przymknęła oczy i pozostała chwilę nieruchoma, jakby do tapczanu przykuta. Kuma już stała owinięta w chustę, gotowa do drogi, huśtając lekko kwilące dziecko.

— Honorko! Cóżżeś tak przykuła? Jak chcesz skandał zrobić — to duchem<sup>38</sup> nam iść trza. Już czas!

— Chwilę jeszcze, kumo! — prosiła Honorka — czegosić mnie teraz lęk ogarnia!

Kazimierzowa zachnęła się z gniewu.

— A ty oślico cholerna! — zawołała, kładąc dziecko na tapczan — ty nad tym robaczątkiem nijakiego „litosierdzia” nie masz! Toć na całe już życie przepadło ci wszystko, boć „honor” i cnotę w oczach ludzkich ten zgnieł ci odebrał, a dzieciaka na rękę ci rzucił i troskać się o niego kazał. Jak się „obżeni”, tyle już prawa do niego nie masz! Już ci ni Bóg, ni ksiądz żadnej sprawiedliwości nie da. Jak żeniaty, to od wszystkiego ochronny! Ale ty od pędzaka byłaś oślicą i słusznie cię nieboszczka matka tak przezwała! No! Czy to nie oślica? — kiedy jeszcze może co na swą stronę wyciągnąć... to kuca i mówi, że boja ma! Oj oślica ty! oślica!...

Honorka podniosła się z ziemi i schwywszy dziecko na rękę, ku drzwiom szybko posunęła.

— Chodźmy! — wyrzekła krótko, drzwi od stacji kopnięciem nogi otwierając.

Oczy jej się świeciły, usta miała znów zaciśnięte i zębami przygryzione.

— Nareszcie! — zamruczała kuma zamykając drzwi na kłódkę — aby go tylko dobrze po mordzie sprąła i publikę zrobiła!...

\*

Nieszpory się skończyły, lecz świece przy wielkim ołtarzu gorzały wciąż, oblewając żółtym, migocącym blaskiem szerniałe płótno, z którego bielilo się ciało Jezusa zawieszzonego na krzyżu.

<sup>38</sup>duchem (daw.) — szybko. [przypis edytorski]

Pomiędzy „wiernymi”, przepelniającymi lakierowane ławki, zapanował ruch i ożywienie wielkie.

Jedna „siostra” zapytywała drugą — dlaczego nie gaszą świec, skoro już wszystkie piękne pieśni zostały wyśpiewane.

— Zdaje się ślub jeszcze będzie — doszedł szept z ławek zajmowanych przez mężczyzn.

Kobiety wdzięcznie pochyliły głowy.

— Dziękujemy! Dziękujemy! — A czyj!

— Subiekta<sup>39</sup> z cukierni i córki kolejnika!

Wszyscy zaszemrali zadowoleni.

Warto zostać, taki ślub to już parada. Kolejarze, wiadomo, lubią wszystko z pompą — a taki subiekt z cukierni to „osoba”.

Tymczasem kościelny wyniósł dwie poduszki i przykląkwszy, układać je począł na stopniach.

— Poduszki! — zaszemrało na ławkach.

Lecz znów mężczyźni udzielają informacji bliższych co do osoby pana młodego.

Kobiety składają z westchnieniem książki i owijając na rękach długie różańce, wyciągają szyje — ciekawe, żadne wiadomości o tych ludziach, którzy za chwil kilka jak papugi powtarzać będą słowa sakramentalnej przysięgi.

— Więc cóż? Cóż? — pyta jedna przez drugą.

Pan młody — tak! — zapewne, człowiek bardzo uczciwy, porządny, uczony nawet — zdolny, ma jakieś oszczędności. Kto wie! Może niedługo założy i cukiernię. Z takimi jak on „głowaczami” to wszystkiego spodziewać się można.

Kobiety kiwają głowami, nagle spowaźniałe, jakby ta dobra opinia, którą się cieszy ów subiekt, przejęła je szacunkiem i powagą. Kościelny wnosi kropidło i naczynie z wodą święconą.

W ławkach powstaje znów szmer.

— Kropidło!... patrzcie, kropidło!...

Ale już dwa ścieśnione szeregi ustawiają się wzdłuż ławek, tworząc rodzaj alei bramowanej<sup>40</sup> ludźmi. Aleja ta od balustrady przeciąga się aż ku drzwiom głównym, które zakrystian w tej chwili na oścież otwiera. Turkot powozów, hałas uliczny, cały szum letniego, niedzielnego popołudnia wpada nagle w wilgotną ciszę kościoła.

Przez kolorowe szyby wpadające promienie słońca kładą kolorowe plamy na głowach i grzbietach ludzi.

— Przyjechali! Przyjechali! — dochodzi wołanie z tłumów zalegających stopnie perystylu<sup>41</sup>.

Jest to jednak fałszywy alarm.

W progu kościelnym ukazuje się družba w świecącym cylindrze i jasnym palcie narzuconym na ramiona. Dumny jest i wąsy ma podfryzowane żelazkiem fryzjerskim. Stojąc w progu kościoła, ogarnia jednym rzutem oka całą przestrzeń. Mrużąc oczy, zda się chce policzyć świece płonące na ołtarzu, po czym szybko, zaaferowanym krokiem przebiega wąskie przejścia, pozostawione wśród tłumy.

— Družba! Družba! — szemrze tłum, popychając się i wyciągając szyje za znikającym we drzwiach zakrystii mężczyzną.

Znów nowy napływ ciekawych tłoczy się pomiędzy bocznymi filarami kościelnej nawy. Pełno już jest i gwaro, kobiety półgłosem powtarzają sobie plotki o rodzinie panny młodej. Plotki te wyrastają spod ziemi; służą do zabicia czasu i skracają nudy oczekiwania.

Koło drzwi wchodowych<sup>42</sup> słychać przyciszone śmiechy. Jakiś żartowniś opowiada dziwy o samej pannie młodej.

— Ależ tak — podobno jakiś hrabia dołożył do posagu kilka tysięcy — ot! Z przyjaźni dla ojca.

— Hrabia dla konduktora?

— Co pan chcesz, dziś takie czasy...

I śmiechy zaczynają się w najlepsze, starsze kobiety sznurują usta i spuszczaają oczy.

<sup>39</sup>subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>bramowany — dosł.: obsyty po krawędzi pasem materiału. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>perystyl (z gr.) — termin architektoniczny: przedścionek wsparty na kolumnadzie. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>wchodowy — dziś popr.: wejściowy. [przypis edytorski]



Takie nieskromności w świętym miejscu, nie! — ci mężczyźni już żadnej wiary w sercach nie mają!

Lecz śmiechy milkną, bo w progu pojawia się nagle Honorka z dzieckiem na rękę, w asystencji Kazimierzowej.

Pojawienie się dwóch kobiet nie byłoby rzeczą niezwykłą, lecz Honorka, z której głowy spadła chustka, z twarzą pokrytą purpurowymi plamami, z pasmami włosów potarganych nad czołem i z konwulsyjnie zaciśniętymi wargami, wnosi z sobą jakąś ponurą grozę, która wydzielając się z jej całej postaci, każe zwrócić na dziewczynę oczy tłumu.

Kazimierzowa oddała jej przed kościołem dziecko — uznając za stosowne, aby matka z dzieckiem pojawiła się przed wszystkimi, i tak stoi teraz Honorka, cisnąc gorączkowo milczące dziecko do piersi, stoi jak przykuta w progu, podniecając się w energii i rozpacz, która jej biedną duszę szarpie.

Oczy ma suche, bez łez, podsiniałe i z osłabienia prawie zezem patrzące.

Stoi i zda się nie dostrzegać tłumu, który zbitą masą dokoła niej szemrze, z zwierzęcą ciekawością rzucając się na nową zdobycz. Lecz Kazimierzowa nie zasypia sprawy. Na widok oświeconego ołtarza oczy kumy nabiegają łzami. Poprawia chustkę i kiwa głową żalśnie.

— Tak! tak! — zaczyna z początku stłumionym głosem — przyszedliśmy do Pana Jezusa po sprawiedliwość i sąd Jego najświętszy! A niechże On naszą sprawę rozsądzi i nad sierotami zmiłowanie okaże!

Tłum wężchem przeczuwa skandal.

Ten i ów przysuwa się do Honorki, stojącej ciągle w progu z dzieckiem na rękę.

— A cóż to się wam krzywdą jaka stała?

Kazimierzowa znów głos zabiera.

— Stała się nam krzywdą ciężka, bo oto tę sierotę, co tu stoi, ten dzisiejszy pan młody sposponował<sup>43</sup>, cnotę jej wydarł, żenić się przyrzekał i oto teraz z pędrakiem porzucił jak psa na rozstaju!...

W tłumie zaszemrano i uciszono się nagle. Jakies zimno smutku i kobiecej niedoli powiało nagle nad głowami obecnych.

Mężczyźni instynktownie kurczyli się i pochylali głowy, kobiety otwierały szeroko oczy, wpatrując się w dziewczynę i w dziecko, które zdawało się być umarłym, tak leżało cicho wśród szmat i fałd chustki matczynej.

Lecz kuma nabierała coraz większej śmiałości i pewności siebie.

— A ino... nie po co innego my przyszły, ino po to, aby pannie młodej się sprezentować, publikę zrobić i nie dopuścić, aby ten wyrwipięta obżenił się na uczciwą wiarę.

— Dobrze robicie! — podparła jakaś podeszła jejmość — dobrze robicie, takiemu się przepuścić nie godzi.

— Tak! tak! — dorzucił siwy mieszczanin — zasługuje lekkomyślny człowiek na karę. Powinna go spotkać!

— I spotka! — wołała kumcia składając palce — jako ta dziewczyna przysięgała sobie, że go spierze i do ołtarza mu dostępu nie da. Co, Honorka? Nie darujesz?

— Nie daruję! — powtórzyła zdławionym głosem dziewczyna.

Lecz tu i owdzie przyciszone śmiechy odzywać się zaczęły. Już i u ołtarza wiedziano, że będzie „publika” i jakaś dziewczyna z dzieckiem ślub „aresztować<sup>44</sup>” będzie.

Uciecha więc wśród tłumu wzrosła i objawiła się dość głośno. Jakiś zmysłowy prąd przebiegł nagle zgromadzonych ludzi i usta im do uśmiechu rozchyłał. Kobiety patrzyły spod oka, sznurując usta, lecz na odsłoniętych karkach czuły wzrastającą w mężczyznach gorączkę zmysłową. Rzec można, że od stojącej na progu dziewczyny, z owocem swych nieuświęconych miłości na rękę, biegnęły prądy ciepła i przenikały ciała cisnącego się tłumu. W ciszę i powagę kościelnych murów, jak tony miłosnej pieśni wpadła ta gama cielesnych pożądań i zdała się burzyć spokój świątyni. Siedzące w kruchcie baby pozwiły różańce w drżących dłoniach. Święty Panie! taki „szkanda!” w kościele! Tu i owdzie dowcipnisie żartować zaczynają.

Erotyzm

<sup>43</sup>sposponował — dziś popr.: sposponował. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>aresztować — tu: zatrzymywać. [przypis edytorski]

Tak! tak! Orszak weselny już przybył. Nawet ten rak się troszkę pośpieszył... nie wiadomo, czy go prosili — ot! gość nieoczekiwany dla pana młodego!

Kto wie! Może młodzi będą kontenci<sup>45</sup>, że przyszli, ot, tak — do gotowego, a może i panna ze swej strony chowa jaką niespodziankę...

Ten i ów ciśnie się przyjrzyć bliżej Honorce. Hm!... wychudła, źle zbudowana, głowa roztargana...

Kobiety szepczą między sobą:

— Mogła się choć uczesać uczciwie, kiedy szła na publikę między ludzi.

Jakiś pan podszedł do niej i zajrzawszy jej w oczy, wyjmując z kieszeni małą notatkę. Półgłosem zadaje dziewczynie zapytania, na które ona nie odpowiada wcale, patrząc ciągle w przestrzeń spod brwi ostro ściągniętych. Pan ów, nie zrażony milczeniem, nie odstępkuje wszakże, tylko z kieszonki dobywszy ołówek, ślini go i coś w książeczce zapisuje.

— Gazetnik!... gazetnik!... — szemrze tłum dokoła.

Kazimierzowa uznaje za stosowne przemówić:

— Nie w gazecie, ale tu na tablicy winna być wyryta opowieść o takim włóczydrągu, co uczciwie dziewczyny z dobrej drogi zmania<sup>46</sup>!

— Nikt ją ta znów za łeb nie trzymał — wtrąca jakiś młody chłopak.

Kazimierzowa obraca się jak na sprężynach.

— Za łeb! za łeb!... Takie niewolenie słodką mową i przysięganiem to gorsza niż za łeb trzymanie!...

Chłopak mlasnął językiem.

— Nie trza było wierzyć!

W tłumie powstał szmer.

Nie wierzyć przysięganiu? A to coś nowego! Odkąd świat światem — Bóg przysięgania postanowił, a tych, co krzywo przysięgają, ciężko karze.

— A jeszcze przysięganie sierocie? — woła tryumfująco Kazimierzowa — sierotę ukrzywdzić, to jak obrus z ołtarza ściągnąć!

Wymowa jej i lzy kapiące po twarzy podbijają powoli wszystkich. Teraz miejsce przed wielkim ołtarzem opustoszało zupełnie, wszyscy cisną się do drzwi wchodowych, zgorączkowani, podnieceni tą sceną, jaka wybuchnie za przybyciem państwa młodych. Tu i owdzie stają na ławkach, zwłóczą z kątów krzesła, czepiają się chorągwi. Jasna, rozczochrana głowa Honorcki stanowi teraz punkt świetlany, ściągający oczy całego tłumu, żadnego widowiska, łaknącego skandalu, choćby zań kobieta łzami zapłacić miała!

Honorka tymczasem stoi ciągle milcząca, nie zdając się zwracać uwagi na zaciekawienie i wzruszenie, którego jest przyczyną. Wpatruje się w świecę migocące na ołtarzu i jak błyskawica tak przed nią przesuwa się rok ubiegły, w którym tyle bólu i smutku zaznała.

Widzi pana Teodora, jak zza kontuaru<sup>47</sup> rzuca na nią spojrzenia, które niby ukrop w jej żyły wlewają. Gdy ją państwo, u których za młodszą służyła, posyłałi po sucharki do herbaty, biegła z radością, a przed drzwiami cukierni stała długo, nie mogąc ośmielić się wejść i przemówić do pana Teodora, który jak święty z obrazka wydawał się jej na tle błyszczących luster zdobiących półki bufetów. Imponował jej niezmiernie, pomimo że Honorka do nieśmiałył dziewczyn nie należała wcale i niejednego „chłopa odstawila” wcale tego, gdy na udry pomiędzy nimi poszło. Lecz wobec Teodora zapomniała języka w gębie i stała tak przed kontuarem, cała w płomieniach, bełkocząc i siejąc po ziemi miedziaki trzymane w garści. On mrużył oczy, uśmiechał się, żartował — przyzwyczajony do dominowania nad kobietami, z niedbałością pięknego samca. I nawet później, gdy już posiadał ją o szarej godzinie wśród stęchlizny piwnicy lub duszącej atmosfery strychu — Honorka — zawsze pozostawała nieśmiałą, przerażoną jego pięknoscią, zdławioną — z oczyma lez pełnymi, nie śmiejąc poruszyć się, uczynić jednego gestu, odetchnąć głośnie. A gdy wreszcie — porzucona, zapomniana przez swego uwodziciela, któremu oddała z jakąś pokorą klejnot swego dziewictwa, uczuła się matką — doznawała głuchej nienawiści, gniewu na samą myśl o tym człowieku. Nie napastowała go, nie chodziła za nim, urodziła dziecko zacisnąwszy zęby — i w duszy swej zaczęła gromadzić całe morze jadu, które groziło lada chwila wylaniem.

<sup>45</sup>kontent (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>zmaniac (reg.) — sprowadzać w złą stronę. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>kontuar — lada w barze. [przypis edytorski]

Kuma zawiadomiła go przecież o urodzeniu dziecka, lecz piękny subiekt mruknął coś tylko i wzruszył ramionami.

Gdy Kazimierzowa scenę tę przed barłogiem położnicy odtwarzała, Honorka wlepiała w nią oczy od gorączki błyszczące.

— Łajdak! — wyrzekła przez zaciśnięte zęby.

Pierwszy to raz głośno wymówiła na niego obelgę.

Umilkła przerażona.

Lecz powoli, podniecana przez Kazimierzową, dawała folę swemu żalowi. Zapomniała, jak wyglądał sprawca jej nieszczęścia, nie widząc go tak dawno, nie odczuwała już przyniatającego wpływu, jaki wyższością swą, elegancją i całym obejściem<sup>48</sup> na nią wywierał. Rozpacz przepelniała jej serce i wstrząsała nią całą. Widok dziecka podniecał ją. Chwilami zdawało jej się, że jest zdolna zamordować mężczyznę, który rzucił ją brutalnie o ziemię, aby później — na wiadomość o jej nędzy i cierpieniu wzruszać ramionami z pogardą. „Ścierwo sobacze!” — mówiła, szarpiąc pazurami aż do krwi pierś swoją od pokarmu wzdętą — „Zgin! Przepadnij! Oślepnij! Zgnij do kości!”. Zdawało się jej, że miłość, jaką miała dla Teodora, wymarła w niej od dawna, że nic prócz żalu, gniewu i nienawiści, nic już w głębi swej duszy nie chowa.

Na wiadomość o ślubie subiekta wybuchnęła wreszcie całą wściekłością, na jaką tylko cierpliwe i nieśmiałe istoty zdobyć się umieją.

Kazimierzowa podsunęła jej myśl wstrzymania ślubu i zrobienia publicznego skandalu. Uczepiła się tego projektu natychmiast, gorączkując się, podniecając — przeklinając bezustannie. Ani jednej lzy nie miały jej oczy, chwilami zdawała się być obłąkana.

Teodor, którego kontury w jej wyobraźni zatarły się zupełnie, przedstawiał jej się jako zwierzę znieawidzone, wstrętne, plugawe, któremu chciała skoczyć do oczów i zdeptać za krzywdę jej uczynioną. Nie widząc go — czuła się silną, mocną, jakkolwiek coś w jej wnętrzu szarpnęło się trwożliwie, gdy kuma zawołała jeszcze w stancji: „już czas!...”

Lecz tu — w kościele, przed ołtarzem oświetlonym jarząco, w chłodnej atmosferze świątyni — jakaś moc wstępuje w nią powoli, lecz moc to jakaś dziwna, jakby boleść jej umniejszająca. Nie modli się, a przecież zda jej się, że ktoś dokoła niej szepce modlitwy, pacierze...

Nie modlitwy to jednak szepcą dokoła, tylko żarty, uwagi, słowa ciekawości.

Tłum cały aż drży z pragnienia takiego „grubego skandalu”.

Taka rzecz nieczęsto się trafia.

Nareszcie turkot zajeżdżających kół oznajmia przybycie gości weselnych.

Nie dorożki to — ale karety przywożą państwa młodych i liczną drużynę, karety z białymi lejcami, umyte i lśniące w promieniach słońca.

— Przyjechali! Przyjechali!

W tłumie powstaje nie szmer, lecz jakiś krzyk ciekawości ludzkiej.

Krzykiem tym publiczność zda się chce podniecić Honorkę do zrobienia skandalu. Jak zwierzę wygłodniałe rzuca się na padlinę, tak tłum ten, chciwy wrażeń, drży z radości i nieszczęśliwą do ukazania swej zranionej duszy popycha.

Wolno — z szumem jedwabiu wchodzi orszak weselny do kruchty<sup>49</sup>.

Przodem idzie panna młoda, wysoka blondynka, o płaskiej twarzy i kręconych włosach. Z bezczelnością niemal dźwiga koronę dziewiczą, tonącą w obłokach białej iluzji. Idzie, pewna siebie, uśmiechnięta, wysuwając naprzód watowany biust jedwabnego stanika. Prowadzą ją drużbowie we frakach i glansowanych rękawiczkach. Przed tym białym zjawiskiem tłum usuwa się instynktownie, pozostawiając opartą plecami o filar Honorkę. Panna młoda przechodzi próg i wolno, poprzedzana przez dziadka kościelnego, sunie do ołtarza, a tren jej sukni, wlokący się po ziemi, pozostawia za sobą jakby smugę świetlaną...

Lecz Honorka zda się nie spostrzegać nawet przejścia panny młodej. Teraz drży cała i blada jest jak opłatek. Gdy karety zajechały przed kościół, doznała nagle jakby silnego uderzenia z tyłu głowy. Tchu jej zabrakło, serce jej młotem wali...

Nagle — wśród jasności słonecznej ukazuje się sam pan młody.

Jest dziś piękniejszym niż kiedykolwiek.

<sup>48</sup>obejście — sposób zachowania. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>kruchta — przedsionek kościoła. [przypis edytorski]

Frak nowy leży na nim jak ulany, włosy zafryzowane, twarz starannie wygolona, spinki u koszuli złote i wielkie jak złotówki.

Z tryumfem spogląda w głąb kościoła na ołtarz jasno oświetlony i bawi się brelokami u zegarka.

Dwie drużki w lekkich sukniach, z wachlarzami i włóczkowymi pelerynkami, prowadzą go, śmiejąc się ochotnie.

Oczy wszystkich zwracają się teraz w stronę Honoroki...

Co to będzie! Co to będzie!... Czy da mu w papę? Czy go po prostu nawymyśla i w oczy napluje!

Lecz — o dziwo... dziewczyna na sam widok Teodora blednie jeszcze więcej i oczy przymyka. On — nie widzi jej wcale, zajęty teraz jedną z druzek, która upuściła na ziemię koronkową chusteczkę.

I nagle — Honoroka, kurcząc się i starając zniknąć sprzed oczu wszystkich, zasuwa się powoli za filar — wybuchając cichym, zdławionym płaczem.

Na próżno kuma stara się ją popchnąć naprzód, na próżno osoby otaczające ją dokoła pochylają się ku niej i szepcą słowa zachęty. Ona jedną ręką ciśnie do piersi dziecko, drugą czepia się filaru, a z oczów jej płyną strumienie łez gorących.

— Nie mogę! Nie mogę! — szepce, łkając cicho.

Organy tymczasem huczą przeraźliwie, pan młody przechodzi kruchcie i idzie pewnym, śmiałym krokiem, kłaniając się lekko znajomym wśród tłumu.

Kuma próbuje raz jeszcze podburzyć Honorkę.

— Bój się Boga! Nie bądź oślicą! Despekt<sup>50</sup> sobie robisz nadaremny!... Wstań, leć! Jeszcze czas! Tyle ludzi czeka!... Honoroka, nie bądź oślicą!...

Lecz Honoroka nie rusza się z miejsca. Na widok Teodora dawny lęk ją ogarnął.

Gdy stanął tak teraz przed nią piękny, uśmiechnięty, zdrów, wystrojony — gdy go poczuła znów od siebie kilka kroków — nie! — ona nie mogła rzucić się na niego, krzycząc tak, jak to sobie ułożyła, i pluć mu w twarz, i dziecko pokazać. Nie! Nie! Raczej woli umrzeć, niż taką rzecz zrobić.

Tłum, zawiedziony w swych nadziejach, szybko zwrócił się do ołtarza, gdzie już ceremonia ślubu się zaczynała. Złocista kapa księdza migiała ponad głowami ludzi. Głuchy szmer niechęci i gniewu przebiegał szeregi. Jak to? Nie będzie skandalu? Cóż sobie myśli ta głupia dziewczyna, zwodzząc ludzi w ten sposób?... e! — kto wie — to pewnie jakaś ulicznica, to dziecko, kto wie, czy to pana młodego, skoro ona nie śmie do oczów mu stanąć...

Tak! tak! Taki porządny mężczyzna wie, co robi, jeśli porzuca. Już musiał mieć w tym swoją rację...

Niektórzy wszakże usiłują bronić Honorkę.

— Stchórzyła!

— Rozbeczała się!

— A to głupia!

— Idiotka!

— Oślica!

— Wszystko jedno, dość, że stanąć do oczów nie śmiała. Chodźmy lepiej do ołtarza.

— Ślub szykany!

Teraz wszyscy cisną się do ołtarza, przed którym ksiądz zamienia młodej parze obrączki. Wśród cisy kościelnej słychać skrzeczący głos panny młodej i basowy głos księdza, mówiących na przemian przysięgę małżeńską:

— Ja — ja, Stanisława, Stanisława, biorę — sobie — sobie...

Koło filara, poza który ukryła się Honoroka, zrobiła się pustka. Dziewczyna klęczała sama, szlochając cicho. Kuma Kazimierzowa, czując się obrażoną, wyszła z kościoła, czerwona z doznanego wstydu.

Schodząc ze wschodów, poprzysięgła sobie szmaty Honoroki wyrzucić na cztery wiatry.

O! nie — mogła mieć litość nad nędzą tej idiotki, ale tolerować jej głupotę i brak odwagi w dopominaniu się o swoje prawa, a wreszcie na narażenie Kazimierzowej na

<sup>50</sup>despekt — urażenie czyjegoś honoru. [przypis edytorski]

pośmiewisko i podejrzenia ludzkie, że broniła nieczystej sprawy — na to Kazimierzowa przystać nie chce i nie może.

Tymczasem ceremonia ślubna szła dalej nieprzerwanie. Pan młody przysięgał czystym, dźwięcznym głosem i z podniesionym czołem odpowiadał wyraźnie na zapytanie księdza:

— Nie ślubowałeś komu innemu wiary małżeńskiej?

— Nie.

Powoli zaczął podbijać i ujmować tłum cały i przeciągać na swoją stronę. Jego jasne spojrzenie, kark dobrze wymyty, frak wpadający do stanu<sup>51</sup> — imponowały ciżbie. W ogóle ślub cały, orszak weselny szeleszczący jedwabiem, srebrna tkanina sukni panny młodej i jej biust obciągnięty materią — wszystko to podbijało zgromadzenie i sprawiało jak najlepsze wrażenie.

Honorka ze swą rozczochraną głową, obtarganą chustką i dzieciakiem spowitym w szmaty traciła sympatię i ci, którzy usiłowali przez chwilę trzymać jej stronę, umilkli — zwyciężeni.

Tymczasem ona klęczała ciągle koło filara, płacząc i płacząc bez końca. Zdawało się, że jakiś strumień nieprzebrany z oczów jej spływa. Cała jej rozpacz, gniew, uraza, boleść w łzach tych topniała i jeno dziecko tuliła do twarzy, mocząc szmaty, którymi owinięte było. Organy jęczały, wstrząsając jej duszą do głębi. Jak robak zdeptany wiła się na zimnych flizach świątyni, cała drżąc od bólu, którego określić nie była w stanie. Czuła dobrze swą krzywdę, ale kryła się z nią w cieniu, i choć on tam był o kilka kroków — nie chciała mu się już narzucać z nędzą swoją.

Gdy go zobaczyła, gdy ta mara jej nocy bezsennych znów stała się ciałem, stanęła przed jej oczami w pełni życia i majestatu wszechpotęgi męskiej — ona upadła na kolana, zwyciężona, bezsilna, drżąc z bólu i w poczuciu swej nędzy.

— A was wszystkich tu obecnych biorę za świadków, jako to małżeństwo zostało prawnie i przykładowo zawarte.

Po czym ksiądz zaczął żegnać i kropić obecnych, którzy czynili znaki krzyża i obcierali z nosów i policzków krople święconej wody.

Organy zabrzmiały wesołym marszem.

Koło ołtarza ruch się zrobił niemały, poczęto znów się tłoczyć, zaglądać w oczy pannie młodej i drużkom. Wreszcie cały orszak z szumem, szelestem i śmiechem posunął ku wyjściu.

Karety jedna po drugiej podjeżdżać zaczęły. Przechodnie zatrzymywali się na chodnikach, grupy dzieci cisnęły się do drzwiczek powozów.

Tren panny młodej pokrył się cały kurzem i szare smugi ciemniały na fałdach jedwabiu. Pani Teodorowa pociemniała ze złości pod obłokami dziewiczego welonu.

— Psiakrew, cholera! — wymówiła wsiadając z furją do karety.

Za nią wskoczył Teodor, naciągając na plecy zielonkawę króciutkie palto, podbite żółtawym jedwabiem.

\*

W kościele Honorka pozostała sama. Kościelny sprzątał poduszki, zaginał rogi dywanu.

Honorka płakała ciągle, czując jakby ogień pod czaszką. Piersi i plecy bolały ją jakby od silnych uderzeń pięścią. Czuła dobrze, iż wszystko się dla niej skończyło, że teraz już nawet żyć nie może nadzieją jakąkolwiek. Zrozumiała, że nigdy nie będzie miała dość odwagi, aby stanąć przed człowiekiem, któremu wszakże oddawała się z uległością suki, i powiedzieć mu w oczy:

— Uczyni cokolwiek dla mnie, którą zaprzepaściłeś, i dla dziecka, które spłodziłeś!...

Kościelny przeszedł kilkakrotnie koło niej, dzwoniąc kluczymi.

Wiedział, co ją sprowadziło do kościoła, dostrzegł ją wśród tłumy jeszcze przed słubem, gdy stała groźna u progu i mówiła przez zaciśnięte zęby:

— Nie daruję!

<sup>51</sup>stan (daw.) — wcięcie w pasie, talia. [przypis edytorski]

Widząc, że płacze ciągle, nie poruszając się z miejsca, podszedł do niej i potrącił ją lekko.

— Wstawać i iść do domu... nic już tu nie wyklęczone.

Ona podniosła głowę i przez łzy zalewające jej oczy spojrzała w ciemną przestrzeń kościoła. Spojrzała i naraz cała przyszłość stanęła jej przed oczami.

Dziecko drzemiące u jej piersi zaciążyło jej bez miary.

— O Jezu! — szepnęła przymykając oczy.

Lecz kościelny niecierpliwił się naprawdę.

— Idźcież sobie — cóż to, myślicie tu nocować?

Powoli, z wysiłkiem, dziewczyna podniosła się z klęczek i ku drzwiom kierować się poczęła. Łzy dwiema strugami płynęły jej znowu z oczu zboliałych.

Potknęła się o krzesło, wreszcie odnalazła drzwi i wysunęła się na ulicę.

Gdy drzwi się za nią zawarły<sup>52</sup>, kościelny chwilę się zamyślił, cień smutku przemknął po jego starej, zawiędłej twarzy.

Nagle ramionami wzruszył i podnosząc przewrócone krzesło, wyrzekł krótko:

— Oślica!

Tymczasem Honorka zagłębiała się wolno w ulicę, po której sunęły świątecznie przystrojone tłumy, szła, kołysząc lekko kwilące cicho dziecko i idąc, ocierała łzy płynące z oczu strumieniem.

## Kukutka

— *Tiens! tiens! c'est du propre!*<sup>53</sup> — mruknął przez zęby pan Seweryn, gdy rządcą wyszedł już z pokoju.

— Wyprowadzić się? Tak, *tout d'un coup*<sup>54</sup>... ni stąd, ni zowąd, wyprowadzać się z tego mieszkania, urządzonego z takim staraniem, opuścić te kąty, w których meble stoją jakby przyrośnięte do lśniącej posadzki! Wyprowadzić się, i to dla tej błahej przyczyny, że gospodarz żeni się i pragnie połączyć dwa sąsiadujące ze sobą lokale i sprowadzić się do nich z żoną!

Seweryn wzruszył ramionami.

Żenić się!

Także mądra instytucja! Żenić się! Po co? Na co? Wszakże o wiele wygodniej można urządzić życie *en garçon*<sup>55</sup>, wygodniej i weselej...

Żenić się!

Dzika myśl Sewerynowi nie powstała nigdy w głowie, choć trzydzieści pięć lat skończył przed miesiącem. I dobrze mu w tym brakonierskim<sup>56</sup> stanie, w tej włóczędzie po cudzych zagonach, które zwiedza z ciekawością dobrze rozwiniętego samca, poszukującego zaspokojenia swych chęci. Wstaje rano bez troski o życie całej rodziny, bez pisku dzieci, swarów mamki z kucharką i braku guziczka z tyłu koszuli. Wszystko jest w porządku, buty wyczyszczone, woda przegotowana, zmieszana z tinkturą<sup>57</sup> benzoesową do mycia twarzy, mydło Houbiganta odwinęte z obłonek, krem migdałowy tuż obok flakonku gliceryny, a ocet Bully'ego, świeżo przyniesiony, ma już markę oderwaną i koreczek lekko uchylony.

Koło łóżka, na małym stolyczku przygotowana filiżanka ziółek Jambard; obok leży ręczne lustro znacznie powiększające i fiszbin do języka. Zmaczana w letniej wodzie i napojona esencją werweny serweta wisi na poręczy łóżka tuż obok pary jedwabnych, przewróconych na lewą stronę i opylonych lekko proszkiem Viguiera skarpetek. W całym pokoju cisza i półcień dyskretny. Portiery<sup>58</sup> ciemne brązowe, łóżko szerokie francuskie na podwyższeniu pokrytym ciemnym dywanem.

<sup>52</sup>zawrzeć (daw.) — zamknąć. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*Tiens! tiens! c'est du propre!* (fr.) — Słuchaj! Słuchaj! Ładna historia! [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*tout d'un coup* (fr.) — nagle; ni z tego, ni z owego. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*en garçon* (fr.) — po kawalersku. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>brakonierski (daw.) — kłusowniczy. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>tinktura (z łac.) — maść. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>portiery — zasłony. [przypis edytorski]

W kącie toaletka, cała gra szczotek z kości słoniowej, wielkie flaszki z ekstraktem cordialisu i bzu białego. Tychże zapachów woda do włosów i niezliczona moc małych pudełeczek brylantowego proszku do paznokci. Pomędzy nimi — pilniczki, siodełka, nożyczki spiczaste i zagięte. W kącie tuż przy poduszeczce pełnej szpilek — pudełko z *veloutiną ambre*, puszek łabędzi i jakby ze wstydem wciśnięte kilka widel szylkretowych<sup>59</sup>, kobiecych, do spinania greckich fryzur. Oprócz tych „widel” — wszystko w najwyższym porządku poukładane, świecące, błyszczące jak samowary Żydówki. Wielka lampa w stylu bizantyjskim, wysadzana kamieniami, zwiesza się od sufitu, nadając tej sypialni fałszywy ton kaplicy. W lustrzanej szybie szafy odbija się stojący pod ścianą niski szeszlony Marie Antoinette, pokryty aksamitną draperią. Na aksamicie, jak wąż mikroskopijny, leży w łuk skręcony kawałek błękitnego jedwabnego sznurowadła, zerwanego silną, a nerwową ręką...

Opodał — na dywanie nie dojezdzone maluchne ciasteczko z wygryzioną konfiturą i zlizanym lukrem.

Seweryn podniósł się na łóżku i sięgnąwszy ręką po filiżankę ziółek, zrzucił na ziemię pudełko *pâte des prêtres*<sup>60</sup>, który nadawał alabastrowy ton rękcom.

Był zdenerwowany i silnie podrażniony przez tę niespodziewaną wizytę rządcy wypożyczającego mu mieszkanie.

Trzeba szukać nowego lokalu.

Hm! Ale czy to tak łatwo...

Wreszcie — tu kamienica dyskretna, lokatorowie nie zajmują się plotkami, zdają się nieżywi poza uroczyste zamkniętymi drzwiami głównego wejścia. Kto wie — na co trafi Seweryn i czy nie wyniknie z tego cały szereg przykrych zajść i kolizji.

Sięgnął ręką po skarpetki i wolno wstawać zaczął.

Spojrzał w okno.

Dzień był jesienny, ciepły jeszcze, ale trochę pochmurny. Jakies szare, smutne światło płynęło przez szyby przysłonięte japońską siatką, po której latały z podniesionymi skrzydłami dziwaczne ptaki.

Seweryn skrzywił się i trochę przygasłymi oczami powlókł dokoła. Jakkolwiek szarawe cienie włóczyły się po kątach, mieszkanie to wydawało mu się po prostu rajem. Taka cisza, taki spokój, panujący nawet poza oknami! Nieledwie słyhać było kroki rzadkiego przechodnia, idącego wzdłuż domów.

Od czasu do czasu zaskrzeczała papuga siedząca na balkonie przeciwległego domu.

To było wszystko.

Seweryn kładł teraz na siebie komplet z białej flaneli w niebieskie paski i włożywszy ręce w kieszenie od kurtki, przyglądać się sobie począł. Pomimo lekkiego znużenia w oczach, miał cerę zdrową i świeżą. Wyciągnął język, potem przyjrzał się uważnie gałkom ocznym, wreszcie, wyciągnąwszy muskularne ramiona, stał tak chwilę, patrząc zmrużonymi oczyma w lustro. W tej białej puszystej flaneli wydawał się o wiele tęższym i bardziej rozrośniętym, niż był w rzeczywistości. Uderzył się po piersiach rękami i klatkę naprzód wysunął w niezwykły sposób. Po czym kurtkę na sznury zapiął i obróciwszy się profilem, wygiął się jak panna na wydaniu. Przyglądał się rysunkowi tydek, które pod miękką tkaniną flaneli wyraźnie się zaznaczały. Pomacał się po udach, syknął lekko i poruszając torsem, począł próbować solidność bioder...

Tak! Tak — był w całym rozwoju siły i zdrowia. Herbata Jambard utrzymywała mu żołądek wybornie, a brak wszelkich ekscesów nie wyczerpywał go ani na jotę. Odłożył sobie właśnie tyle, ile mógł zużyć bez naruszenia zdrowia... Używał bez wstrząśnień i wrzuseń niepotrzebnych, a czytając *Catulle* Mendèsa, wrzusał ramionami przy opisie wyczerpujących walk miłosnych.

— *C'est idiot*<sup>61</sup>! — decydował, zamykając książkę. On systematycznie wypijał rozkosz pocałunku tak jak swą przeczyszczającą herbatę. Gdy nadchodziła chwila miłosnej schadzki, wyjmował z szafy koszyczek z drobnymi ciasteczkami i butelkę, przygotowywał ocet Bully'ego, szpilki, puder i najspokojniej usiadłszy w saloniku, oczekiwał zjawienia się kobiety. Gdy spóźniła się cokolwiek i wpadła zadyszana, zmęczona, szepcząc słowa

<sup>59</sup>szylkret — tworzywo z pancerzy żółwi morskich. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*pâte des prêtres* — rodzaj kremu. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*C'est idiot* (fr.) — to idiota. [przypis edytorski]

usprawiedliwienia, on spokojny, uśmiechnięty zdejmował z jej twarzy woalkę, którą się szczerze osłaniała, i mówił trochę ironicznym głosem:

— Cóż wielkiego! Spóźniłaś się — to rzecz bardzo naturalna.

Po czym szedł ku drzwiom i uchyliwszy je, rzucał do przedpokoju zawsze jedno i to samo zdanie:

— Karol! Nie ma mnie w domu!

Z przedpokoju wydobywał się bezdźwięczny głos:

— Dobrze, jasnie panie! — i zasuwka drzwi wchodowych opadała z suchym łoskotem.

W ten sposób rozpoczynała się każda schadzka, w równie spokojny kończyła się cała miłośćka.

Seweryn bowiem zawiązywał stosunki jedynie z... mężatkami, mając w tym stały system, od którego nigdy nie odstępował. Były to najczęściej żony przyjaciół, dobrych znajomych, którzy, rozmarzeni *chartreuse*<sup>62</sup> lub koniakiem w czarnej kawie, z łokciami opartymi na stole, roztaczali tajemnice alkowy małżeńskiej, na wzór króla Candaula, i w zamian za swoją wiarę otrzymywali wprawdzie nie pchnięcie śmiertelne, lecz szczerbę w honorze i miłości żony. Seweryn bowiem skwapliwie chwycił za włosy każdą okazję i umiejętnie czynił legion kochanek z tych mężatek spragnionych nowości, ciekawych występku, a kryjących dyskretnie łzy i rozpacz w chwili zerwania. Wybór jego padał zwykle na kobiety dbające o pozycję zajmowaną w świecie i miejsce w domu męża; wiedział, że tego rodzaju kochanka nie odważy się na sceny, na ucieczki, na opowiedzenie w chwili podrażnienia wszystkiego mężowi... Wiedział, że gdy chwila stanowcza nadejdzie, chwila nieuniknionego zerwania, po chwilowej burzy przywitają się znów z uśmiechem i spokojem wobec zwróconych na nich czujnych oczu towarzystwa. Wspaniałomyślnie — podczas trwania miłości — pozostawiał wolność kobiecie, nie kontrolując stosunków z mężem, owszem, popychając ją nieledwie w objęcia smutnego rywala.

— Trzeba mieć furtkę w razie wypadku.

Kilkakrotnie „furtka” ta okazała się deską ocalenia. Kobiety z uśmiechem wdzięczności przyznawały Sewerynowi słuszność, dziecko miało nazwisko i prawo do majątku, matka nie straciła względów i szacunku świata, a prawdziwy ojciec usuwał się w cień, zacierając ręce!...

Jedna tylko żona urzędnika kolejowego stawiała mu się opornie i wprawiła go przez pewien czas w kłopot niemały swym głupim sentymentalnym postępowaniem. Ale była to kobieta nie z towarzystwa, spotkana przez Seweryna w Alejach, w chwili nerwowego rozdrażnienia. Podbiła go od razu dziwnym spojrzeniem białych, błękitnych oczów i twarzyczką Madonny. Gdy, wbrew swemu zwyczajowi, poszedł za nią i przemówił przyciszonym głosem — stanęła, spojrzała mu w oczy i wyciągnęła doń rękę obnażoną, na której błyszczała obrączka.

Seweryn rękę podaną ujął, nie mogąc zrozumieć, co go ciągnęło w ten wieczór wiosenny do tej źle ubranej i trochę pochylonej kobiety, narzucającej mu się nieledwie pod cieniem szumiących drzew.

Stosunek ich trwał parę miesięcy. Seweryn nie był nigdy w domu Anny, znał tylko jej życie z opowiadań kochanki. Wprędce znudziła go brakiem elegancji i cienkiej bielizny, raziła zbyt wielkim uczuciem, w którym dopatrywał się przesady.

Ona, zakochana do szaleństwa w tym wspaniałym mężczyźnie, którego każde zbliżenie mieszało ją i słodką rozkoszą przejmowało, była niezręczną jak każda zakochana kobieta. Przynosiła mu za gorsetem z grubej szarej dymy pąki fiołków lub skrapiała włosy olejkami peruwiańskimi. Nosiła niskie buciki z powyciąganą gumą i podwiązki pod kolanami.

W dodatku uparła się być mu wierną, wierną do głupoty, i mówiła mu o tym bezustannie, kładąc głowę na piersi.

On, zdenerwowany, powtarzał słowo „furtka” po raz setny i przemyślał o sposobie zerwania z tą niewygodną kochanką, cichą i uległą, przysięgając sobie nigdy nie wykroczyć z przepisanych granic postępowania. Pewnego letniego wieczora Anna, rumieniąc się i jękając, wyszeptwała Sewerynowi do ucha tajemnicę, która ją radośnie przejmowała.

On drgnął cały i porwał się z miejsca.

— Co teraz zrobisz?

<sup>62</sup>*chartreuse* — francuski likier ziołowy. [przypis edytorski]



Ona spojrzała na niego słodko i uśmiechnęła się spokojnie.

— Będę twoją do śmierci. Jutro dom męża opuszczę!

Na czoło Seweryna wystąpiły krople potu.

— Dlaczego?

— Przecież teraz jako matka twego dziecka, mieszkać z nim nie mogę...

— Dlaczego?

Nastąpiła chwila milczenia.

Głos nagle zamarł w piersiach kobiety, klęczała ciągle obok szezlonga, na którym leżały porozrzucane szpilki wypadłe z jej włosów, kapelusz i rękawiczki; twarz nagle pobladała zwróciła ku Sewerynowi, który przebiegał pokój wzdłuż i wszerz, potrącając meble.

— A mówiłem o furtce, mówiłem tyle razy — ale cóż, pani chciałaś się bawić w sentymentalizm, w wierność! *Tiens... c'est du propre! c'est mignon!*<sup>63</sup>...

Z okrucieństwem mężczyzny, który widzi nagle porządek swego życia zakłócony niepotrzebnym zdarzeniem, wyrzucał z siebie Seweryn cały potok słów, które jak chłosta spadały na pochyloną głowę kobiety.

— Czyż to nie czyste szaleństwo było z mej strony? — mówił dalej tonem, na jaki tylko niekochający mężczyzna zdobyć się może — czyż to nie była demencja brnąć dalej i nie przewidzieć, do czego mnie pani doprowadzić możesz! Ale ja umyvam od wszystkiego ręce... To nie moja wina. *Tirez vous de cette affaire vous même... Voilà!*<sup>64</sup>...

Stał tuż przed nią, pochylając nad nią swą maskę rozzłoszczonego *viveura*<sup>65</sup>, mając wielką ochotę kopnięcia tej kobiety, która dawszy mu tak słabą i niewyraźną rozkosz, miała śmiałość wkraczania w wygodnie urządzone życie, z dzieckiem w dodatku!

Nie, tego było za wiele! Wszystkie inne, te które miał poprzednio, oznajmiały mu podobny wypadek z dyskretnym uśmiechem, a on — przybierał minę rozczulonego papy, wiedząc, że nic nie ryzykuje, i szeroko otwartą furtką może wyjechać, nie tylko wyjść najspokojniej; ta jedna! — ta głupia mieszcza — uparła się przy swej wierności, jakby on tego wymagał!...

Bizantyjska lampa zawieszona u sufitu rzucała różnokolorowe, pokrajane światło. Przez zielone kamienie trupie prawie padały blaski.

W blaskach tych podniosła się nagle Anna, blada, z szeroko rozwartymi oczyma. I z włosami rozwianymi, z rękami naprzód wyciągniętymi ku drzwiom kierować się począła.

Seweryn postąpił za nią kilka kroków.

— *Tirez vous de l'affaire!*<sup>66</sup>... — powtórzył, lecz ona, nie odwracając nawet głowy, otworzyła drzwi i zniknęła w ciemnej głębi salonu.

Po chwili trzask zamykającej się bramy doleciał przez półuchylone okno.

Seweryn chciał biec za tą kobietą, której bladość i milczenie dziwnie nań podziały, lecz... egoizm przemógł<sup>67</sup>. Z uczuciem niewysłowionej błogości usiadł na fotelu, oddychając ciężko.

Ach... uniknął nie lada niebezpieczeństwa, kobieta wykręci się z tej matni, a on przysięga sobie nigdy nie bawić się w sentymenty, lecz czerpać dalej rozkosze w cudzych, a dobrze znajomych mu gniazdach...

Czekał jeszcze dni kilka, sądząc, że Anna powróci lub parę słów napisze.

Nie — milczenie zupełne.

Teraz Seweryn odetchnął pełną piersią. Uczuł się ocalonym rzeczywiście i na dobre.

Od tego zdarzenia upłynęło lat siedem.

Przez te lata Seweryn miał znów kilka intryg; a przechodząc przez Ogród Saski, uśmiechał się na widok małej dziewczynki, bawiącej się kamyczkami i kasztanami zbieranymi wśród żwiru.

Dziewczynka miała ciemne oczy i kręcone włosy Seweryna, a linia jej łydek wyginała się w charakterystyczny sposób.

Niańka, zapytywana o nazwisko rodziców malutkiej, odpowiadała uprzejmie:

<sup>63</sup> *Tiens... c'est du propre! c'est mignon!* (fr.) — Słuchaj! Ładna historia! Jakże to mile! [przypis edytorski]

<sup>64</sup> *Tirez vous de cette affaire vous même... Voilà!* — Sama wyciągnij się z tej afery, ot co! [przypis edytorski]

<sup>65</sup> *viveur* (fr.) — człowiek korzystający z życia. [przypis edytorski]

<sup>66</sup> *Tirez vous de l'affaire!* (fr.) — wyciągnij się z afery! [przypis edytorski]

<sup>67</sup> *przemóc* (daw.) — tu: zwyciężyć. [przypis edytorski]

— Państwo Wanderkraft. — A dziewczynka uśmiechała się do przechodniów uśmiechem, który przypominał chwilę najwyższej kokieterii podbójczej Seweryna.

Czasem sama pani Wanderkraft siadała obok niańki i prezentując swe silnie rozwinięte biodra w obcisłej fularowej sukni, dozorowała zabawę dziewczynki.

Gdy Seweryn zbliżał się do ławki, kobieta uśmiechała się przyjaźnie pod purpurową osłoną rozpiętej parasolki i głośno przywoływała córeczkę.

— Sewerciu! Przywitaj się z... panem!

Dziecko dygało, wyciągając tłustą łapkę, a kobieta spoglądała pogodnie w twarz mężczyzny, który odpowiadał jej również tym spokojnym, prawdziwie męskim uśmiechem. Cudzołożna żona i jej współnik jak dobrze wychowani ludzie załatwili całą sprawę!

Furtka była otwarta.

Furtką tą wsuwało się kukulcze piskłę do cudzego gniazda.

*Ainsi va le monde*.<sup>68</sup>

Pani Wanderkraft postąpiła w tym wypadku, jak każda światowa i dobrze wychowana kobieta postąpić powinna. Dała dowód taktu i uszanowania własnej godności.

Dlatego Seweryn przeciągał ten stosunek i czuł się zupełnie zadowolonym.

I dziś — dziś właśnie, kiedy wczorajsza schadzka powiodła się znakomicie, żołądek funkcjonuje wybornie, a żółte plamki pod lewym okiem znikają pod działaniem „Anti-Bolbosu” — dziś właśnie wymówiono mu mieszkanie...

— Nie! *C'est du guignon! Rien de plus*.<sup>69</sup>

I nachmurzony odrywa się Seweryn od kontemplacji własnej osoby, a przegiąwszy się w tył woła:

— Paul!

Spoza przymkniętych drzwi salonu odzywa się ochryply głos:

— Słucham, jaśnie panie!

I oto na progu, w szarawym oświetleniu, ukazuje się Paweł w pantoflach i białym fartuchu, sięgającym mu aż pod brodę.

Jest to mężczyzna lat trzydziestu, wybladły i wychudły, obnoszący swą twarz zniszczonego rozpustą ulicznika w obramowaniu rudych rzadkich faworytów.

Seweryn w tej chwili przegląda się w lustrze, wyszczerzając zęby.

Paweł czeka na progu, zimny, spokojny, utkwivszy wzrok przygasły w przeciwległą ścianę.

Wreszcie Seweryn zmienia pozycję i usiłuje dojrzeć maluchną plamkę czerwieniejącą się pod lewym uchem:

— Nic innego, tylko ta Klara... a prosiłem... prosiłem. — Paul!

— Słucham, jaśnie panie!

— Zobacz! Co ja mam pod lewym uchem.

— Plamkę, jaśnie panie.

— Plamkę?

— Plamkę.

— Pewnie mnie... coś ukąsiło.

— Pewnie jaśnie pana coś ukąsiło.

— Daj kremu ogórkowego, może zniknie!

— Może zniknie, jaśnie panie.

Nastąpiła chwila milczenia.

Seweryn wycierał szyję białą tłustą masą, odchyliwszy dobrze kołnierz kurtki i flanelowej *bleu de France*<sup>70</sup> koszuli.

Blady promień słońca przebił się w tej chwili przez chmury i, przyciemniony gazą rozpiętą w oknach, oblał żółtawym blaskiem tęgi i potężny kark zwycięzcy, triumfatora z zapasach miłosnych.

— Paul!

— Słucham, jaśnie panie.

— Musimy się stąd wynosić!

<sup>68</sup>*Ainsi va le monde!* (fr.) — tak porusza się świat. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*C'est du guignon! Rien de plus* — To pech! Nic więcej! [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*bleu de France* (fr.) — błękit francuski (obecnie mówi się: błękit paryski). [przypis edytorski]

— Musimy, jaśnie panie.

— Trzeba szukać mieszkania!

— Trzeba, jaśnie panie!

Seweryn ujął powiększające lustro i postąpiwszy do okna, bacznie się szyi przyglądał.

— Znika? Co?

Paweł zbliżył się także.

— Znika, jaśnie panie.

— Przygotuj wodę!

— Dobrze, jaśnie panie.

Seweryn położył lustro i rozpinać począł kurtkę.

Paweł rozesłał na podłodze ceratę, po czym rozwinął i ustawił gumową balię, a przy niej rodzaj polewaczki z kauczukowym wężem.

— Peniuar<sup>71</sup> wygrzany?

— Wygrzany, jaśnie panie.

Seweryn powoli zdjął kurtkę i za chwilę tors jego muskularny, wspaniały, lśniący zabłysnął w półcieniu pokoju.

Promień słońca ślizgał się po tym różowym cieple o ciemnowych, sinawych tonach.

Wąska ścieżka kręconych włosów przecinała tors na dwie połowy.

Wtedy oczy Seweryna padły na leżące na ziemi na wpół rozgniecione ciastko. Zmarszczył brwi, jakby dojrzał coś nieprzyjemnego.

— Paul!

— Słucham, jaśnie panie.

— Patrz!

Nagim ramieniem wskazywał dywan klęczącemu na ceracie służusowi.

— Sprzątnij!

Paweł na klęczkach posunął się po dywanie i podniósłszy ciastko, drugą ręką sięgnął po zostawione na sofie błękitne sznurowadło.

Po czym wstał, ciągle spokojny i niewzruszony, plecijkę dyskretnie położył obok szylkretowych szpilek w kącie toalety, a ciastko cisnął zręcznie skrzeczącej na balkonie papudze.

Od dwóch tygodni poszukiwał Seweryn mieszkania.

Zrobił pięćset osiemnaście piętér i nie mógł zdecydować się na wybór.

Wszędzie bramy były zanadto widne, za wiele drzwi wychodziło na klatkę schodową, lokatorowie zdawali się zanadto ruchliwi.

W dwuznacznej pozycji, jaką Seweryn sobie w życiu obrał, były to rzeczy nadzwyczaj ważne. Do tej chwili lawirował szczęśliwie pośród znieważanych mężów, którym ścisnął uprzejmie ręce i oddawał drobne usługi.

Nie miał ochoty poznać tragicznej strony medalu.

Wesoła wystarczała mu zupełnie.

Toteż szukał i szukał odpowiedniej bramy, w której cieniu mogłaby jak w przepaści zginąć biegnąca do niego kochanka.

Paul ze swej strony dokładał starań niemało. Obydwaj wieczorami schodzili się w sypialni, zniechęceni, pożółkli, ze skórą dziwnie na twarzy wciągniętą.

Snadź<sup>72</sup> podobne forsowne przechadzki obu tym *viveurom* nie dodawały zdrowia.

I gdy Seweryn, kładąc się, owiżywał głowę fularem<sup>73</sup>, twarz nacierał magnoliną, a ręce pastą kardynalską, spoglądał żałośnie na Paula, skrapiającego mieszaniną octu toaletowego i wody kolońskiej firanki otaczające łóżko.

— Nic nie znalazłem — mówił jęczącym głosem.

— I ja także, jaśnie panie — odpowiadał lokaj.

— Rozpacz!

— Rozpacz, jaśnie panie.

<sup>71</sup>peniuar — tu: pelerynka zarzucana na kark przy czesaniu włosów. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>fular — jedwabna chusta noszona zamiast krawata. [przypis edytorski]

I Seweryn jęcząc zakładał na twarz rodzaj maski irszanej, napojonej goldcremem, a faworyty podwiązywał długim kawałkiem fularu, skropionym wodą portugalską.

— Może... jutro — bełkotał przez wąski otwór, wykrajany w szmacie irchowej.

— Może... jutro, jaśnie panie — odpowiadał lokaj.

Tymczasem przechodziło jutro bez żadnego rezultatu i tak samo dni następne.

Pewnego jesiennego popołudnia Seweryn zdenerwowany włókł się wzdłuż kamienic, zatrzymując się przed każdą wywieszoną kartką.

Wstąpił już do dwóch domów, pomimo że ulica nie przypadła mu do gustu.

Ruchliwa była, co chwila przeleciała przez nią dorożka, to znów o kilka kroków grała katarynka wyjątki z *Carmen*.

Jakiś mały piesek usiadł na trotuarze<sup>74</sup> i wył podnosząc do góry spiczastą mordkę.

Seweryn dnia tego czuł się w dziwnym usposobieniu.

Obudził się z niesmakiem w ustach i w duszy.

Cała skóra go bolała na ciele i czuł nieledwie każdy włoszek swych faworytów, które dziś sterczały suche i bez żadnego połysku.

Uspodobienie jego wewnętrzne było szare i znużone. Czuł mimo woli jakiś przesył i wspomnienie ciała Klary, które go prześladowało, było mu wstrętne nad wyraz wszelki.

Spotkał ją w Saskim Ogrodzie przechodzącą z córeczką. Nie rozumiał, dlaczego coś go pchnęło ku dziecku, które było krwią jego krwi, jego własnym płodem.

Lecz mała — rozkapryszona, zdenerwowana, odwróciła się, nie chcąc się przywitać z „panem”. Chciał nalegać, schylił się, aby ująć ją za rączkę, pragnąc dotknięciem się tego świeżego, dziecięcego ramienia obronić przeciw jakiejś tęsknocie, która go trawiła.

Lecz niańka ujęła dziecko, wołając:

— Sewerciu! Patrz... tata idzie!...

Dziecko odwróciło główkę i wyciągnęło ręce w stronę nadchodzącego mężczyzny.

Seweryn cofnął się i przeszedł szybko, zamieniając lekki ukłon z przyjacielem.

Zaczął znów szukać mieszkania.

Szedł prostując się z całej siły woli i przybierając obojętną minę. Lecz piosenka z *Car-*  
*men* i wycie psa wstrząsnęły nim do głębi.

— Ach, te nerwy! — pomyślał.

Szybko wszedł do bramy, przy której widniała kartka.

Za chwilę dzwonił do drzwi parterowych, przed którymi leżała zużyta słomianka.

Drzwi otworzył mały chłopiec, najwyżej lat sześciu, dobrze rozwinięty, szeroki w ramionach, z karkiem doskonale osadzonym.

Otworzywszy drzwi, pochylił główkę, jakby oczekując wytłumaczenia.

— O mieszkanie... — wycedził Seweryn.

Chłopiec, stukając gwałtownie obcasami, zniknął w ciemni przedpokoju.

Za chwilę słychać było donośny głos dziecięcy:

— Mamo!... Jakiś o mieszkanie!

— To pokaż! — odezwał się głos kobiety z głębi mieszkania wychodzący.

Seweryn wszedł do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi wchodowe<sup>75</sup>.

Zapach gotującej się brukwi i topionego masła uderzył go na wstępie.

— Kuchnia musi być blisko — wyszeptał z niezadowolaniem.

Lecz nie miał już czasu oddawać się dłuższym uwagom nad rozkładem mieszkania, bo drzwi prowadzące do saloniku otworzyły się z impetem i w jednej smudze światła ukazał się chłopiec a potrząsając energicznie głową, zawołał:

— Proszę pana za mną. Mamcia nie ubrana, a tatki nie ma. Dzieci mają lekcje i nie ma nikogo starszego, tylko ja jeden.

Mówiąc to, wydymał w dziwny sposób klatkę piersiową i uderzał się po niej z zadowoleniem.

— Salon! O! — wyrzekł wyciągając szyję — niech pan wejdzie, choć pan zabłoci, nic nie szkodzi, jutro będą froterować!

Seweryn spojrział dokoła.

<sup>74</sup>trotuar (z fr.) — chodnik. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>wchodowy — dziś popr.: wejściowy. [przypis edytorski]

Dziwnym mu się wydawał ten „salon” pełen szydełkowych kap i serwetek, które wszędzie czepiały się jak rój nocnych czepków mieszczańki, opadłych na ciemną wełnę mebli, na jesionowe stoliczki, na trzcinę etażerek<sup>76</sup>, na pudło nędznego fortepianu. Przed kanapą, na płaszczyźnie stołu pokrytego siatkową szarą serwetą, sterczała lampa, której podstawa tonęła w pataraŃce<sup>77</sup> ze strzyżonej włóczki i szklanych owoców.

Mała, czworograniasta czapeczka okrywała szkielko.

Chłopiec stał teraz na środku pokoju, rozstawiając nogi. Małe, szare oczy o stalowych błyskach utkwili w twarzy Seweryna, który z pustych ścian saloniku wzrok swój mimo woli przeniósł na źrenice dziecka. I przez krótką chwilę te dwie pary oczu o jednakowym, ciemnym a przejmującym, połysku tonęły w sobie, jakby zlewając swe stalowe promienie w jedną chłodną, szarawą smugę.

Wreszcie Seweryn ocknął się pierwszy.

— Czy jest jeszcze co więcej? — zapytał.

— Jest, proszę pana, pokój mamy i taty, dziecinny, jadalny, kuchnia, pasaż i schowanko — recytował mały.

Przez uchylone drzwi, prowadzące do dalszych pokojów, wyjrzała mała dziewczynka.

Chłopiec przybrał poważną minę.

— Niech Maryś idzie do kuchni, do Magdaleny — wyrzekł mrużąc oczy, a odwróciwszy się w stronę Seweryna, dodał ze śmiechem: — Moja siostrzyczka!

Malutka schowała się czym prędzej, nie omieszkawszy pokazać nieznanemu końca różowego języka.

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Pan daruje, ale to jeszcze małe! — wyrzekł otwierając drzwi na roścież — proszę pana, jadalnia!...

Seweryn przestąpił próg i stanął koło ściany, opierając się o nią plecami.

Przed nim, na sosnowym, dość dużym stole, okrytym ceratą, stały talerze z grubego fajansu o żółtawych, gliniastych cieniach, grube szklanki zieleniły się w odstępach, serwetki starannie wyprostowane i pozwijane wsunięte były w czarne, blaszane kółka.

Pod ścianą kredens, na wpół otwarty, z wysuniętym blatem, ukazywał ubogie wnętrze wypełnione blaszanymi puszkami cukru, kawy i herbaty. Wielki bochenek chleba, świeżo napoczęty, rozkładał wśród masy okruszków swe ciemnawe wnętrze, okolone brunatną, spieczoną skórą.

Pod oknem maszyna do szycia, na wpół przykryta sztywną merłą<sup>78</sup> zszywanej spódnicy, i krzeselko wyplatane odsunięte na środek pokoju. Dokoła stołu kilka krzeseł wyplatanych i dwa wysokie foteliki dziecinne z zasuwanyymi linijkami. Na jednym poduszczecka czerwona perkalowa i przewieszony przez poręcz śliniaczek szydełkowy, nawleczony czerwoną tasiemką. Wszystko to jednym rzutem objął Seweryn. Jakieś dziwne przygnębienie ogarniało go wśród tych ścian pustych, przed tym ubogim stołem, pośród tej duszącej woni kuchennej i stukotu tasaka o stolnicę, dolatującego spoza drzwi źle przymkniętych.

Cała nędza rodzinnego życia, smutnego, pełnego poświęceń, prywatności<sup>79</sup> i obowiązków, zdawała się spływać tu z trywialności trosk codziennych. Tylko różowa i uśmiechnięta twarzyczka chłopca miała w sobie świeżość małego egoisty, zabierającego w swe płuca najzdrowsze cząstki powietrza, a w usta największy kęs mięsa i największy kawał chleba.

I znów oczy Seweryna spoczywały na drobnej a dobrze rozwiniętej postaci dziecka, które pogwizdując lekko, wyszarpywało z bochenka chleba kawałek ośrodka i maczając go w solniczce, zjadało ze smakiem.

Seweryn przypomniał sobie, że dzieckiem będąc lubił namiętnie chleb z solą i zakradał się przed obiadem do sali jadalnej, aby wyprosić u lokaja kawałek ośrodka.

Wspomnienie to sprawiło mu pewien rodzaj przyjemności.

Mimo woli uśmiechnął się do chłopca uśmiechem koleżeńskim, przyjemnym, porozumiewawczym.

Malec nie został mu dłużnym.

Jakby w zwierciadle odbił się na różanych ustach dziecka uśmiech mężczyzny.

<sup>76</sup>etażerka — mebel złożony z kilku otwartych półek. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>pataraŃka — dekoracyjna podkładka pod lampę. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>merla — cienka tkanina bawełniana. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>prywatność (daw.) — obywanie się bez czegoś. [przypis edytorski]

To samo zadrganie nerwowe kącików, to samo zmarszczenie brody.

— To dobre przed obiadem — bełkotał chłopiec i uderzył się znów po klatce piersiowej, smarując przód flanelowej białej bluzki tłustymi rękami.

Seweryn stał ciągle przy ścianie, obserwując dziecko. Poddął się bezwolnie pociągowi ku tej małej, kędzierzawej główce, kręcącej się przed nim w mgławym świetle dnia jesienno-go. Chłopiec ten zaciekał go i śledzić wzrokiem za sobą kazał. Szare źrenice spod długich rzęs błyskały mu pożądliwie, gdy skubał ośrodek chleba... tęgi kark odsłaniał się z szeroko rozwartego kołnierza bluzy, kark o zarysach wspaniałego w przyszłości samca, podbijającego kobiety siłą sprawianej rozkoszy.

Na karku tym zatrzymał się dłużej wzrok Seweryna, zdawało mu się, że gdzieś już widział podobny szmat ciała, tylko większy, grubszy, porosły krótkimi włosami, majaczący we mgle zestawionych umiejętnie luster... i osłonięty draperią białej flaneli.

— Teraz pokażę panu dziecinny pokój, później mamci i kuchnię!

Z łoskotem malec szarpnął drzwiami i przed oczyma Seweryna ukazał się pokój podłużny, zastawiony kolderkami z pąsowego wytartego kaszmiru. Duży stół, zarzucony książkami i zabawkami, czernił się na środku.

Koło pieca suszyło się prześcieradełko, na ziemi leżała naga lalka, z której sypały się trociny.

Jakieś gorąco wilgotne panowało tu, wyziew mokrej bielizny i rozlanych na podłodze mydlin.

Pod stołem siedziała malutka dziewczynka, wydzierająca kartki z wielkiej książki.

Pod oknem na obdartym skórzanym koniu huśtał się czteroletni chłopczyk, chudy, anemiczny, wybladły.

Chłopiec oprowadzający Seweryna jak szalony rzucił się ku dziecku kołyszącemu się na koniu.

— Złaż! To mój koń! Złaż natychmiast!

I silny, z pasją wyrytą na drobnej twarzyczce, strącał brata, który z pokorą dziwną zlązł z siodła, zaczepiając się o powiązane sznurkami strzemiona.

Chłopiec, cały purpurowy, z krwią nabiegłą do oczów, rzucił się teraz pod stół i wyrwał dziewczynce książkę.

— Ty, oddaj, to moje!

Książkę rzucił na łóżko, po czym, porwawszy za łeb konia, wsunął go w kąt tuż przy łóżku, które zapewne było jego miejscem spoczynku.

Dzieci, milczące, przytuliły się do siebie — nędzne, drobne, małe, poddając się brutalnej przemocy, jaką wywierał nad nimi ten chłopak, zdający się rządzić tu bezpodzielnie, brać pod swe panowanie wszystko, co było jeszcze do wzięcia w tej nędzy urzędniczej, w tych ubogich sprzętach, powleczonych kurzem trywialności.

Seweryn znów oparł się o ścianę i śledził wzrokiem drobną postać chłopca, który z wysiłkiem pakował konia za łóżko.

I zdawało mu się, że dziecko to jest mu doskonale znajome, że widywał je codziennie dawniej i teraz odnalazł nagle wraz ze wszystkimi ruchami, tonacją głosu, karnacją skóry...

Wreszcie — rzecz dziwna, Seweryn odczuwał, jakby z jego wnętrza coś się oderwało i poruszało teraz w małych a silnych członkach tej istoty, nurtowało tę kędzierzawą główkę, objawiało się w suchych, urywanych zdaniach, wyrzuconych z tej klatki dziwnie wydętej pod ciekłą tkaniną białej flaneli.

Nagle — drzwi w przeciwległej ścianie otworzyły się na roścież i stanęła w nich kobieta okryta ciemnym flanelowym szlafrokiem, wiszącym luźno na wychudłym jej ciele.

Stanąwszy w ramie drzwi, które poza nią rozwarły się szeroko, ukazując profil łóżek okrytych brązowymi kapami i przedzielonych małą, ciemną szafką, wyciągnęła rękę ku hałasującemu dziecku.

— Maniek! — wyrzekła suchym, bezdźwięcznym głosem — nie hałasuj, wiesz, że mnie głowa bo...

Reszta słów uwięzła jej w gardle.

Dostrzegła Seweryna i obiema rękami schwyciła się za piersi.

Poblądła jak ściana i na chwilę oczy przymknawszy, oparcia ciałem szukała.

On — poznał ją także, poznał od razu, jakkolwiek straszną zmianę te lat siedem naznaczyły na jej twarzy.

Był to szkielet Anny — tej Anny, która podniosła się wśród blasków bizantyjskiej lampy, milcząca i blada, i odeszła z płodem cudzołożnym w łonie, nie wymówiwszy ani słowa do swojego współnika.

Teraz stali przed sobą, oboje bladzi — mając pomiędzy swymi ciałami całą przeszłość pieszczot, zmysłowych porywów i chwilę rozstania gorzką i gwałtowną, z początkiem brzemienności kobiety.

Wreszcie — ona odzyskała przytomność i podniosła głowę.

W wyblakłych jej oczach, otoczonych sinawymi cieniami, zadrgała cała gama niewiści głuchej, tajonej wśród nocy bezsennych, na szafocie małżeńskiego łóżka, wśród których — do krwi gryząc wargi — tała wyznanie prawdy, rwące się na usta w porywie bezdennej rozpacz i cielesnego obrzydzenia.

Wszystko to mignęło w jej oczach i padło na twarz Seweryna jak uderzenie biczem cienkim, wiązonym w silne zadziergnięte węzły.

— Czego? — zapytała.

Mężczyzna milczał, nie mogąc zdobyć się na odpowiedź.

Ta kobieta wydała mu się w tej chwili straszną, tragiczną, wielką w swym gniewie.

— Czego? — zapytała.

Czuł, że odezwać się musi.

— O... mieszkanie — wyjąkał, pocierając jedną łydkę o drugą.

Kobieta uśmiechnęła się ironicznie.

— To mieszkanie nieodpowiednie dla pana, wyjść proszę!...

Wyciągnęła drżącą rękę w kierunku drzwi.

Seweryn stał jednak ciągle, zmieszany, z oczyma spuszczonymi w ziemię.

— Wyjść proszę! — powtórzyła kobieta.

Lecz on powoli, nieśmiało wzrok swój od ziemi oderwał i na chłopca stojącego koło łóżeczka przeniósł.

— To... on? — zapytał cichym, ledwie dosłyszalnym głosem.

Na twarz kobiety wystąpił rumieniec.

— Wyjść proszę! — powtórzyła przyciszonym głosem.

Seweryn patrzył wprost już w twarz chłopca, który — odstąpiwszy od łóżka — znalazł się pomiędzy nim i matką, a wsadziwszy ręce w kieszenie od kurtki, łydki wygiął, pierś naprzód podał i z uśmiechem na Seweryna spoglądał.

I był to on, on sam w zmniejszonym formacie, on — egoista, on — samolub, on — brutalny samiec tyranizujący wszystko! Kukulcze piskłę zagarnęło gniazdo dla siebie, rozpierając się w nim z zuchwałością bękarta...

W oczach kobiety szklily się łzy, głowę oparła o ramę drzwi i ponuro patrzyła przed siebie.

Seweryn machinalnie rękę ku dziecku wyciągnął.

Sięgnął jak po swoją własność, zapominając, że w nikczemnym egoizmie swoim stracił prawo do istoty spłodzonej przez siebie i podrzuconej nieznanemu człowiekowi.

Lecz Anna nagle jak hiena porwała się ode drzwi i schwyciwszy dziecko jedną ręką, drugą, chudą i drżącą, wyciągnęła z wspaniałym gestem silnej w swym prawie kobiety.

Spoza zaciśniętych zębów wybiegło jedno jedyne słowo:

— Precz!...

I słowo to było tak silne, tak tętniące obietnicą niecofnięcia się przed niczym, iż Seweryn po raz pierwszy w życiu ustąpił nędznie przed wzrokiem kobiety, kurcząc się i cofając ku wyjściu jak znikczemniale, wypędzone z cudzego legowiska zwierzę...

## Lewek

Małe to było, brzydkie, krępe, na krzywych nogach osadzone, z głową kudłatą i z bezczelnym spojrzeniem w zielonawych, świdrowatych oczach, których usiłowaniem najgorętszym było rzucić piekielne, podbójcze błyski.

„Demoniczny jestem”, mawiał pukając się w wypukłe piersi okryte wykrochmaloną koszulą, „demoniczna bestia jak chyba nikt na świecie”. I pakował gałkę od laski

w szerokie usta, które oblizywał ciągle grubym, sinawym językiem. Nogi obute w płyt-  
kie lakierowane pantofle wyciągał przed siebie, ohydny, trywialny, śmieszny pod jasnym  
blaskiem porannego słońca, filtrującego złotawe światło przez liście kasztanów nad ław-  
kami się zwieszających.

Spoglądał na przechodzące kobiety z lekceważeniem pozornym, a z utajoną lubież-  
nością. Kiwaniem nogi, wydęciem ust zdawał się mówić jak sułtan rozparty na sofie  
w haremie:

„No! Któraż tam!... Pan czeka!...”

Lecz w myśli powtarzał sobie:

„Ach!... żeby też która!...”

Lecz kobiety omijały go szybko, nie zwracając nań najmniejszej uwagi. Czasem za-  
staniwały się parasolkami, aby uniknąć jego natrętnego i bezczelnego spojrzenia, które on  
uważał za szczyt demoniczności. Często — gdy zniecierpliwiony, rozdrażniony, wstawał  
z ławki i z arogancją zaglądał pod ronda kapeluszy mężatek pilnujących dzieci lub na-  
stępował na pięty dziewcząt, uśmiechających się w promieniach słonecznych — ta i owa  
mruknęła przez zaciśnięte zęby:

— Błazen!

On wtedy zaciskał zęby z wściekłością, przybierając pozornie rozpromieniony wy-  
raz twarzy. Siedzący bowiem na ławie przyjaciele śledzili go z uwielbieniem, patrząc,  
jak „zachodzi”, i jak kobiety rzucają mu w przelocie jakieś słowa, które on, szczęśli-  
wiec! z uśmiechem niedbałym przyjmuje. Gdy powracał do ławki, kołysząc się na swych  
krótkich, kaczych nogach, gołowasy młodzieniaszek w świat podbojów wchodzący, za-  
pytywał:

— I cóż? I cóż? Co one powiedziały?...

Ireneusz wydymał dolną wargę:

— Ha! Lecą na mnie!

Po ławce rozchodził się szmer uwielbienia.

Wiadomo bowiem, że Ireneusz należy do tych wybrańców, którzy mają szczęście  
u kobiet! Już w czwartej klasie miał taką reputację, gdy za brązowymi spódniczkami pen-  
sjonarek gonił, spocony, czerwony, kroplami potu na krótkiej, niekształtnej szyi okryty.

Pensjonarki pluły, złościły się, obrzucały go rozmaitymi epitetami, on to wszystko ze  
stoicyzmem znosił — wiedząc, że w oczach kolegów rośnie na zjadacza serc panieńskich,  
na donżuana, na kobieciarza! Podtrzymując reputację swoją pracował i nadal w tym kie-  
runku, zamieniwszy tylko teren swych manewrów, wiecznie w pogoni za kobietą, zawsze  
głodny, a udający przesyconego, drżący na szelest krochmalonej spódnicy pokojówki,  
a ziewający na widok koronek wylaniających się spod sukni szykownej strojnisz.

Szlachectwo obowiązuje!

Reputacja Irka była ustalona.

Demoniczny i szczęśliwy do kobiet!...

Tylko tyle.

Godność tę trzeba było dźwigać na swej kwadratowej głowie pod groźą śmieszności  
i odstąpienia podbójczego berła komu innemu.

Tego Irek byliby nie przeżył.

Chował więc „błazna” do kieszeni i mówił, zapalając papierosa:

— Lecą na mnie!

Lecą! Och!

Akuszerka, odbierając Irka, zaopiniowała w dwie minuty po urodzeniu się tego roz-  
kosznego dziwotworu w następujących wyrazach:

— Chłoptaş szelma, śliczny jak lalka, do mamy podobny jak dwie krople wody. Będzie  
miał szczęście do kobiet!

Ojciec — suchy, biedny, zawiedły urzędnik — stojący pod piecem z pieluszkami  
w ręku, uśmiechnął się blade.

— Jak Boga szczerze kocham — przyświadczyła akuszerka, wodę na kąpiel szykując  
— będą za nim hrabiny latały, już ja się znam na tym.



Słowa pani Malinkiewicz, powtarzane często w obecności już podrastającego Irka, głębokie nań wywarły wrażenie.

— Powiedziała! O! Powiedziała!... Musiała coś przecież wiedzieć, z palca sobie tego nie wysłała.

Uczył się, ale za to był bezustannie w fałdach kobiecych spódnic, wcześniej roznamiętniony i ofiarowujący się z miną znudzonej przymusowym dziewictwem kobiety. Odpychano go jednak, tak był wstrętny, z oczyma zielonawymi, powleczoneymi mgłą namiętności, z ustami wpółotwartymi, o zaślimaczonych kącikach. Przez grzeczność, w obecności rodziców, dziewczęta znosiły go pomiędzy sobą, unikając dotknięcia jego rąk zimnych i wiecznie spoconych. On — połykał upokorzenia, znosił przycinki, znajdując dziwną rozkosz w słowach obcych, widzących go w gronie dziewcząt.

— Irek ma szczęście do kobiet! Patrzcie!... Zawsze jest pomiędzy nimi!...

Gdy podrośł, zaczął się zastanawiać, czym właściwie można podbijać kobiety.

Czytał wiele, zatrzymując się zawsze nad opisami bohaterów, którzy — szczególnie obdarzeni od natury — uwodzili po sześć kobiet dziennie, porzucając je później na pastwę tęsknoty i rozpaczy.

Bohaterowie ci mieli przeważnie „czoło wyniosłe, otoczone kruczymi kędziorami, twarze pociągłe, blade, nozdrza namiętne, rozdęte”. Jeden z bohaterów Balzaka, uwodziciel urzędowy, miał wargę dolną lekko obwisłą, „świadczącą o zmysłowości”...

Zaczęły się więc tortury ciała Irkowego.

Włosy smażyły się i piekły na żelazku od rurkowania spódnic, nieruchome i mięsiste nozdrza, rozciągane palcami, nabrały pewnych ruchów przy wciąganiu powietrza, warga zaś dolna — ta nieszczęsna warga — miała rzeczywiście pozory zmysłowości „szalonej”.

— Irek, co robisz z ustami? — wołała matka, cicha, potulna kobiecina, nie mogąca pojąć, jak zaszczytne stanowisko zająć ma jej syn w społeczeństwie.

Projekt na „lwa” — tymczasem wargę ciągnął i nozdrzami ruszał, tworząc sobie w ten sposób maskę podbójczą, niezwalczoną...

Wzrósłszy w lata i w ciało, krępy i nabity, rozsadzający pełnością kształtów jasne garnitury, aplikował u jednego z adwokatów, zapelniając ciasną kancelarię trywialną, ostrą wonią chypru. Lokował się przy drzwiach salonu, aby za każdym ich otwarciem rzucić w głębię przenikliwe spojrzenie, samą adwokatową mające na względzie.

Pani ta jednak, jakkolwiek w niebezpieczną trzydziestkę wkroczyła i miała lekki puszek na wierzchniej wardze, posiadała tylko jedną namiętność, to jest... rurki czekoladowe napełnione kremem. Pochłaniała ich ilość obfitą, zmysłowe rozkosze na bok odkładając, namiętne przeto drżenie nozdrzy Irka zostawiało ją zimną, nawet nie zdziwioną w jej łakomym, kremowym rozleniwieniu.

Demoniczny natomiast młodzian, obserwowany, popychany przez kolegów, widząc, iż nic nie zyska, przybrał... minę zwycięzcy i często w pustą głębię salonu rzucił porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechy, ku wielkiej radości całej dependenckiej rzeszy.

— Wzięła się! Wzięła! — szepłali do siebie, głowy z pliku papierów wyściubiając.

Irek brwi marszczył i rękę patetycznie wyciągał.

— Proszę was — mówił — zaprzestańcie tych żartów. Podobnymi podejrzeniami obrażacie mnie i kobietę, która obdarza mnie sercem zaufanym!

— ...I której honor jest mi drogim!

Było w tym głosie to „coś”, które drga zawsze w głosie mężczyzny, ile razy zapiera się miłostek z jakąś kobietą. Mówi „nie”, a słyszy się najwyraźniej „tak”!

Wreszcie następował teraz bukiet, wieńczący zwykle podobnego rodzaju rozmowy.

— Daję wam na to... słowo honoru!

Wszystko tam było — i honor (och, ten nieszczęsny), i ręka na kamizelce położona, i przymrużanie oczów, słowem — cała lira.

Mimo to, a właściwie mówiąc, dlatego — dependenci mówili w kilka dni później w gronie swych zaufanych przyjaciół:

— Irek poleciał teraz na grandę, mężatka, szyk kobieta! Nie — on ma dziwne szczęście do kobiet!...

A zapytywani przez rodzinę o panią adwokatową, odpowiadali:

— Phi!... Kobieta nieszczęśliwego prowadzenia się! Podobno Irek... i to nie sam!... nie on jeden!

Adwokatowa tymczasem, kremem cała ubielona, ani przypuszczała, jak czernieje jej dobre imię, jaka smutna przyszłość gotuje się dla jej córek, których matka niedługo w opinii całego miasta zostanie „taką, co przez całą kancelarię męża przeszła!”

Powoli — Irek rozzuchwalił się coraz więcej.

Tu i ówdzie jakaś pokojówka rozuzdana, sklepikarka lub dystrybutorka spragniona miłosnych wrażeń zsuwała mu się w objęcia.

On — wygłodzony, miłostki skwapliwie przyjmował, dekorując je później w wytworne barwy w opowiadaniach swych wśród kilku przyjaciół. Franusia z drugiego piętra, cuchnąca mydlinami, była w tych opowiadaniach panną „z bardzo przyzwoitej rodziny”, odwiedzając go o szarej godzinie z panną służącą. Biedactwo! Przybywało zawsze spłonione i drżące. Narzuciło mu się prawie samo, a teraz on — z litości nad biedną, stosunek ten przeciągał, który — nawiasem mówiąc — nużył go niewypowiedzianie. Czuł bowiem, do czego to zmierza, panna chce koniecznie doprowadzić go do ołtarza, lecz on, Ircio, bynajmniej tego nie pragnie!

Tym bardziej, że... niedawno zaplątał się jeszcze w znajomość z pewną wdową, mającą, posiadającą handel na jednej z pryncypialnych ulic, o!... wiecie! Sklep wspinały, jubilerski, pełen brylantów, turkusów, rubinów.

On — uległ także temu kaprynowi, pociągnięty wielką pięknnością wdowy, lecz teraz rad by się wywinąć uczciwie, jak na przyzwoitego człowieka przystoi.

Wdową tą tymczasem była dystrybutorka, rozlana w czterdziestce, którą przekroczyła, żółta i nędzna, ze skromnym kontuarem<sup>80</sup> ubożego sklepiku na jednej z najbardziej oddalonych ulic miasta.

Przyjaciele Irka cisnęli się teraz do niego, pełni tej dziwnej łatwowierności, jaką mają mężczyźni wobec miłosnych błag patentowanego przez nich samych bezczelnika.

— Irek!... Irek!... Powiedz, jak się nazywa?

Irek łyżeczką kawę mieszał z tajemniczą miną.

— Nie wymagajcie! Honor kobiety!...

Lecz oni nacierali, pełni niezdrowej ciekawości starych plotkarek.

— Czy znamy ją? Powiedz?

Irek ramionami ruszał.

— Może... — rzucał z niechcenia.

— Pani Strzelecka?

— A... cóż znowu!

— Pani Jacksohn?

— Ależ...

Uśmiechał się dwuznacznie, oczami demonicznie błyskając.

— Ależ tak, ona, ona, nikt inny!

Lecz on porywał się nagle, godności pełen:

— Proszę, zaprzestańcie tych domysłów. Gdyby nawet tak było... honor milczeć mi nakazuje!

I nagle wdowa po jubilerze zostawała kobietą „kompromitującą się z jakimś dependentem” — istotą zgubioną, nie umiejącą nawet szanować pozorów... Ta i owa, w chwili oburzenia, wróciwszy z „Pod Rakiem”, gdzie grywa rozstrojona orkiestra, a gabinety zbudowane są z dziurawych desek, mówiła:

— Wszystko przecież można... ale zachować trzeba pozory!...

Koło kobiety robiła się pustka, której ona wytłumaczyć sobie nie umiała i nie mogła, a lewek Irek powtarzał tymczasem:

— Gdyby nawet tak było, honor mi milczeć nakazuje!

Och!... Ten honor mężczyzn, lwów, broniących czci kobiety, którą sami zszargali, ten honor dzwoniący jak fałszywa moneta — „*qu'allait — il faire donc, dans cette galère?*”<sup>81</sup>

Powoli Irek rozzuchwalił się jeszcze więcej.

Trzeba było słyszeć tę potworę, mówiącą o kobietach w ogóle, zwłaszcza gdy wypił filiżankę czarnej kawy z figową cykorią pod werandą dystyngowanej cukierni.

<sup>80</sup>kontuar — lada. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*qu'allait — il faire donc, dans cette galère?* — zniekształcony cytat z *Szelmostw Skapena* Moliere'a, gdzie było: *Que diable allait-il faire dans cette galère*, tj. jaki diabeł przybędzie tą galera? [przypis edytorski]

Kobiety!... hm... wiedział on dobrze, co znaczy to słowo! Trzysta czterdzieści siedem razy grał komedię miłości... tak!... tak!... trzysta czterdzieści siedem! Ani mniej, ani więcej! Zna więc do gruntu te istoty, które bez wielkich wysiłków przykuć do siebie na zawsze można. Gorący pocalunek, w ucho na przykład, zupełnie wystarcza! On to próbował nieraz i żadna mu się nie oparła! A ileż ich przez ręce mu się przewinęło! Blondynki, brunetki, rude, ba!... nawet jedna siwa, lecz młoda i piękna! Wybierał zawsze bowiem piękne i dobrze zbudowane... wszak tyle jest tego na świecie!... mój Boże — ręką tylko sięgnąć... już jest, i to nie byle co, szyk, elegancja, inteligencja! Wszystko!

Cóż? Kobieta? — Istota słaba, bez woli, lgnąca do trochę przystojniejszego mężczyzny na oślep. Tak zwanych „uczciwych” — phi!... to okazy do wypchania, nie ma ich po prostu, Irek takich nie znał, wreszcie... on za nikogo, za żadną by nie ręczył!

Podkreślił te słowa, przybijając tym słuchaczy. A wreszcie, gdyby oni byli na jego miejscu i przeszli to, co on przeszedł, widzieli kobiety na pozór znaczne, święte, nieskalane... szalejące w chwili ekstazy miłosnej w jego objęciach jak kurtyzany! — tak! tak, jak proste kurtyzany!

Od pewnego czasu upodobał sobie wyraz „kurtyzana” i szastał nim na prawo i lewo, wsłuchując się w dźwięk tego teatralnego słowa.

— Zresztą — ciągnął dalej, paznokcie sobie oglądając — życie trzeba brać, jak jest! Kobieta jest przyjemnym narzędziem rozkoszy i miłą rozrywką. Tylko...

Tu składał ręce jak do modlitwy.

— Na Boga, panowie, nie żądajcie niemożliwego! Nie chcecie widzieć w kobiecie istoty na wieki do was przykutej, bo w ten sposób życie będzie dla was męczarnią. W młodości mej... wiedziałem coś o tym!

Pozował się, melancholijnie głowę na dłoni wspierając.

— Tak!... tak!... — kończył cichym, przytłumionym głosem. — Początkowo brałem komedię miłości na serio. To mnie zabijało. Dziś nie Kocham! Pozwalam się Kochać... i czuję się o wiele szczęśliwszym.

Uśmiechał się, usta obliczając — w kącikach mu kawa pomieszana z śliną czerniała.

— Teraz już trzysta czterdzieste ósme przedstawienie nie kosztuje mnie nic i bez najmniejszego wzruszenia o schadzce wieczornej myślę. Ot, spędzić wieczór z kobietą jest dla mnie to samo, co... filiżankę kawy wypić.

Pełen dezynwoltury<sup>82</sup>, wspaniały, nadzwyczajny, sęczył resztę fusów osiadłych na dnie filiżanki. Słuchano go z religijnym skupieniem.

Swadę miał i widoczną gruntowną znajomość przedmiotu.

Czasem miał odpowiedzi, które po prostu historycznymi się stały, rywalizując ze słowem Cambronne'owi<sup>83</sup> przypisywanym.

Przykład:

Jeden z młodzieży, wkraczający dopiero w dziedzinę galanterii, zauważył nieśmiało, że pomiędzy „szwaczkami” wiele się znajduje dowodów szczerego przywiązania i miłości.

Dyskutowano trochę, ten i ów opozycję zakładał, wreszcie zwrócono się do Irka, który ostentacyjnie jakiś list, na różowym papierze nabazgrany, czytał:

— Jak pan sądzisz?... Szwaczki? Co?

Irek oczy zmrużył.

— Szwaczki — odpowiedział po chwili z niezrównanym roztargnieniem — szwaczki?... *je n'en sais rien*<sup>84</sup>!... nie znam!...

Od pewnego czasu używał francuszczyzny, ucząc się zdań pojedynczych i rozmówek pani Bocquel.

— Nie znasz pan szwaczek? — pytano ze zdziwieniem. On demoniczny wzrok wkoło ciskał:

— A od czegoż... damy? — zapytał.

<sup>82</sup>dezynwoltura — nadmierne swobodne, lekceważące zachowanie. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>Cambronne, Pierre (1770–1842) — generał wojen napoleońskich; wedle anegdoty podczas bitwy pod Waterloo wulgarnie odpowiedział na propozycję kapitulacji. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*je n'en sais rien* (fr.) — nic o nich nie wiem. [przypis edytorski]

Razem z latami wzrosła w tym mężczyźnie dziwna zaciekleść udawania kochanka każdej choć trochę wybitniejszej lub bardziej znanej kobiety.

Zwrócił się przede wszystkim do teatru.

Poznał jakąś nędzarkę, chórzystkę, obarczoną kilkorgiem dzieci, zaglądał często do jej biednego mieszkania i teraz nagle zaczął pastwić się nad aktorkami. Od owej chórzystki wyciągał niektóre szczegóły co do artystek stojących na stanowisku, i szargał je w błocie rozpusty, obmawiając w najcyniczniejszy sposób.

Pisywały do niego! O! Tak! Nawet bardzo często, cierpiąc po prostu na manię listów! Lecz on, jakkolwiek chwilami znajdował pewne upodobanie w towarzystwie „tych pań”, umiał postawić się na odpowiedniej stopie. Mój Boże!... wiadomo bowiem, jak przewrotną jest kobieta, a cóż dopiero aktorka! Tej ostatniej głównie chodzi o świecidełka, błyskotki. Rzucą się więc jej ten okup i flirtuje wesoło w jej buduarze<sup>85</sup>. Co jeszcze mają najlepszego w sobie aktorki — to umiejętność urządzania buduarów.

I dyskretnie dawał rozmaite szczegóły.

U tej na przykład buduar, cały różowy, ma na szeslongu rzuconą białą niedźwiedzią skórę, u tamtej buduar w kształcie orientalnego namiotu, u innej znowu lustra i lustra.

Jeszcze inna nie miała buduaru, przyjmowała zwykle w saloniku, w którym była zaciszna alkowa, wybita liliową draperią. Aktorka miała jasnozłociste włosy, zwykle rozpuszczone, i wielkie koronkowe rękawy, którymi zamiatała ziemię.

Nawet na nim, na Irku, robiło to pewien efekt, dlatego przesiadywał tam często, powtarzając z „tą panią” — jej rolę.

Ależ tak — tylko rolę, a wreszcie...

Tu — był już dyskretnym.

Dobra wiara, którą zaszczycono go od lat kilku, wyrobiła w nim bezczelność posuniętą do niemożliwych granic.

Opinia aktorek, szarpana zwykle przez wszystkich, dla tego lwa była prawdziwym kąskiem królewskim, na który rzucał się z całą zajadłością.

Aktorki!... fiu!... wszystko kurtyzany!...

Rzecz ceny — nic więcej!

Ramionami wzruszał, usta wydymał, pełen szlachetnej pogardy dla istot ujranych zaledwie z daleka, wśród blasku gazu, w szeleście jedwabnych spódnic i całej fali koronek.

Serce biło mu gwałtownie, gdy ujrzał którą przechodzącą ulicą.

Jeśli nie był sam, pociągał gwałtownie swego towarzysza i przechodził na drugą stronę ulicy.

— Dlaczego to robisz? — pytał towarzysz — patrz, idzie Morelka, przywitasz się z nią... może mnie przedstawiś?

— Dziwny jesteś — odpowiadał — nie wiesz, że od dawna nie znam tej pani?

Lub zapuszczał się dalej w efronterię<sup>86</sup> mówiąc junacko:

— Witaj się z nią? Cóż znowu, przecież ja nie mogę się tak skompromitować!

Przechodził szybko, głowę do góry niosąc, z ustami wyдутymi pogardliwie, ironicznie, pogwizdując jakąś urywaną melodię.

Aktorka tymczasem szła powoli, nie przypuszczając, że po drugiej stronie chodnika szedł człowiek rzucający na nią błotem, dający jej miano „kurtyzany” i mówiący z pogardą:

— Ta pani — to rzecz... ceny.

Niezrównaną miał fantazję ten kreowany przez akuszerkę pożeracz serc kobiecych. Wyjeżdżał raz do Wiednia i zawadził o Wenecję. Było to już po śmierci matki i trochę klejnotów przez nią pozostawionych przeszło w ręce Żydów dla opłacenia kosztownej dla Irka w świat wycieczki:

Lecz za to z powrotem ileż legend opromieniło demoniczną postać lewka!...

Wiedenki — hm... cóż! Wiedenki — namiętne, rozmarzone, wysiadujące na ławkach Stadtparku podczas księżycowych nocy.

<sup>85</sup>buduar (z fr.) — pokój pani domu służący odpoczynkowi. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>efronteria (daw.) — bezczelność. [przypis edytorski]

Sentymentalizm straszny... samobójstwo w perspektywie! Zapewne — sensacje nowe i dość miłe, lecz dla człowieka, który trzysta czterdzieści siedem razy grał komedię miłości — zanadto wstrząsające.

Wspanialsze o wiele Włoszki, Wenecjanki, tajemnicze, pełne ognia i nieopisanej zmysłowości... A gondole! Ach!

Irek głową w takt wiosł kiwał i oczy przymykał uśmiechnięty, pełen rozkosznych wspomnień. Czasem... barkarolę<sup>87</sup> Troschla<sup>88</sup> nucił fałszywie i powtarzał jak papuga:

„*T'amo*<sup>89</sup>!”

Raz — w chwili zwirzeń wyznał, iż przechodząc placem św. Marka dojrzała go pewna księżna karmiąca gołębie i wieczorem w gondoli swej uwiozła.

Na Canale Grande nauczyła go słowa — *T'amo!*

W rzeczywistości Irek mieszkał w Wiedniu na Leopoldstadt, został w Stadtparku zwymyślany przez jakąś *mädel*<sup>90</sup> wracającą z „Waschanstalt”, a w Wenecji, wynudziwszy się nad cuchnącym kanałem, na próżno usiłował pozyskać względy dziewczyny posługującej w hotelu, grubej, trywialnej Włoszki, czeszącej się raz na trzy tygodnie...

W kilka miesięcy później Irek kupił sobie wąskie *porte-bonheur*<sup>91</sup> i kazał je zakuć na rękę.

Było to szczytem elegancji i szyku.

Wysuwał teraz rękę spod mankietu i błyskał złotem bransoletki, drażniąc ciekawych niezwykle tym zjawiskiem.

Gdy go pytano, wymijał zręczne odpowiedzi, honorem się znów zastawiając...

Szczególnie w teatrze imponował bezustannie, bransoletkę na rękę naciągał i nią pod oczy siedzącym w krzesłach kobietom świecił.

Niektóre mówiły:

— Patrz! To monstrum ma bransoletkę!

Inne, zaciekawione istotnie, rzuciły badawcze spojrzenia.

Irek — uszczęśliwiony nadymał się jak żaba, *porte-bonheurem* o spinki dzwonił i przeginał się z nonszalancją przez barierę krzesel.

W tym czasie przeczytał *Siostry Rondoli* i *Safo*. Mówił przeto wiele o francuskiej literaturze i o głębokości studiów nad kobietą dokonanych przez Maupassanta i Daudeta.

Rozmarzywszy się raz fałszowaną *chartreuse*<sup>92</sup>, ułożył nagle cały romans o jakiejś tajemniczej czarno ubranej kobiecie, która od kilku dni przychodziła do niego o zmroku wieczornym.

Miało to być „coś z arystokracji” — spowitego w batysty i blandyny (!) i pragnącego u stóp Irka pozostać do śmierci.

Słuchacze zainteresowali się tą opowieścią i przez kilka tygodni tajemnicza dama unosiła się jak mistyczne zjawisko nad głowami mężczyzn. Powoli — zapomniano o niej. Irek przestał mówić, znużony własnym kłamstwem.

Minęło kilka miesięcy.

Nagle przypomniano sobie tajemniczą damę i, rzecz naturalna, zapytano o nią lewka. On przez chwilę stał osłupiały, nie mogąc przypomnieć sobie, o co tu właściwie chodzi.

Wreszcie pamięć mu wróciła.

Do diabła! Cóż teraz zrobić z tą całą historią! Płatać ją dalej, jak? — konceptu mu zabrakło.

Nagle wspaniała myśl zaświtowała mu jak gwiazda zbawienia.

Uśmierci ją!

Tajemnicza dama umrze...

I z ponurą twarzą, grubym głosem opowiedział, pochylony nad swoją kawą, że czarna dama umarła w Nicei... na suchoty<sup>93</sup>, miesiąc temu, a ostatnie jej słowo było „Ireneusz”...

Powiedziawszy to, zamyslił się głęboko, smutny i znękan.

<sup>87</sup>barkarola — utwór muz. wzorowany na pieśniach weneckich gondolierów. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>Troschel, Wilhelm (1823–1887) — polski śpiewak operowy i kompozytor. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>T'amo (wl.) — kocham cię. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>mädel (niem.) — dziewczyna. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>porte-bonheur (fr.) — amulet. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>chartreuse — francuski likier ziołowy. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>suchoty (daw.) — gruźlica. [przypis edytorski]

Słuchacze uszanowali jego boleść ogólnym milczeniem. Od tej chwili aureola cierpienia otoczyła czoło Irka; zaczął chodzić zgarbiony, jakby smutkiem do ziemi przyciśnięty.

Pluł ze wzdardą na wszystkie kobiety, tęskniąc do tej jednej, szacunku i miłości godnej, która „odeszła w dal ciemną, pod błękitnym niebem Italii”.

— Cóż znowu — pocieszali go przyjaciele — trudno zginąć z tęsknoty dla trupa. Miej siłę, oprzytomnij, Irku!

Lecz Irek pozował teraz coraz więcej, drapując się<sup>94</sup> w szatę tragiczną, fikcyjna kochanka zaczęła dlań przybierać kształty. Po upływie pewnego czasu nabral przekonania, że — czarna dama rzeczywiście istniała.

Teraz w węzeł krawatu wpinał szpilki w formie trupich główek, ubierał się ciemno, cały żalobny jak karawaniarz.

Chwilami miał chęć sprawienia sobie krepy<sup>95</sup> przy kapeluszu.

Słowem był to wdowiec, wdowiec oplakujący istotę, która — nie istniejąc — śmiercią swą pogrążyła go w bezmiarze boleści.

I często z zamglonymi oczyma siadał w gronie swych przyjaciół, aby wywnętrzyć ból swój drżącym od wzruszenia głosem.

Jeśli go kto w życiu kochał, o! To pewno ta jedna!... Była mu cała oddana pomimo odpychającego chłodu, z jakim miłość jej przyjmował!

Uderzał się w czoło z rozpaczą.

— Byłem względem niej niegodziwy — wołał — lecz czyż to była moja wina! Popsuły mnie te wszystkie inne, popsuły, bo trzysta czterdzieści siedem razy musiałem grać z nimi komedię miłości. A czy która z nich była warta tego?...

— Przecież adwokatowa... — przerywano mu półgłosem.

— Och!... Ona!... I tu Irek mścił się za lekceważenie okazywane mu przez amatorkę kremu. — Och! Ona szczególnie!... głupia, zła, gadatliwa, narzucająca się, nudna i chuda!... o, tak, chuda w przerażający sposób. Stanikiem dobrze zrobionym okłamywała ludzi... lecz on, Irek, wiedział, czego się ma trzymać...

Nie kępował się już teraz w słowach, rozbierając brutalnie kobiety, o których istnieniu wiedział zaledwie. Podniecony, wściekły — mścił się za każdą obelgę, każde odepchnięcie, wyrzuceniem z siebie całej masy kłamliwych szczegółów piętnujących kobietę jak rozpalonym żelazem, na dowód przytaczając tajemnice alkowy, sekrety ciała, ukryte wady lub wdzięki.

I tylko dla nadania sobie pozy i uroku po wracał ciągle do zmarłej, wysławiając ją jako ideał piękności i wdzięku.

— Włosy miała czarne jak kruk i do pięt sięgające — mówił potrząsając głową — oczy szafirowe, twarz bladą... nie! Opisać jej niepodobna, a wreszcie, chcecie? — pokażę wam jej fotografię.

Radość w tłumie powstała ogólna.

— Ale, przysięgnijcie mi na honor, iż nigdy żaden nie da poznać po sobie, że widział ten portret w rękach moich!

Słuchacze, powstawszy, na honor przysięgli.

Gdy Irek do domu powrócił, uczył kłopot niemały.

Przyrzekł pokazać fotografię zmarłej — hm!... dobrze, ale skąd fotografię dostać?

Nie wypada nic innego, tylko kupić, jakiś „gabinet” i przyjaciółom przed oczyma błysnąć. Nazajutrz, wczesnym rankiem, pobiegł do *ateliers* fotograficznych.

Podał się za heliominiaturzystę<sup>96</sup> amatora, chcącego nabyć kilka fotografii celem rozbicia studiów.

Podano mu całe stopy wybiórków, portretów osób, które nie zastrzegły sobie sprzedaży publicznej.

Irek szukał długo, wreszcie — wybór jego padł na silną brunetkę o wielkich ciemnych oczach, owiniętą masą białej gazy.

<sup>94</sup>*drapować się* — tu: stroić się. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*krepa* — czarna tkanina, symbol żaloby. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*heliominiaturzysta* — osoba wykonująca barwione fotografie. [przypis edytorski]

Wydała mu się nadziemską w tym jasnym obłoku. Zjawisko, widmo zmarłej, a nieznanej kochanki.

— Kto jest ta dama? — zapytał.

Fotograf pokręcił głową.

— Nie pamiętam prawdziwie — odparł — fotografia ta zdejmowana już lat kilka temu. Zdaje mi się jednak, że to ktoś z prowincji.

— Nietutejsza?

— O! Za to ręczyć mogę!

— Tym lepiej!

Zapłacił, fotografię zabrał i, cały przejęty ważnością chwili, dzień spędził w gorączce i oczekiwaniu.

Co chwila fotografię wyjmował i przyglądał się rysom brunetki. Była przystojną, choć cokolwiek mało miała dystynkcji. Jakiś uśmieszek w kącikach ust się błąkał; za wiele widać było piersi.

Gaza ratowała jednak wszystko.

Z nadejściem wieczoru Irek do cukierni pędzi — i pomiędzy zebranych już mężczyzn wpadł.

Porwali się wszyscy, zaciekawieni jak stare baby, wyciągając ręce.

— Fotografia? O! Pokaż! Pokaż!

On — stał teraz boleśnie wykrzywiony i powoli kopertę odchyła.

Portret wyjąwszy spojrzął i westchnął.

— Tak!... To ona!... moja święta — jakby przemówić miała!...

I fotografię najbliższemu stojącemu podał, a sam, jakby boleścią przybity, na krzesło się usunął. Lecz nagle serdeczny, wesoły śmiech, rozległ się w powietrzu.

Jeden z grona mężczyzn, świeżo z Łodzi przybyły, machał w rękę trzymaną fotografią „świętej zmarłej” zanosząc się ze śmiechu.

— Ależ to Wikcia! — wołał — Wikcia z Grand Hotelu w Łodzi — ta... co się tu w Warszawie teraz puszcza!

Lewek głowę podniósł i ogłupiałym wzrokiem na śmiejącego się patrzył.

## Małpa

Że Olka była małpą w całym tego słowa znaczeniu, o tym wiedziało nie tylko całe Żółkiewskie, ale nawet i het daleko aż poza rogatkami znano jej rudy, wiecznie rozczochrany warkocz i kaftanik w kratki, wydarty na łokciach, a aksamitem u szyi ubrany.

Szczególniej wieczorami o zmroku — pełno jej było po wąskich uliczkach przedmieścia.

Wiadomo było, po co się po cieniu slania, od czasu do czasu tylko pod latarnię podchodząc; dzieci małe znały ją nawet i palcem wskazywały, mówiąc z przedwczesnie rozwiniętą złośliwością:

— Małpa! Idzie małpa!...

Ona wygrażała im tłustą czerwoną pięścią i rzucała gradem łupin od orzechów, których miała zawsze pełne kieszenie.

Urodzona na przedmieściu, wychowana w cieniu kamienic, córka stróża, gnieźdźcego się w zatęchłej suterynie<sup>97</sup>, podlotkiem<sup>98</sup> zaledwie uciekła, pozostawiając poza sobą ojca, młodszego brata, wiecznie zamorusanego Wicka i kij, którym ojciec zwykł był dzieciom na dobranoc kości łamać. Nie był to jednak zły człowiek, pracowity, przeważnie trzeźwy i zupełnie uczciwy. Ucieczkę córki odcierpiał ciężko i do samego zgonu, widząc ćmy nocne, czerniące się w głębi wąskich uliczek, dławił się z wściekłości na samą myśl o losie Olki.

<sup>97</sup>suteryna (z fr.) — mieszkanie w kondygnacji poniżej parteru. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>podlotek — dorastająca dziewczyna. [przypis edytorski]

Ona przeniosła się w inne strony miasta i tam, wiążąc zatuszczone wstążki na głowę, z szelestem świeżo wykrochmalonych spódnic spadała na ulicę o szarym zmroku, razem z całym stadem szarańczy po kątach ciemnych czatującej.

Znały ją stawy Pełczyńskie i szumiące dokoła nich brzozy, zna ją Węgliński Lasek, cały w zieleń aksamitu spowity — powoli całe terytorium miasta, na wschód się pchającego, Olka zajęła w swe posiadanie, prezentując wszędzie swą twarz płaską, ospą znaczoną i z nosem zadartym, z wargami mięsistymi, w obramowaniu ostro najeżonych włosów o rudawym niepewnym połysku.

Lecz dziewczyna ta wiecznie tęskniła za swą kolebką, za tym Żółkiewskiem, które biejele jasną szeroką strugą głównej ulicy i rozlewa się potem w drobne, małe, ciemne zaułki pomiędzy domami zapchanymi żydowstwem płynące.

Olka miała nostalgię tych wielkich kamienic, rozweselonych purpurową barwą pierzyn z ganków i z okien zwieszonych, tych dziedzińców nagle, brutalnie roztwierających się na zielony plac musztry, lub cały szereg fortyfikacji, w mgłę błękitną spowitych. Tęskniła za gwizdem pociągów, przelatujących wesoło po nasypie żółtym się w oddali, pragnęła odetchnąć wonią kasztanów, płynącą z bukietu drzew Ogrodu Inwalidów, spośród których wystrzelał w górę biały, czysty gmach o harmonijnie pięknych liniach.

Pod drzewami tymi Olka przespiała nieraz całe popołudnia, gdy zamiast iść do szkoły wolała podchodzić pod łokcie przechodniów i skomlać wyżebrać parę centów. Najadłszy się owoców lub pierników, cała zamorusana rzucała się w trawę tuż około fontanny, z której płynął wąski srebrny bicz wody.

Dziewczyna zasypiała zaciskając mocno powieki, cała czerwona, zdenerwowana, podniecona beczynnością i dniem upalnym.

Usta jej szemrały słowa bez związku, ręce otwierały się kurczowo.

A tymczasem kasztany szumiały, ciało jej, przeświecające przez łachmany spódnic, wachlując swymi szerokimi liśćmi, przez które sphywało słoneczne światło, wielkimi zielonymi plamami się znacząc.

Olka chwile te pamiętała dokładnie.

Gdy po nocy spędzonej w knajpie, z głową ciężką i ustami spieczonymi wracała do swej nory, cieplejszy powiew wiatru budził w niej myśl jedną.

A gdyby tak wrócić na Żółkiewskie!

Ba — lecz ojciec!

Ojca bała się jak ognia.

Wiedziała, iż szukać jej nie będzie, lecz — gdyby mu pod oczy podlaża!...

Snula się więc znów po „Rurach”, omijając starannie czerniącą się sylwetkę policjanta.

Czasem przemknął się koło niej terminator<sup>99</sup> bosy, obdarty, zasmolony.

Podskoczył, gwizdnął i zjrzał w oczy rozczochranej dziewczynie, mknącej wzdłuż kamienic.

Czasem, gdy już był po śniadaniu, zaskrzeczał przeraźliwym głosem:

Spadła małpa z pudła,  
Stłukła sobie łeb.

Ona szła dalej z głową opuszczoną na piersi, plując śliny, które jej napływały wciąż do ust — prześladowana jedną i tą samą myślą:

A gdyby tak wrócić na Żółkiewskie!

---

I wróciła!

Wróciła po śmierci ojca, ukradkiem, po ciemku dziedziniec i znajome bramy obchodząc...

Tak! Tak! Nic się nie zmieniło!

Te same rynny, pod którymi w deszcz roztargany swój łeb moczyła, włosami poplątanymi kamienie zamiatając.

Tu — koło tego mostku, cała gromada jej przyjaciół robiła groble z piasku i kamieni, tamując odpływ kolorowej wody, którą farbiarz całymi cebrami nieraz wylewał.

<sup>99</sup>terminator — rzemieślnik uczący się u majstra. [przypis edytorski]



Tu — Wicek, pierwszy raz przez nią namówiony, ukradł makagigę<sup>100</sup> starej, może setuletniej Żydówce, która drzemała nad deską pełną łakoci w cieniu od drzwi bramy.

A tu — tatlo nieboszczyk kazał jej polewaczki wody z dziedzińca sobie znosić i podawać. Nie było to rozkoszne, owe dźwiganie ciężkich konewek w skwarne popołudnie, tym bardziej iż tatlo ręki nie żałował, gdy się nie pośpieszyła.

Dźwigała też, dźwigała, przechylona na lewy bok z ręką wygiętą, moczając spódnicę, płaczącą się jej wzdłuż nóg chudych i nie rozwiniętych; tatlo tymczasem wodą ulicę polewał, rysując esy floresy na szarych, półokrągłych grzbietach kamieni. Życie było ciężkie — prawda!... choć i teraz!... — pożał się Boże!... ot!..

Olka stała teraz przed kamienią, w której wraz z tatlem i Wickiem tyle lat spędziła, i pochyliwszy się, do okienka suteryny zaglądać zaczęła. Inni ludzie tam mieszkali, inna pościel, inne łóżko stało już w kącie, którego ściany na wpeł pleśnią były zasnute.

Świeczka „centówka”, oprawna w blaszany lichtarz, słabo ćmiła się na stole, do połowy garnkami zastawionym.

Koło komina kręciła się mała dziewczyna, bosa, podkasana, z długim a cienkim waroczem, spadającym na wypukłe plecy.

W kolebce koło łóżka — dzieciak z brudnych łachmanów kostropatą głowę wytykał i wyciągał rękę, w której tkwiła drewniana łyżka, obmazana resztką przyschniętych kartofli.

Olka teraz już zupełnie do ziemi przysiadła — a obie ręce o bruk wsparłszy, ciągle w okno suteryny patrzyła.

Tak! Tak!... Ta dziewczyna rozczochrana, włócząca swe bosc nogi po ubitej ziemi izby — to ona, ona sama lat temu piętnaście!

A ten chłopak z kołyski łeb wytykający, toć to czysty Wicek, który krzykiem swym zdawało się nieraz, iż mury rozsadzi.

Biła go za to po łbie, po pysku — ile się zmieściło, a czasem znów porywała go i do piersi cisnąć zaczynała z rozrzewnieniem nagłym.

Sieroty bo oboje byli... sieroty bez matki, która zmarła w szpitalu bez uczciwego nawet pochówku na zaraźliwe choróbko, co się w suterynach na Żółkiewskim rozpanoszyło.

Olka — w dziecko ruszające się wśród łachmanów wpatrywała się upornie, jakby przykuta widokiem tej małej głowy, pokrytej sierścią jasnych włosów. Dzieciak w kołysce się gmerał i łyżką o brzeg kołyski uderzał.

Olka dzieciństwo swe całe, z nędzą i troską, przed oczami miała teraz, objęte w ciasną ramę zaledwie przymkniętego okienka.

Z wnętrza suteryn płynął ku niej chłód piwniczny z wyziewami ciała ludzkiego i gnijących odpadków połączony.

Ona chłonęła w siebie to powietrze, w którym wzrosła, cała prawie pijana wonią nędzy brutalnie z wnętrza ziemi się wydzierającej.

Razem z tą wonią budziło się w niej wspomnienie tatli, Wicka...

Ulicznica kurczyła się przy ziemi, chcąc zniknąć prawie, wkopać się pod suterynę i znaleźć się nagle na środku tej izby, z której uciekała cichaczem, w nocy, na rozpusztę pomiędzy „kanonierów” się przebijając.

W naprężeniu nerwowym, w jakim była, zaczęła nagle majaczyć; zdawało jej się teraz, że Wicek chce wyleźć z kołyski, a ona uspokaja go i leżeć mu każe.

— Leż, hyclu, robaku, sieroto! Bo cię uśmiercę!...

Nagle poczuła się kopnięta silną, męską nogą, w gruby but zbrojną.

— Ha, frajla! *Wie gehbs*<sup>101</sup>? — zaśmiał się rozbawiony żołnierz, błyskający w świetle latami rzędem złotych guzików — chodź panna z nami, wypijemy *paar snaps zum andenken*<sup>102</sup>!

Olka ocknęła się z zadumy i porwała się z ziemi.

— *Gut, Herr Leitnant*<sup>103</sup>! — wyrzekła, rzędem białych zębów błyskając — ja na to, jak na lato!

<sup>100</sup>*makagiga* — ciastko z karmelu, miodu i maku. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*wie gehbs!* (niem.) — jak idzie? a. co słyhać? [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*paar snaps zum andenken!* (niem.) — właśc.: *paar Schnaps zum Andenken*, tj. kilka kieliszków wódki na pamiątkę. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*Gut, Herr Leitnant* (niem.) — właśc.: Leutnant; Dobrze, panie poruczniku. [przypis edytorski]

— *Fisches Mäderl*<sup>104</sup>...

Poklepał ją po ramieniu i oboje powlekli się w stronę szynku, z którego dobywały się ostre, zawrotne tony katarynki.

---

Spotkała się pierwszy raz z Wickiem nagle na zakręcie Piaskowej uliczki.

Poznała go od razu, choć urósł i zmienił się dla obcych ludzi.

Ona jednak — siostra, poznała w nim brata, którego biła i kołysała, targała za włosy lub tuliła, mruczając uliczne piosenki.

Szedł ubrany przyzwoicie, w wysokiej czapce z daszkiem, w długim surducie i w butach dobrze wyszuwaksowanych.

W ręku pod chusteczką niósł kilka świeżo zerwanych róż, a pod pachą dużą harmonię; niebieski krawat, związany w kokardę, podnosił świeżość jego cery.

Chłopiec to był dobrze odżywiony, silny, jeszcze pracą ani rozpustą nie zniszczony.

Stolarzem bo był — i to już czeladnikiem, a wiadomo, stolarza to praca na bożym powietrzu i najczęściej pod gołym niebem, więc soków z krwi nie wyciąga i płucem rozróżać się pozwala...

Dziś Wicek szedł w zaloty do córki Jana Burby, także stolarza, który za panną Kazią daje trzysta papierków, a po śmierci warsztat cały na zięcia przeleje.

Wicek ma wszelkie szanse dostania stolarzówny, bo ojciec przyjmuje i jego, i harmonię łaskawie w niedzielne popołudnie, a Kazia czerwieni się jak burak i firanki siatkowe u okien „szalonu” niemiłosiernie skręca.

Wicek idzie więc — przez Piaskowy zaułek, pogwizdując lekko. Szary, bo już zapada zmrok z pogodnego nieba, nieszpór skończony. Pani majstrowa kawę z babką na czerwonej serwecie zastawia. Śpieszyć się trzeba, bo panna Kazia pewnie już przy oknie stoi i przez siatkę firanki patrzy a czeka...

Z małych okienek zaułka tu i owdzie błyskają światełka, na progach domów bawią się dzieci, na środku ulicy mały piesek w piasku się kręci.

Nagle Wicek czuje się pociągniętym nieśmiało za rękaw.

Ogląda się.

Obok niego, kryjąc twarz dłonią, stoi tęga, wysoka dziewczyna w kratkowanym kaftaniku i w spódnicy z falbanami.

Wicek odpycha ją łokciem.

— Poszła, małpo!...

Lecz ona nie ustępuje.

Trzyma go mocno za rękaw surduta.

— Wicek... taże spojrzysz! To ja!...

Chłopak szeroko oczy otwiera.

— Olka!

I purpura oblewa twarz młodą wesołego i zdrowego chłopca.

Słyszał często o siostrze, lecz powoli zaczęła być dlań po prostu mityczną postacią. Wiedział, że się „puściła” — ale co robi, jak wygląda, czy jeszcze istnieje — nie przeszło mu to nawet po głowie.

Nagle zjawia się żywa, zdrowa, hańbą okryta, niosąca na swym czole widmo jawnej rozputy, tolerowanej swawoli.

Pragnie się od niej odczepić za jakąkolwiek cenę, drżąc, aby go z dworku Burbów nie zobaczyli z „ładacznicą”, rozmawiającego pośrodku ulicy.

Wyrzywa jej rękaw i uciekać szybko zaczyna, nie oglądając się nawet poza siebie.

Olka stoi jak przykuta na środku ulicy, nie śmiejąc gonić niktącego w cieniu brata. U stóp jej mały piesek szczeka teraz groźnie, poszczuty przez dzieci, które z przekorną ciekawością przypatrują się ulicznej włóczędze, w zmroku się ślaniającej.

---

Czatowała na niego teraz po nocy pod parkanami, gdy wracał z roboty lub od Burbów, z czapką przechyloną na bakier i miną junacką rozwiniętego prawidłowo mężczyzny.

---

<sup>104</sup>*fisches Mäderl* (niem.) — szykowna dziewczyna. [przypis edytorski]

Nieraz przechodził mimo<sup>105</sup> niej, nie widząc wśród stosu desek przycajonej postaci, która śledziła go smutnym, przygasłym wzrokiem.

Nie spotykając siostry na drodze, uspokoił się powoli.

Wiedział, że jest na przedmieściu i krąży po szynkach, lecz do niego nie zbliża się już więcej, pewnie dumą zdjęta.

I myśląc o niej czuł jakąś litość nad jej osamotnieniem, litość, do której przyznać się sam przed sobą wstydził, cały przejęty pogardą dla rozpusty ulicznej, dla sprzedaży ciała i targu o miłosną pieczętę.

Ona tymczasem gryzła się i truła tą pogardą brata i jego ucieczką, w chwili gdy w niej serce kołatało jak dzwon i piersi mało nie rozsadziło...

Wiedziała, że była bardzo nędzną istotą, lecz on, brat jej — powinien mieć dla niej więcej pobbłazania aniżeli inni.

Nieraz w szynku biła pięściami w stół krzycząc, iż dożyje chwili, w której ci, co jej znać nie chcą, do nóg upadną!... lub kulakiem groziła w stronę miasta spowitego w ciszę, jakby zaprzysięgając zemstę tym, którzy ją pierwsi w kał ten wepchnęli.

Powoli jednak myśli jej zaczęły przybierać jakieś wyraźniejsze kształty.

Wicek się od niej odwraca, bo jest biedna i obszarpana.

Gdyby miała dobrze nabity worek, kto wie, co by było!...

I od tej chwili zrobiła się chciwą, wyrachowaną, ceniąc każdą chwilę, ślaniając się ze znużenia, lecz licząc oszczędzane pieniądze.

Wicek tymczasem dzień ślubu przyśpieszył i w kościele Panny Marii Śnieżnej, wy-pomadowany, wyświeżony, wieczną „uczciwość małżeńską” — spoconej i ściśniętej gor-setem Kazi zaprzysięgał.

W wilię<sup>106</sup> jednak ślubu, gdy po raz ostatni do swego kawalerskiego mieszkania wracał, rozmarzony libacjami swych przyjaciół i towarzyszy, potknął się o jakąś masę do desek przytuloną.

— Ki diabeł?

Olka głos brata poznała, lecz drżąc cała, nie odpowiadała nic.

On pochylał się nad nią, sądząc, że to ktoś zemdlnony.

— Któż to?

Dziewczyna zebrała się na odwagę.

— Ja... Olka!...

Krew uderzyła do głowy Wickowi.

— Czego ty się tu przywłóczysz? — zasyczał wściekły i groźny — czego?

Ona dźwignęła się na klęczki i za rękę go pochwycić pragnęła.

— Wicek!... ta my rodzeni!

— Nijaki ja tobie rodzony, mało jedna!

Popchnął ją silnie, aż głową o parkan uderzyła.

— Ta za co ty mnie walisz? Wicek, za co?

— Za twoje łajdactwo!

— Ta cóż robić?... kiedy już tak jest? Teraz już nikt tego nie odmieni!

Milczeli chwilę oboje.

Wiatr drzewami za parkanem kołysał.

Latarnia naftowa, na słupach za pomocą sznura zawieszona, pośrodku uliczki się chwiała, cała żółta, smutna, jakby mgłą przysłonięta.

— Ty się jutro żenisz? — zapytała wreszcie dziewczyna.

— Żenię, a bo co?

— Nic!... daj ci Boże jak najlepiej!

Przekleństwo uwieźło w gardle Wicka.

— A w którym ty kościele ślub będziesz brał?

Wicek ramionami wzruszył.

— U Śnieżnej... ale co ci do tego, ty mi czasem do kościoła nie przychodź! Słyszysz?

Dziewczyna głowę podniosła.

<sup>105</sup>*mimo* (daw.) — obok. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*w wilię* (daw.) — w przeddzień. [przypis edytorski]

— Bo to... widzisz Wicek, ja sobie pieniędzy trochę złożyłam — zaczęła prędko — mogłabym porządną jaką kieckę przywdziać i wstydu byś ty nie miał!

Wicek cały się wstrząsnął.

— Nie o kieckę tu chodzi — krzyknął — ale o ciebie samą, słyszysz!

Głowa ulicznicy pochyliła się jeszcze niżej.

— Słyszę, Wicku, słyszę!...

Pokora drgała wielka w jej głosie.

Małą i nędzną zdawała się, klęcząc tak u stóp brata, do desek parkanu przytulona.

Wicek chwilę stał niezdecydowany, czując znów litość budzącą się w sercu.

— Bądź zdrowa! — wyrzekł nieco łagodniejszym głosem i odwróciwszy się szybko iść zaczął.

Lecz ona wyciągnęła ręce i powlekła się za nim na środek ulicy, w żółtą strugę światła z latarni płynącego.

— Wicku!

Chłopiec stanął.

— Co?

— Kiedy ty nie chcesz mnie na ślubie mieć... — podjęła gorączkowo — to choć ty mi jedną łaskę zrób! Niewiele ja pieniędzy mam, ale to, co jest!... weź!... zda ci się na jutro!... weź!...

Ręce wyciągnięte trzymała wciąż, błagalną linią wśród światła się znacząc.

Wicek uczuł w piersiach dziwne ściśnienie.

— Nie! — odpowiedział — nie... pieniędzy twoich nie chcę!

Ona targnęła się, jakby uderzona biczem.

— A!... tak!... masz *recht!*<sup>107</sup>.... łajdackie pieniądze...

Lecz w nim, w tym brutalnym chłopie, zbudził się cień delikatności.

— Nie, nie dlatego! — odparł szybko — lecz ja mam dosyć, schowaj je dla siebie!

Ona uśmiechnęła się teraz radośnie.

— Schowam je dla... ciebie, Wicek!

On, oddalając się i malejąc coraz więcej w przestrzeni, powtórzył prawie bezwiednie:

— Schowaj, Olka!

---

Trzy lata upłynęło, a Olka ciągle włościła się po przedmieściu, zdobywszy sobie powoli nawet sympatię ogółu.

Nazywano ją ogólnym mianem „małpy” — lecz że zachowywała się względnie przyzwoicie, „grajzlerówki<sup>108</sup>” mówiły o niej:

— Choć małpa, ale porządna dziewczyna!

Zaokrągliła się, wypęniała i tylko twarz miała niezdrową błądźliwość strawionej bezsensownością i trunkami kobiety.

Ręce jej drżały, a oczy często mgłą zasłaniała.

Zrobiła się dumną i nieraz w szynku chwaliła się „uczciwą” rodziną, z której pochodziła.

Pieniądze Wicka chowała święcie i od czasu do czasu drogę bratu zabiegała, zapytując, czy oddać ma złożone w kącie swej izby papierki?

On, według usposobienia, usuwał ją przekleństwem lub dobrym słowem, cały teraz przejęty ważnością swego stanowiska — ważnością zięcia Burby, który choć w grosze nie tak bardzo zasobny, cieszył się poważaniem całego cechu stolarzy.

Olka nie podchodziła nigdy w stronę ulicy Piaskowej, gdzie teraz mieszkał Wicek wraz z żoną i teściem.

Znów spotykała go ukradkiem, czyhając nieraz miesiącami całymi, zanim go w bramie lub jakim przejściu spotkała.

Powoli dowiedziała się z boku, że trzysta papierków posagu Wickowej były bajką i tylko przynętą na lep dla złapania męża.

---

<sup>107</sup> *masz recht!*... (z niem.) — masz rację. [przypis edytorski]

<sup>108</sup> *grajzlerówka* (z niem.) — ekspedientka w małym sklepie spożywczym. [przypis edytorski]

Wicek więc pracował teraz na troje, bo stary Burba, odpoczywając na respekcie ludz-  
kim, hebla się więcej nie imał<sup>109</sup>, na zięcia się oglądając.

Nareszcie Wickowa, chodząca w ciąży — porodziła córkę, lecz ciężko zaniemogła  
i akuszerka doktorów wezwać kazała.

Zaczęły się ciężkie dni we dworku na Piaskowej ulicy.

Olka wszelkimi siłami teraz brata spotkać chciała.

Wychodził często, biegał bez pamięci do aptek, do doktorów, ale po ludnych ulicach  
i w dzień, kiedy ona po świetle doń przystępu mieć nie mogła.

Nareszcie Kazia podniosła się z łóżka i do sił wracać poczęła, dziecko chowało się  
zdrowo, Wicek odetchnął i roboty się chwycił.

Czas bo był niemały.

Wszystkie zasoby wyczerpały się i poszły na lekarstwa i doktorów.

Dziecko chrztu się domagało.

Znajomi o sute chrzciny się domawiali, stary Burba pragnął ludzi fetą zadziwić i zły  
stan swoich interesów w ten sposób ozłocić.

Pieniądzy ani centa nie było.

Wicek nie spał nocami, drażniony przez teścia, przez żonę, która także chciała są-  
siadkom proch w oczy rzucić i dać im powód do zazdrości najmniej na tydzień.

Nareszcie w bramie domu, gdzie Wicek blejtramy zamówione odnosił, spotkała go  
Olka, zmęczona dnia tego czatowaniem na brata od samego świtu.

— Wicek — szepnęła, w kąt bramy go pociągając — powiedzże, co się tam u was  
dzieje?

On oparł się o ścianę, znękany, przybity walką o byt.

— A cóż ma być. Córkę mam!

Olka ręce na piersiach złożyła.

— Córkę?

— A jakże!

— Ładna?

— E!... czerwona jak rak... Gadają, że ładna!

— Do ciebie podobna?

— Albo ja wiem?

— Ale przecieć!...

Badała go gorączkowo, cała podniecona tą myślą o noworodku, o dziecku śpiącym  
w białych pieluszkach we wnętrzu kołyski.

— Najgorsze... że chrzciny wyprawić trza — podjął Wicek — a ja...

Urwał nagle, przypomniawszy sobie, do kogo mówi.

Lecz Olka podchwyciła jego słowa i porwawszy go za ręce, gorąco prosić zaczęła:

— Taże ja właśnie o to za tobą łażę... weźże ty ode mnie te *swoje* pieniądze, bo jeszcze  
mi je jaka psiakrew ukradnie.

On bronił się miękko:

— Nie mogę, Olka, nie mogę!...

Lecz kobieta nacierała coraz gwałtowniej.

— Taże to są twoje pieniądze! Twoje rodzone, schować mi je kazałeś...

— Bogać tam!

— Ale tak! tak! sprawiedliwie... nie pamiętasz jeno!

Zza pazuchy wyjęła szmatę, w której szeleściło kilkadziesiąt papierków.

— Ja je mam przy sobie już od tygodnia, lecz nigdzie cię dopaść nie mogłam! Masz,  
na chrzciny ci starczy!...

On odsuwał się jeszcze, cały zmieszany myślą dotknięcia się w ten sposób zarobionych  
pieniędzy.

Lecz kobieta instynktem odczuła myśl brata.

— Weź, Wicek, weź!... To pieniądze z uczciwego zarobku! Jak Boga kocham. Koszule  
po nocach szylam!... weź... to nie z „tego”!...

Kłamała, cała potem oblana, pełna wysiłku nerwowego.

Wreszcie udało jej się pieniądze w rękę brata wcisnąć.

<sup>109</sup> *imać* (daw.) — chwytać. [przypis edytorski]

— A! Nareszcie!  
Odetchnęła pełną piersią, jakby się ciężaru zbyła.  
Lecz on stał przybity i upokorzony, ściskając w ręku szmatę z pieniędzmi.  
Czuł, iż biorąc od Olki pieniądze, czyni krok pojednawczy i że powinien siostrę, przychodzącą mu z pomocą, na owe chrzciny zaprosić.  
— Olka!... może by ty... — wykrztusił wreszcie przez nerwowo ściśnięte gardło — może by... ty... przyszła...  
Lecz ona otworzyła szeroko oczy.  
To, co zdawało się jej naturalnym lat temu kilka, teraz wydało się jej po prostu... potwornym. Przygryzła drżące usta i ręce kurczowo dokoła szyi zacisnęła.  
— Dziękuję ci, Wicek!... nie przyjdę!... — a widząc niepokój drgający na twarzy brata, dodała stanowczo:  
— Przyjść nie mogę... nie mam uczciwej kiecki.

---

Chrzciny wnuczki Burby sute były i wspaniałe.  
W wieczór majowy, przy na wpół otwartych okienkach weselili się dobrani goście naokoło dobrze zastawionych stołów.  
Była więc cielęcina z czerwoną kapustą, kotlety z sosem pikantnym, kawa, babka i tort z cytryną nowo narodzonej.  
Kazia blada, lecz zdrowa, kręciła się pomiędzy gośćmi, wesoła, uśmiechnięta, pełna macierzyńskiego wdzięku.  
Wicek, trochę chmurny, dolewał gościom wina, rozsypywał po kolanach kobiet bakalie z jakąś dziwną rozrzutnością, jakby chcąc cały ten częstunek jak najprędzej załatwić.  
Pod okna oświetlone ściągali ci i owi, aby się owemu traktamentowi<sup>110</sup> przyjrzeć, lecz powoli pustoszało dokoła dworku, ludzie wracali do swych legowisk i do snu się kładli.  
W cieniu spowite jaśminy ogródka całe kłęby woni w wilgotną noc wyrzucały, szumiąc z lekka.  
Z daleka majaczyły naftowe latarnie ubogie i smutne wśród dzikiego bzu zawieszzone. Pod parkanami mknął biały kot, czając się i odskakując co chwila.  
Z dworku Burby dolatywały głosy harmonijki, grał na niej Wicek, siedzący teraz na stole, z którego na wpół ściągnięty obrus opadał na ziemię. Dokoła niego kręciło się kilka par w takt polki, a stary Burba z dzbanka szklanego piwo do szklanek dolewał.  
Na oknach ledwo przymkniętych powiewały muślinowe firanki.  
Pod jednym z nich, wychodzącym na ogród, siedziała Kazia, trzymająca w poduszce kokardami upstrzone dziecko.  
Matka patrzyła na tańczących machinalnie, poruszając poduszką, z której długa, lekka spadała sukienka.  
Nagle zdawało się jej, że ktoś za oknem westchnął. Nie poruszyła się nawet, pogrążona w słodkiej ekstazie na widok tak dobrze bawiących się gości.  
Tymczasem za oknem, uczepiona prawie o ramę, stała Olka, z oczyma szeroko rozwartymi, z których dwie strugi płynęły.  
Wiatr, wiewając muślinową zasłoną, ukazywał jej wewnątrz wesołej, widnej izby, napełnionej rozbawionymi ludźmi.  
Dźwięki harmonijki serce jej szarpały na strzępy — z piersi wydzierano się westchnienie, w jęk prawie psi przechodzące.  
Widok brata, żyjącego pomiędzy inną sferą ludzi, inną niż ona — wyklęta i wydziedziczona, napełniał ją dojmującym bólem, a drobna główka dziecka w tiule i muśliny spowitego, zbudziła w niej samiecę.  
Wyciągnęła rękę z jękiem ku tej drobnej istocie, której stóp nawet ucałować nie miała prawa.  
Westchnęła!  
Od okna porwała się Kazia i szybko podjęła firankę.  
Olka nie zdążyła się cofnąć, bratowa przesyła ją oczami.  
— Wicek! — zawołała — Wicek, a pójdź tu ino!  
Mąż zląkł ze stołu i nie przestając grać, do okna poszedł.

<sup>110</sup>traktament (z łac.) — poczęstunek. [przypis edytorski]

— Co chcesz? — zapytał.  
 — Odpędź no jakąś małpę, co się pod oknami słania!  
 Przytrzymując dziecko prawą ręką, lewą odkręciła rygiel i otworzywszy na oścież okno, miejsca mężowi ustąpiła.  
 On, grając ciągle, bokiem przez parapet się przechylił i wśród smugi światła dojrzał w oddaleniu bladą i splakaną twarz siostry.  
 Przez chwilę milczał, grając machinalnie polkę, nie mogąc słów znaleźć dla oddalenia tej, za której pieniądze zdołał ochrzcić swe dziecko i uraczyć gości.  
 Żona tymczasem ciągnęła go za surdut.  
 — Zamknij okno, dziecko się zaziębi!  
 Teraz on przechylił się jeszcze silniej i niskim, wzruszonym głosem rzucił:  
 — Odejdź... siostrze!...  
 Ona wyciągnęła ku niemu ręce drżące, jakby rzucając pocałunek i odwróciwszy się wolno, odeszła w głąb ciemnej ulicy, po której kłęby woni jaśminów płynęły.

## Szakale

Przez dziedziniec zajazdu jak strzała przemknął numerowy, siejąc po drodze świeże deszczulki, które przywiązywał do kluczy.  
 Wpadł do mieszkania właścicielki i prawie bez tchu zatrzymał się w progu saloniku.  
 — Spod siedemnastego „sie” powiesiła! — zawołał, łapiąc z wysiłkiem powietrze.  
 Właścicielka, tłusta, żółta, cała rozlana w swej włóczkowej halce, która wydymała się jej na brzuchu i biodrach, a zapadała pod kolanami, otworzyła szeroko oczy.  
 — Co to za paskudne gadanie! Po co się miała powiesić, kiedy jeszcze rachunku nie zapłaciła!  
 Lecz kelner powtarzał uparcie:  
 — „Sie” powiesiła.  
 Żydówka cmoknęła niecierpliwie:  
 — Skąd Marciński wie?  
 — Widać ją „bez<sup>111</sup>” okno. Ma nogi o deskę oparte!  
 — Może sobie tylko tak w oknie stoi?  
 — Ale!... wisi, wisi, jak mi Bóg miły, ot, nogi się jej zgięły w kolanach, a ręce dyndają po bokach. Wedle głowy już dojrzeć nie mogłem, bo bez okiennice wszeteczne ciemności w numerze.  
 Żydówka pod boki się ujęła i stała chwilę zamyślona.  
 — Trzeba drzwi otworzyć — podjął znów kelner — może jeszcze dycha.  
 — Aj! aj! Niech pan Marciński tak sobie nie śpieszy. Po co to głośić takie rzeczy? To interes psuje... Goście się odstraszą.  
 Żydówka podreptała do sypialni.  
 Za chwilę wyszła w perkalowym szlafroku, który się jej roztwierał na brzuchu i pierśsiach. Na perukę zarzuciła wełnianą chustkę.  
 Przez uchylone drzwi weszła kilkunastoletnia dziewczyna, chuda i czarna, w opiętej bardzo sukience. Włosy miała ściągnięte po chińsku i przepasane żółtą tasiemką.  
 Podeszła do matki.  
 — Gdzie mama idziesz?  
 — Do numerów. Kanapa się zawaliła w piętnastym! Aj, co ja z tym mam!... Ty sobie, Salcia, pograj trochę gamy.  
 Roztwarzała fortepian, ścierając pył połą szlafroka.  
 — Nie chcę gamy! — grymasiła Salcia.  
 — Aj, Salcia! Co z tobą?... Ty gorzej „kaprysujesz” niż te całe numera i wszystkie goście! Graj sobie gamy albo jakie kawałki. Graj głośno, a okna otwórz, niech goście słuchają.  
 Znów do okien dreptała, lecz kelner jej drogę zastąpił.  
 — Chodźmy pod siedemnasty!

<sup>111</sup>bez (reg.) — przez. [przypis edytorski]

— Chodźmy!

Na dziedzińcu wyszli i okrążyli furę z sianem, która na środku drogi barykadowała. Kilka kur kręciło się pod wozem, dziobiąc w żółtawej, lepkiej cieczy, co cuchnącym węzłem pod kołami się kręciła. Przez otwartą wjazdową bramę widać było szary bruk uliczny i nagle podniesienie się ścian kamienic przeciętych ciemnymi jamami otwartych okien. Z góry płynęło szarawe światło chmurnego dnia letniego, deszcz mżył od świtu, tnąc powietrze cieniuchnymi, podłużnymi nitkami. Pomiędzy kamieniami tworzyły się czarniawe strumyki, które zdawały się zastygać jak ciemne pokręcone robaki.

W środkowym korpusie hotelu, cofniętym w tył, pomalowanym na jasnoróżowy kolor, prawie wszystkie okna były otwarte. Tylko na dole jedno okno miało przymknięte szarobrudne okiennice, krzywe i popaczone. Okiennice te były od wewnątrz śrubą ujęte.

Kelner palcem na okno wskazał:

— O!

Lecz Żydówka wykrzywiła się ze złością.

— Ty, panie Marciński, palcem nie pokazuj! Ty mi policję jeszcze naprowadzisz tym palcem!

Do sionki wchodowej zwróciła się, lecz stanęła nagle jak wryta na widok myszurysa<sup>112</sup> drzemiącego na kločku wśród porozrzucanych wiórów.

— Jojne! Jojne!

Jojne, rudy, mały, pokręcony, z sześcioma palcami u lewej ręki, prawdziwy „rarytas” hotelowy, porwał się na równe nogi.

— *Schlufst du?*<sup>113</sup>

— *Naaa! schlaft i nit!*<sup>114</sup>!...

Lecz właścicielka napadła nań, sypiąc gradem obelżywych wyrazów. Leniwiec, próżniak, drogę gościom zawała i nie wie nigdy, co się w numerach dzieje.

Kelner zniecierpliwiony wszedł do sieni.

— Niech pani idzie.

— *Zaraz! zaraz!*

Jojne uciekł, teraz właścicielka przypatrywała się zsypanym w kącie dachówkom, którymi miano kryć oficynę. Nagle z lewego skrzydła zajazdu wypłynęła tryumfalnie *Ostatnia myśl* Webera<sup>115</sup>, kaleczona przez Salcię.

Żydówka chwilę jeszcze słuchała, uśmiechając się radośnie.

— O!

Po czym dopiero z trudnością na trzy wschodki wślazszy, w ciemną szyję sionki zagłębiła się.

Cały zaduch źle utrzymywanych numerów zacieśniał się tu, w tej ciemnej przestrzeni. Podłoga, ściany zdawały się być przesiąknięte wonią potu, brudnej bielizny i piwnicznej wilgoci. W kącie bieleły skorupy rozbitej miski, przed drzwiami numerów porzucono buty, z których jeden w niepewnym świetle płynącym z wysoko umieszczonego okienka miał świeżą zelówkę jasno na czarnym tle podłogi się znaczącą. Cały ten zakątek, w którym nędza, występki, rozpusta, często wykwinne nawet cudzołóstwo odwiedzało w przelocie, całe to schronienie dla smutnych, wydziedziczonych, bezimiennych, czasem jeszcze wilgoć więzienia w swym ubraniu ze sobą wnoszących, koncentrował się głównie w tym pawilonie, w dolnych numerach, gdzie stawali najczęściej ludzie wybladli, wychudli, mówiący cicho, nie domagający się nigdy świeżych prześcieradeł, szuwaksu<sup>116</sup> na buty lub wody do karafki. Jakaś tajemniczość włóczyła się wzdłuż tych ścian rzędem drzwiczek przeciętych, jakiś podejrzany handel, przywodzący na myśl połączenia potworne, kurcze głodu przed światem tajone, lzy dziewczyny zhańbionej i oczy starca powleczone mgłą rozpusty.

Lecz już kelner stał koło drzwi siedemnastego numeru, dzwoniąc kluczami.

<sup>112</sup>*myszurys* (żyd.) — właśc. meszores, sługa. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*schlufst du?* (niem.) — właśc.: *schlaftst du?*, tj. ty śpisz? [przypis redakcyjny]

<sup>114</sup>*Naaa! schlaft i nit* (zniekształt. niem.) — nie, nie śpię. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*Weber, Karol Maria von* (1786–1826) — niemiecki kompozytor, twórca wielu oper i koncertów fortepianowych; dyrektor opery w Dreźnie od w 1817; zmarł w Londynie, a w 1844 jego zwłoki przeniesiono do Dreznia. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*szuwaks* (daw.) — czarna pasta do butów. [przypis edytorski]



Żydówka doń dopadła.

— Cicho! cicho! Niechaj nie słyszą!

Spojrzała przez dziurkę od klucza, ciemno było zupełnie, wyjęła z peruki szpilkę podwójną i zanurzyła w głębię.

— Nie ma klucza! — wyszeptwała.

Numerowy od pasa kółko odpiął, na którym brzęczały klucze.

— Poszukam!

Z wielką wprawą klucz znalazł, w zamek go włożył i dwa razy przekręcił.

Drzwi otwały się skrzypiąc.

\*

Łóżko stało zasłane, nietknięte, wyciągające swe brudnoczerwone fałdy koldry i biały kwadrat poduszki w półcieniu, jaki panował dokoła.

Od okna płynęły jaśniejsze smugi, a przez wycięty otwór w okiennicach padał snop światła, przecinający brutalnie ciasną przestrzeń numeru. Snop ten, biegnąc ukośnie, padał na stół pokryty różową bawełnianą serwetą, na której stała szklanka do połowy wypitej wody, karafka, kawałek sznura ciemnoczerwonego, odpalonego na jednym końcu, i trochę kwiatów sztucznych, pognicionych i zwiniętych w kłębek. Blżej okna leżało przewrócone krzeselko, z którego materac wypadł na środek pokoju.

Reszta przedmiotów tonęła po kątach w cieniu.

I tylko jeszcze piec występował masą ciężką, białą, jak zwierz uśpiony w kącie ciasnej klatki, z paszczą szeroko otwartą, z której jak język czarny wisały na jednej złamanej zawiasie<sup>117</sup> zardzewiałe drzwiczki.

Lecz u okna jakaś czarna, nieruchoma zwieszała się postać, smutna i nędzna. Żle dopasowane okiennice właśnie tam filtrowały szeroką szparą światło. W szparze tej najdokładniej dostrzec można było ciemną głowę kobiety, obramowaną jaśniejszym paskiem światła i dalej korpus zwieszający się ciężko z rękami opuszczonymi i wykręconymi konwulsyjnie ku ciału, z nogami podkurczonymi na desce okna.

Marciński rękę wyciągnął.

— Wisi! O tam, w oknie!

Żydówka oczy zmrużyła.

— Niech no Marciński poczeka! Może to takie udawanie, bo to z... takimi to różnie się trafia. Panno! Panno! Zleż panna z okna!... Zleż zaraz!...

Lecz postać czarna nie drgnęła nawet, wciąż nieruchoma w swej strudze jasnej w ramę ją obejmującej.

Żydówka podsunęła się bliżej.

— Niech Marciński okiennicę jedną uchyli, a ostrożnie, coby z „dworza” widać jej nie było.

Marciński szybko podstaąpił, na okno się wspiął i rękę poza trupa wyciągnął. Okiennice powoli się uchyliły. Szeroka szczyba światła doskonale teraz oblała straszłą, zsiniałą twarz samobójczyni.

Numerowy w pierwszej chwili oczy przymknął, znalazłszy się tak blisko z trupem w ciasnej niszy okna. Powoli jednak powieki podniósł i ręką policzka zmarłej dotknął.

— Jak lód — wyrzekł.

Z okna zeskoczył i stał teraz beczynnym z opuszczonymi rękami, patrząc ciągle w wiszącą.

Nagle Żydówka wybuchnęła:

— A niech ją diabeł porwie! Pięć dni numer trzymała i teraz jeszcze go zapaskudziła! Aj! aj!... kto tu teraz stanie! A policja! A gwałty! A stacja nie zapłacona!

Kelner milczał, jakby zahipnotyzowany widokiem martwej dziewczyny. Była przecieź ohydna; cała sina, z oczyma szeroko rozwartymi, prawie czerwonymi od krwi nabiegu, z masą bezkształtną języka, wysuwającego się z jej ust granatowych i spuchniętych. Tylko od tyłu głowy zwieszały się przepyszne, wspaniałe warkocze, czarne i lśniące, na wpół splecione. Jeden z tych warkoczy zsunął się naprzód i wisiał w przestrzeni, a lekko przez

Trup

<sup>117</sup>zawiasa — dziś popr. w r.m.: zawias. [przypis edytorski]

wejście na okno numerowego poruszony, chwiał się jak warkocz płaczącej brzozy, z czarnej kolumny spadający.

— To ci włosy — wyrzekł nareszcie.

Lecz Żydówka lamentowała.

— Ny, kto mi teraz zapłaci? Kto? Co ja mam za moje dobre serce, żeby taką włóczęgę z końca świata do numeru brać! A młoda jeszcze była, zdrowa, po co jej było taki koniec ze sobą robić? aj! aj!...

Do stołu się zbliżyła.

— Lichtarz mi popsuła, o!... świeca się wtopiła, niech ją choroba ciśnie!...

Na stole stał lichtarz mosiężny, cały zielony, ze stearyną świecy szeroko po brzegach rozlaną. Widocznie samobójczyni pozostawiła na stole płonąca świecę. Przepalony sznur, którego druga połowa posłużyła za śmiertelny stryczek, należał kiedyś do szlafroka lub bluzki. Na blasze przed piecem wały się popalone kawałki listów i papierów.

— Marciński! Co ona jadła? — spytała nagle Żydówka.

— Kawę; co dzień dwie szklanki jej nosiłem!

— I bułki?

— A jakże!...

— Ny, co ja tera pocznę, kto mi za tę kawę zapłaci?

W kącie ciemnym dostrzegła małą skrzynkę.

— Może tam co jest. Niech Marciński posunie!

— Nie wolno ruszać.

— Głupi Marciński jest! Mnie wszystko wolno, bo mnie się należy i ja pierwsza do długu jestem!

Marciński kuferek pod światło przysunął.

\*

A w kufereku tym był cały dramat ciężki i bolesny, cały dramat życia kobiety wykołonej, rzuconej jednym przyspieszonym tętnem krwi w falę życia straszną i nielitościwą.

Dziewczyna ta musiała być statystką w jakimś teatryku, bo jeszcze „krakowianka” brudna i kawałkami głasy<sup>118</sup> naszyta, mieniła się wśród reszty szmat i szmatek. Atlasowe pantofle baletowe, jak dwa opadłe i martwe motyle, różowiły się wśród fałd połatanych koszul. Trochę paciorków brzęczało na dnie kufra, a pomiędzy nimi rozkładał się nagle krawat męski atlasowy, jasny lila z czarną przetartą dziurą od wkładania tombakowych<sup>119</sup> szpilek.

Krawat ten zdradzał wiele, jakąś miłośćkę łatwą do zawiązania w cieniu kulis, w tym bezustannym zbliżeniu mężczyzn i kobiet, w tym kodeksie moralności przenieconym i ułatwiającym nie uprawnione związki. Krawat ten był tani, podszyty perkalem, kupiony z wystawy ubożego sklepu na jakiejś oddalonej uliczce. Mężczyzna, który go nosił, był biednym i był bez wątpienia aktorem, bo na atlasowym węźle świeciły się żółtaworóżowo plamy szminki. Był trywialny i niewybredny w swych gustach, dowodził tego kolor krawatu, a brutalny i pełen namiętności, gdyż tkanina cała porwana była gwałtownie wyszarpywaną szpilką.

Lecz Żydówka, mrużąc gniewnie, zanurzyła dalej rękę. Z powodzi licznych szmat wydostała kilka fartuchów płóciennych, dużych, ordynarnymi nićmi widocznie na wsi uszytych. Na jednym z nich wisiała jeszcze gałązka uczepionego chmielu, zeschła i szerniała. Inny miał na sobie kilka uczepionych bodiaków<sup>120</sup>. Nagle coś zaszumiało. Z jednej kieszonki wysypało się trochę pośladu<sup>121</sup> dla kur. Widocznie dziewczyna, zerwawszy z życiem teatralnym, przyjęła służbę w jakimś wiejskim domu. Lecz niedługo tam była, może dowiedziano się, że dawniej „pokazywała komedię” i wypędzono ją od razu. Tak często bywa. Panie ze wsi nie lubią aktorek...

Jeszcze kilka par pończoch sztucznie pocerowanych wyrzuciła z kufereka Żydówka, jakiś stanik ciemnogrnatowy, przerobiony pod szyję, ze śladami huzarskich galonów na

<sup>118</sup> *glasa* (fr.) — tkanina bawełniana, błyszcząca z jednej strony, z drugiej matowa. [przypis edytorski]

<sup>119</sup> *tombak* — stop miedzi z cynkiem, imitujący złoto. [przypis edytorski]

<sup>120</sup> *bodiak* (reg.) — oset. [przypis edytorski]

<sup>121</sup> *poślad* — ziarno gorszej jakości, używane jako pasza. [przypis edytorski]

plecach i na piersiach, wreszcie waporyzator<sup>122</sup> rozbity, z pękniętą gumą i zerwaną siatką, obrazek Matki Boskiej oprawny w blaszane ramki, kłębuszek włóczki z zaczętą szydełkową rozetką, patelkę całą czarną i spaloną od ognia, wreszcie pustą, wytłuszczoną portmonetkę. To było wszystko, lecz z tych smutnych gałganów trup cały odżywał i opowiadał gorzkie dzieje kobiecej doli. Dziewczyna ta żyła widocznie z jednym ze swych kolegów, była pracowitą i oszczędną. Pełniła przy mężczyźnie obowiązki kucharki i posługaczki.

Miała jeszcze trochę wiary, którą musiano wpoić w nią w domu. Była nerwową i lubiła denerwować się sztucznymi zapachami. Miała grunt najuczciwszy i starała się po rozstaniu ze swym kochankiem wywalczyć sobie jakieś stanowisko wśród ludzi. Pracowała i musiała czuć się bardzo szczęśliwą. Wypędzona, wpadła w nędzę i rozpacz bezdenną. Głód, opuszczenie, smutek pchnęły ją w otchłań zwątpienia, które kończy jedynie... śmierć.

Młoda, lecz z ciałem zniszczonym nędzą i przedwczesną miłością — nie umiała iść dalej.

Wśród nocy, w zaduchu i ohydzie żydowskiego zajazdu postanowiła skończyć to, co się nazywało życiem.

Przepaliła sznur, bo przeciąć go czym nie miała, i bez łzy, bez żalu, z ustami nerwowo zaciśniętymi założyła go sobie na szyję.

Ostatnie wrażenie<sup>123</sup>, jakie ze sobą w dal ciemną uniosła, był żółty, drgający płomień dogasającej na środku izby świecy.

\*

Żydówka kopnęła nogą kuferek.

— Ani gałgana nawet wybrać! Tęgo nawet handlarz za dwa grosze nie zechce!...

Powstała powoli i do trupa się zbliżyła, oglądając zniszczoną sukienkę, w jaką dziewczyna była ubrana.

— Może w kieszeni co ma?

Rękę wyciągnęła, ale prędko cofnęła ją i poza plecy ukryła.

— Niech Marciński zobaczy.

— Nie wolno!

— Głupi Marciński jest... jak się co znajdzie, to i Marcińskiemu się dostanie za usługę.

Przecież Marciński na piwo nic nie dostał.

Kelner pokręcił głową.

— Ano racja jest, zobaczę!

Do kieszeni trupa sięgnął, lecz pustą była prawie zupełnie. Trup się zakołysał. Żydówka z rękami założonymi na brzuchu przyglądała się niecierpliwie.

— A nie „stłuknij” ją, Marciński.

— Wisi mocno! niech się pani nie stracha!

Oswajali się powoli z tym trupem smutnym i stygnącym w zaduchu źle utrzymanej izby.

— Nie ma nic?

— Nie... ino blaszany naparstek.

Żydówka znów zaklęła.

— Daj pan Marciński naparstek! Salcia swój zgubiła, nie potrzeba kupić.

Nagle zamilkła i bliżej do okna postąpiła.

Trup, kołysząc się, odsłonił nogi.

Nowe, porządne buciki, zapięte na guziczki, ukazały się oczom właścicielki hotelu.

— Niech pan Marciński zlezie!

Lecz Marciński dotykał wiszącego warkocza i mlaskał językiem.

— Aj! aj! Co za włosy!

— Marciński musi zleźć!...

Kelner warkocz z żalem z ręki wypuścił.

— Niech pan Marciński pójdzie cicho do mojego mieszkania i przyniesie duże nożyce.

Trzeba ją oderżnąć, może jeszcze żyje, to się ją potrze!

<sup>122</sup>waporyzator (z łac.) — rozpylacz do perfum. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>ostatnie wrażenie — dziś popr.: ostatnim wrażeniem. [przypis edytorski]

Kelner spojrzal w oczy Żydówki.

Przez kilka chwil mierzyli się wzrokiem, a oboje mieli w źrenicach jakieś płowe, migoczące światelka.

Wreszcie kelner ku wyjściu się skierował i skrzypiąc drzwiami, znikł w głębi sieni.

Żydówka, pozostawszy sama, obejrzała się kilkakrotnie, po czym, wyciągnawszy jak najdalej ręce, na palcach do trupa podeszła i szybko guziki bucików rozpinać zaczęła. Nos jej się zwęził ze strachu, usta zgięły się w półkole. Na czoło pot wystąpił. Ona, sapiąc, przechylona, ciągnęła dalej swą pracę, zdzierając ze zmarłej obuwie, szarpiąc trupa, nie czując prawie chłodu nóg zeszytwniałych, które, pozbawione osłony, zabielały nagle jasną barwą szarych, pocerowanych ciemną bawełną pończoch.

Dokonawszy swego dzieła, właścicielka cofnęła się szybko, otworzyła drzwi i z siłą cisnęła daleko w głąb korytarza buciki. Stuknęły o podłogę, jak uderzenie młotka o wieko trumny. Czas jednak był wielki. Marciński powracał, kryjąc pod połami kurtki duże nożyce.

Żydówka pot z czoła otarła.

— Panna Salcia gra?

— Panna się bije z kucharką!

Weszli znów do numeru i teraz już sam Marciński podszedł do okna.

— Niech się pani nie zbliża, ja ją sam obetnę.

Wlaził na okno, posunął trupa i zasłonił sobą prawie całą postać zmarłej.

Żydówka, o drzwi oparta, nie patrzyła, cała zajęta myślą, czy buciki samobójczyni będą dobre na nogi jej córki.

Tymczasem nożyczki zgrzytnęły. Z cichym chrzęstem obsunął się wzdłuż pleców trupa obcięty warkocz. Marciński zwinął go zręcznie i schował do kieszeni kurtki.

I znów niby chrzęst — i głowa dziewczyny ukazała się teraz ostatecznie zeszecona, z krótką nierówną linią rozsypujących się na karku włosów.

Lecz Marciński ku drzwiom się zwrócił.

— Lepiej nie ruszać, policja się wda i będzie kram, że my ją poruszyli. Jaką naszli, taką zostawmy!

Żydówka skinęła głową.

— Ma Marciński „słusznie”! Teraz musi iść po strażnika! Aj, aj!... Jakie to zmartwienie!...

Kelner z okna zeskoczył i ku drzwiom podążył.

Wyszli oboje na korytarz i Marciński zaczął dobierać klucze.

Żydówka, buciki niewidocznie podniósłszy, za chustkę ukryła.

— Czego Marciński ją zamyka? — zapytała, kierując się do wyjścia.

— Prawda! — odrzekł kelner — przecież nie ucieknie!

I roześmieli się oboje.

## Papuzia

Zagwizdaj, Papuziu!...

Minuśka porwała się z jego kolan i nagle w półcieniu, już z okien płynącym, zabieliła się jak zjawisko w swej masie białych zwiędniętych koronek i pomiętego batystu.

— Nie!... nie!... nie chcę!

Ale on, nieubłagany — wyciągnął rękę i ujął nagie ramię dziewczyny w swe suche palce nerwowego blondyna.

— Zagwizdaj, Papuziu!...

— Ty wiesz, to dla mnie cholera to gwizdanie.

— Zagwizdaj, Papuziu!...

Ton jego mowy był rozkazujący, powolny, miękki, a przecież siekący jak uderzenie szpicruty.

Dziewczyna próbowała się jeszcze opierać.

— Nie!... wolę z tobą rozmawiać!

On nieznacznie ramionami ruszył.

— Zagwizdaj, Papuziu! — powtórzył po raz czwarty.

Stalowoniebieskimi oczami spojrzął w drobną twarz Minuśki, która ledwie przeświecała przez całe kłęby pokręconych czarnych włosów.

Oczy te, jakby wieczną łzawą mgłą pociągnięte, zużyte były i dziwnie rozwiązłe.

Jakaś nabożna, dystygowana rozpusta gnieździła się w tych źrenicach koloru dziewczęcej sukienki.

Były to oczy westalki<sup>124</sup>, powracającej ze schadzki do swej świątyni.

Teraz już Minuśka pod wpływem tego spojrzenia układała się powoli na kolanach mężczyzny, pochylając w tył głowę, tak że cała kaskada czarnych włosów spłynęła ku ziemi i kwiatów dywanu dosięgła.

I tylko biust jej biały, foremny, jakkolwiek trochę w górze spłaszczony, rozciągał silnie cienki batyst szlafroka, związanego lekko białą w pasie wstążką.

Reszta ciała zaznaczała się silnie wyraźnymi konturami i dobrze wygiętą linią od bioder odcinała się jasno od ciemnego obicia niskiej tureckiej sofy.

Z bosych stóp dziewczyny spadły małe pantofle z różowego atlasu, trochę brudne i zgniecione.

Nogi te, wyciągnięte z nieruchomością trupią, żółte były, wygięte silnie jak nogi tancerki, przecięte błękitnymi żyłami i cieniem czarnych włosów, rosnących na zgięciu palców.

W niewyraźnym mroku szarej godziny — objawiały się jak nogi kobiety zmęczonej, głupiej, nerwowej, kobiety bez silnego punktu oparcia, a mimo to dobrej, miękkiej, uległej — idącej ślepo za podmuchem losu.

Cała wreszcie postać Minuśki, wyciągniętej na strzyżonej tkaninie orientalnego mebla, miała w sobie to bierne poddanie się fatalizmowi, to opuszczenie rąk w walce z życiem, to zagaśnięcie poczucia rozkoszy, temperamentu i kaprysów kobiecych.

W nieruchomości swojej, w tej ulubionej pozie wyciągniętego w trumnie trupa — znać było dążenie bezwiedne ciała do spoczynku, a spod długich rzęs przymkniętych migąły tylko białka oczu. Wszystko w niej dążyło i rwało się ku ziemi razem z kaskadą czarnych włosów, razem z fałdami białego trenu, który ją obwijał zimną draperią grobowego całunu.

Siedzący w kącie sofy mężczyzna, smukły, *correct*<sup>125</sup>, silnie wyczesany — z brodą okrągłą zmysłowego samca, opartą na sztywnych rogach lśniącego kołnierzyka, w kanciastych liniach ciała, w kolanach silnie złożonych, przypominał pozę Ozyrysa<sup>126</sup>, wciśniętego w szeroki stalowogranatowy garnitur angielskiego kroju. Nawet kurtka, szczelnie na dwa rzędy zapięta, opinała silnie pierś jak mogiłę wszystkich pragnień i porywów...

Całe ciało, długie, złożone, jakby na zawiasach, przylegało doskonale do linii i zagieć sofy prostej, twardej, równej — pomimo banalnego kształtu naśladowującego wschodnie stopy poduszek.

Tylko kolana ostrym kantem wystawały brutalnie, podnosząc silnie szewiot<sup>127</sup> spodni, które opinały długie, ledwo zaznaczone łydki, niekształtne, gubiące się bez silniejszego spadku, łydki kamiennego bożka, cisnącego się do twardej swego tronu podstawy. Całe ciało — zakończone wydłużonymi a płaskimi stopami, obutymi zimno w angielskie matowe obuwie, równe było — ostro skrajane, kanciaste, podobne do wybornie spreparowanego szkieletu, osadzonego na doskonałych zawiasach.

Tylko głowa okrągła i twarz pokryta mięsem kłóciły doskonałą harmonię dalszego rusztowania.

Był to kadłub angielskiego charta ze łbem obwisłego buldoga.

Dolna warga, trochę wilgotna i jakby niepewna, zwieszała się ku dołowi, odsłaniając dolny rząd zębów żółtych i od tytoniu szernalych. Była to warga *viveura*<sup>128</sup>, który lata całe musiał powoli nasycać namiętności swych podrażnionych zmysłów, zamykając oczy i otwierając usta. Maską jego nieruchomej twarzy urobiła się już w takie rozprzężenie

<sup>124</sup>*westalka* — kapłanka rzymskiej bogini Westy w czasie sprawowania tej funkcji pod karą śmierci zobowiązana do zachowania dziewictwa. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>*correct* (fr.) — poprawny; tu: bez zarzutu. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>*Ozyrys* — egipski bóg świata pozagrobowego, sędzia zmarłych. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>*szewiot* — rodzaj tkaniny wełnianej. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>*viveur* (fr.) — osoba korzystająca z życia. [przypis edytorski]

bezwiedne mięśniów, że choć młodość walczyła jeszcze z nałogiem, ściągnąc skórę ze skroni, to już cały dół twarzy, a nawet skóra pod oczami fałdowała się w bezsilne bruzdy, zmysłowe, zwierzęco-apatyczne.

Leżąca na jego kolanach kobieta miała w swej twarzy przyschnięty znów wyraz namiętności, nagle spieczonej i w ogniu strawionej. I u niej, tak jak i u niego, ciało nie harmonizowało z głową. Tors jej miał pełne i doskonale rozwinięcie kobiety doszłej do szczytu siły, biodra rozłożyste i podatne miały w sobie mięsistość Hiszpanek, lecz już od silnych jeszcze ud począwszy, linia nóg zwężała się nagle, schła, drobniała brutalnie. Kończyny były słabe, anemiczne, wyschłe, obciągnięte trupa skórą.

Tę samą anomalię przedstawiała i ręce.

Przedramię wspaniałe, doskonale piękne, już od łokcia miało wąskość dziwną, niepewną, nieusprawiedliwioną, a same dłonie i palce, długie i kościste, z pofałdowaną na zgięciach palców skórą, zwisały się ku ziemi jak ręce rozpaczliwie smutnego szkieletu.

Z karnacją skóry, przeświecającej przez oczka koronek i pajęczą tkaninę batystu, było to samo. Twarz blada, żółta — jakby pocętkowana sinymi podkowami, podkreślającymi przymknięte oczy i rozciągającymi się aż na silnie wyciągniętą skórę nosa, nie miała ani śladu purpury warg, które białe, wąskie, postrzępione, nikiły prawie w bladej masce.

Lecz już szyja, tracąc żółtkłe tony, rozplywała się w różowawo lśniącej barwie piersi lekkiej, wiosennej, młodej — mającej w sobie doskonałą miękkość pastelu.

Pod białą batystu różowa ta barwa ciemniała coraz dalej, zagłębiała się, to znów tryumfalnie przechodziła w atlasową białość na wypukłościach bioder.

To przeświecanie jutrzenkowej barwy przez delikatny deseń koronki miało w sobie czar dziwnie ponętny, niepewny, pełen tajemniczej siły doskonałej piękności kobiecego ciała.

Jakby pod cienką warstwą śniegu rozsypane liście bladoróżowej kamelii, tak migotały szmaty ciała Minuśki w obramowaniu delikatnego desenia cienkich walansjenek<sup>129</sup>.

Lecz już — coraz dalej się posuwając — różowy ton bladł, siniał, zieleniał, żółkł na kolanach dwoma plamami i do stóp się zsuwając, w trupa barwę przechodził.

Jedynie jeszcze podeszwy jakąś dziwną anomalią różowiły się lekko, trochę starte zbyt ciasnym obuwiem, zaznaczając się w przestrzeni barwniej lekką kroplą krwi, roztartą zdaje się na ich powierzchni.

Cisza była dokoła.

Cisza wielkiego miasta, które huczy w oddali, a przecież do mieszkań ludzkich hukiem tym nie wpada, pozostawiając niemal grobowy spokój tym — którzy spokoju tego pragną.

Przez białe zasłony okien słaśniała się bladobłękitna, równa — nie przecięta niczym barwa zachodzącego nad dachami domów wiosennego słońca.

Barwa ta — wsuwając się do pokoju — jak elektryczny blask wykrawała kontury banalnych mebli, porozstawianych po kątach mieszkania. Orientalna tkanina mebli mieniła się jaskrawymi plamami i żółtą pstroczną frędzli. Duże, weneckie lustro — pochylone nad sofą — prezentowało się matowoszarym kwadratem na tle trywialnego, ciemnego obicia kryjącego ściany. Po kątach, na etażerkach wykrzywiały się japońskie lalki pod parasolami, które roztaczały ciemnoszafirowe lub czarne koła prawie pod samymi rogami trochę przybrudzonego sufitu.

Pośrodku, jak ptak nagle nieruchomy, krwawiła się czerwonością szyb i stalowymi pokręconymi liniami obwodów wenecka latarnia, okapana stearyną, bielącą się na matowej płaszczyźnie podstawy.

W jednym z kątów żółcił się duży makartowski bukiet, smutny, przyprószony pyłem, z lasem aksamitnych szyszek, sterczących wśród pęku traw połamanych.

Nie froterowana, trochę brudna podłoga, pokryta zniszczonym dywanem, wystawała jasnymi plamami koło progów i okien, które krzywo się zagłębiając, znały się wystającymi spoza białych zasłon błaszanyymi rynienkami do zbierania rosy.

I w tej banalności zimnej, bazarowej, pretensjonalnej, wciśniętej nagle w mieszczańską klatkę ciasnych, tanim obiciem oblepionych ścian starej żydowskiej kamienicy — nie było nic z duszy kobiety zamieszkującej te ściany.

Minuśka była ptakiem wędrownym i o klatkę nie dbała.

<sup>129</sup> *walansjenka* — rodzaj koronki. [przypis edytorski]

Przez uchylone drzwi dostrzec można było nie posłane łóżko — rozkopane, rozrzucone, w nieładzie jeszcze nocnym, ciemniejące pod stosem zrzuconych sukien i kolder.

Okno, przysłonięte szczerlnie szafirową zasłoną, nadawało całemu pokojowi pozór grobowej kaplicy.

Reszta tonęła w cieniu.

Tymczasem w saloniku błękitne światło okien zaczęło stopniowo szarzeć i bielić, jakby przez matowe a brudne szkło przepuszczone.

Dwie białe takie smugi — jak charty potworne przypadły do podłogi, słały się po dywanie i ginęły w oddali, tuż pod stopami nieruchomie siedzącego mężczyzny.

Końce palców w ręki Minuśki, zwieszającej się z sofy, maczały się w tej martwej jasności i żółkłe paznokcie, pocętkowane białymi plamkami, zdawały się być płatami tajemniczych nenufarów, z tafli stygnącej wody wyzierających.

Dziewczyna przymykała powieki i z przechyloną w tył głową zdawała się tężyć w jakimś odrętwieniu.

Lecz młody mężczyzna szarpnął ją znów za ramię.

— Zagwizdaj, Papuziu!

Dziewczyna westchnęła i cicho — powoli, jakby płynąc z oddali, rozległ się drżący menuet, gwizdany jakby dziobem papugi, niepewnie w dal rzucającej nuty.

To Minuśka gwizdała, leżąc ciągle przechylona, nieruchoma w obramowaniu swych czarnych włosów, które się z przepychem po dywanie walały.

Mężczyzna, zmrużywszy oczy, w gwizd ten się wsłuchiwał z dziwnym wyrazem koło ust obwisłych. Nareszcie rękę wyciągnął i zimnymi palcami po oczach Minuśki przesunął.

— Nie płaczesz? — zapytał.

Ona gwizdać przestała, brwi marszcząc.

— Cóż u diabła, co dzień nie mogę!

— Postaraj się!...

\*

Poznał ją w Łodzi, w sali Selina, gdy złym akcentem francuskim śpiewała jakąś piosnkę.

W podrabianej tej Francuzce odczuł od razu łatwą i tanią zabawę i gdy otulona płaszczkiem zeszła z estrady do pustej i białej od gazu<sup>130</sup> sali, zbliżył się, wiecznie nienasycony w tej pogoni za kobietą, jakkolwiek od dawna już nie doświadczał nic w dotknięciu nagich ramion lub rozwianych włosów.

Przez nałóg, przez przyzwyczajenie szedł już teraz, zaczepiał, wyciągał rękę, ciągle spragniony gorętszego wrażenia, czegoś, co by nim targnęło, co by zamieranie w nim rozkoszy wstrzymało choćby na krótką chwilę.

Minuśka nie zajęła go więcej od innych.

Była zepsutą, wesołą, pustą i trywialną.

Mówiła „psiakrew”, biła się po biodrach, pokazywała Żydom na ulicach język i kłóciła się w restauracji z kelnerami.

Nie różniła się niczym od innych kobiet i drażniła w nim zamierającego trupa, lecz drażniła niemile, w bolesny, dokuczliwy sposób.

Przez kilka dni, które bawił<sup>131</sup> w Łodzi, widywał ją codziennie, coraz więcej<sup>132</sup> zniechęcony i pólenny.

Dziewczyna, sądząc, że śmiechem i żartami zdoła rozchmurzyć to znużone czoło, rozstrząsała przed nim całą torbę swych dowcipów, pozbieranych w chwilowych miłostkach, które prowadziła w swym życiu.

Lecz on — ciągle milczący, zimny, kanciasty, siedział przed nią, wpatrzony w przestrzeń szklannymi oczyma trupa.

Chwilami ramionami wzruszał i mówił jedno tylko słowo:

— Cicho!

<sup>130</sup>od gazu — mowa o gazowym oświetleniu. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>bawić (daw.) — przebywać. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>więcej — dziś popr.: bardziej. [przypis edytorski]

Dziewczyna milkła, zdjęta nagłą jakąś trwogą przed tą ciszą nakazaną jej w ciasnej przestrzeni zasłoniętej łożki, poza której czerwonymi firankami widać było jasną przestrzeń sali i ciemny otwór sceny.

Raz jeden ośmieliła się powiedzieć:

— To głupie takie postępowanie!

I uzbrajając się w odwagę, dodała:

— Funta kłaków niewarte!

On tymczasem patrzył na nią, skąpaną w jasnej powodzi gazu, płonącego w stłuczonej bani, zawieszonej u sufitu łożki.

Kłęczała przed nim na małej sofce, obitej ciemną brokatelą, i podniósłszy obnażone ręce, wiązała swe czarne włosy długą białą wstążką.

Była dnia tego ubrana już do pantomimy, mającej kończyć przedstawienie, a w której grać miała rolę panny młodej.

Długa, biała muslinowa suknia, natykana kwieciem pomarańczowym, dawała jej pozor umarłej dziewczycy, którą lada chwila złożą na śmiertelnej pościeli. Twarz jeszcze nie ubielona, żółta była i martwa w tej białej koronek powodzi.

Opierała się biodrem o stół nakryty białym obrusem, na którym wały się resztki kanapek i kieliszki koniaku.

Związała włosy i powoli, z pewnym leniwym wdziękiem na poduszki sofy upadła.

— Funta kłaków niewarte! — powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

Spoza uchylającej się firanki dolatywał przenikliwy głos dziewczyny, śpiewającej na scenie drżącym sopranem:

*Demande aux lys, s'ils aiment la rosée*<sup>133</sup>.

On ciągle patrzył na nią, dziwiąc się i zazdroszcząc tej żywotnej sile, która kazała jej poruszać się, śmiać, denerwować i wyrzucać z siebie całą kaskadę słów i chęci.

Wiecznie i ciągle od pewnego czasu obserwował tak wszystkich, sam ciągle bezsilny, pełen przewidzeń, halucynacji, widząc koniec wszystkiego, nie mogąc zbudzić się z odrętwienia zmysłów, w jakie popadał z dniem każdym.

Ogarniał go smutek bezdenny, z którego sobie sprawy zdać nie umiał, szukając w złym trawieniu przyczyny głównej tej zmiany, podniecając się fizycznie i moralnie, pragnąc rozpaczliwie wyjścia z tej nicości, w którą powoli zapadał.

Spełniał automatycznie funkcje swego urzędowania w jednym z towarzystw kredytowych, lecz nocami, wyblady i z gałką swej laski przy ustach, zjawiał się, jak mara błada i milcząca, z niemą skargą na swój zgon duchowy, w zadymionych lokalach restauracyjnych, w ochrypłych salach koncertowych, w zaułkach nocnej rozpusty — goniąc coś ciągle, w milczeniu szukając, trawiąc się, stygnąc od wnętrza.

Bezwiednie lgnął do kobiet, jakby w nich szukając odrodzenia, lecz — te, do których miał przystęp łatwy i z góry zapewniony — wstrząsały nim swym śmiechem, banalną pieśczęcią i coraz ciemniejsze koło tworzyły dokoła jego osoby.

Od czasu do czasu opowiadały mu historię swego życia, zaczynając się niezmiennie od tych słów:

„Nie miałam jeszcze piętnastu lat i byłam zupełnie głupia, a tu...”

Słuchał chwilę, sądząc, że coś się tam przewinie, co mu rysę w jego lodowej powłoce uczyni — lecz prędko myśl w inną stronę odwracał.

Zawsze to samo!

Jedna historia w milionowym wydaniu!

Minuśka przecież nie opowiedziała mu swej „historii”.

Była banalną, trywialną jak inne — mówiła mu „mój kiziu” — i jadła rybę nożem, ale „historii” swej nie opowiedziała do tej chwili.

Nie opowiedziała i nie opowie — bo oto on wyjeżdża jutro i ma jej właśnie to powiedzieć za chwilę, skoro tylko tamta spoza zasłony śpiewać przestanie.

Doszedł już do tego stopnia osłabienia i rozdrażnienia, że nie umie i nie lubi mówić, gdy kto śpiewa.

Tymczasem Minuśka nalewa sobie kieliszek koniaku.

<sup>133</sup>*Demande aux lys, s'ils aiment la rosée* (fr.) — zapytaj lilii, czy lubią rosę. [przypis edytorski]



— Wiecznie pan jesteś smutny jak sum — mówi, pijąc fałszowaną ohydę powoli, jakby z rozkoszą — dobrze, że masz na smucenie się, to jeszcze pół szczęścia!

Odstawia kieliszek i znów wciska się w poduszki sofki.

— Może to i taka moda być na smutno — ciągnie dalej, rurkując falbanki sukni na palcach — znałam jednego pana od wyścigów, także się tak wiecznie gryzł i dręczył. Podobno coś kiedyś tam komuś ukradł, to go jadło!...

Roześmiała się głośno i zastanowiła chwilę.

— No, to już było przez sumienie. Prawda? Ale pan? Co ci to brak!... Mój Boże! Żeby to mnie panem być! Czy by ja kiedy się zasepiła, co?

Poza zasloną śpiewaczka umilkła i z sali dolatywał szmer pomieszanych głosów, odsuwanie krzesel i szcęk kufli rozstawionych na stołach.

— Masz pan co jeść, gdzie mieszkać, masz pewnie rodzinę, ojca, matkę, a może i żonę — a takiś pan skwaszony ciągle. Nie powiem, żeby to ja, co jak ten psiak bez gniazda po świecie się tyram i już z rozpacy do Francuzów przystałam i oto się Falfandierowej wystuguję. Psiakrew! Dobrze, że mnie trochę po francusku nauczyli, to i co zarobię na to marne życie... oj! marne!

Znów po kieliszek sięgnęła, z butelki naląa, wypila.

W pół drogi ręka jej w fałdy sukni opadła.

Była już na wpół pijaną.

— Psiakrew! — powtórzyła raz jeszcze i głowę w tył przechyliła.

Ktoś drzwi w sali otworzył.

Gaz w kuli zaczął migotać, chyląc się na obie strony.

Rozpaczliwy jakiś smutek wypełnił małą przestrzeń łóżki, jakaś grobowa pustka pomimo tłumy poruszającego się poza firanką.

Mężczyzna w swej automatycznej sztywności zastygł, siedział nieporuszony w kącie sofy, zdając się wydzielać z siebie ten chłód trupi i mrozić nim ożywioną jeszcze niedawno dziewczynę.

Teraz było ich dwoje smutnych, nie mających dachu ponad duszą.

I Minuśka czerniała, żółkła, pozbywając się swej maski sztucznego uśmiechu, odsłaniając nagle swój szkielet już próchniejący nieszczęśliwej, walczącej z życiem istoty.

Leżała nieruchoma, z rękami obwisłymi, z ustami opuszczonymi w kącikach bolesnym skrzywieniem. Nagle wargi ściągnęła nerwowym skurczem i lekko, i cicho gwizdać zaczęła.

Był to gawot<sup>134</sup> popularny, łatwy do pochwylenia i ciągnący się cicho jak srebrna nitka pajęcza.

W rozkołysaniu się gazu gwizd ten leciuchny motał się z przejrzystością dokładną, wznosił się, opadał i znów rozpoczynał.

Nagle umilkł, rozplywając się w urywanej nutce. Chwileczkę trwało milczenie.

Przerwał je ochryply nieco głos Minuśki:

— Pan wiesz, ja miałam dziecko!

Mężczyzna nie drgnął nawet, nie odpowiedział ani słowa.

Przygasłe oczy skierował jednak na leżącą kobietę, bo czuł, że ma w niej trochę odbicia swego smutku, swego zniechęcenia.

Wiedział, że się nie krzywi uśmiechem.

Oddychał.

— Miałam dziecko! A jakże! Jak anioła taką dziewczynkę! Żebyś ją pan był widział no — co to opowiadać! Królowna! Włosy czarne, oczy szafirowe — buzia maluchna. A mądra, a ucieszna. W dziesięcioro się krajałam, aby jej nic nie brakło! Pan nie ma dzieci?

Nie było odpowiedzi.

— Nie ma pan? Dobrze pan robi. Dzieci to wielka radość, ale co też to za smutek! Serce ledwo nie trzaśnie, jak to ginie! Psiakrew... co to za urządzenie na świecie!... miała na imię Maryśka! Ja ją nazywałam Marychna. To ładnie, prawda? Mówiła już, chodziła, łydki miała grube, tak że ją tylko w skarpetki ubierać można było! I co pan powie! W trzy dni — ani się obejrzałam, już było po niej! słyszy pan!... po niej!...

<sup>134</sup>gawot — taniec starofrancuski. [przypis edytorski]

Oboje siedzieli ciągle nieruchomo w obu kątach sof, ona przechylona, z twarzą ginącą w tym skróceniu. Tylko podbródek drgał jej nerwowo, jak u kobiet bliskich płaczu.

— Nazywała mnie... Papuzią. A to stąd, widzi pan, poszło: Posłyszała kiedyś pod balkonem na ulicy gwizdzącą papugę. Odejść nie chciała. Wzięłam ją na ręce i gwizdałam jej w uszko przez całą drogę. Później... ciągle prosiła — gwizdaj, Papuziu! Ja gwizdałam! Ach Boże!... ja gwizdałam!

Porwała się nagle, jakby ocucona.

— Ja pana nudzę, co? Pan i tak smutny!

Lecz on rękę wyciągnął.

— Proszę, mów dalej!... proszę!...

Jakiś cień uśmiechu przewinął się nawet koło jego warg pobladyłych.

Od tej nagle otwierającej się przed nim rany macierzyństwa, w rozpustnym otoczeniu zamkniętej łóżki tingel-tanglu<sup>135</sup>, płynęło ku niemu powolne uspokojenie i łagodne uczucie ledwo dostrzegalnego ciepła.

— Bo to, widzi pan, mężczyźni nie lubią, skoro się im o takich rzeczach mówi. Tylko pan jakiś inny od wszystkich. Może to pana i bawi.

Westchnęła, znów głowę przechyliła na poręcz sofki i oczy zmrugała.

— Widzi pan, to było dziecko takie... no, pan wie! Ot takie, bez ojca. Więc to się chowało nie u mnie, ale ja zawsze co dnia przybiegałam, na ręce schwyciłam, wycalowałam gdzie mogłam. Jak już nic jej przynieść nie miałam, to choć pogwizdać przyszłam, a mała się już od progu rwała i piszczała: „Gwizdaj, Papuziu! gwizdaj!...” Było to uciechy! Cholera muzykalna była! W dziadka się wdąta!...

Urwała, jakby przerażona zdradzeniem cienia tajemnic swego pochodzenia.

— No, i kiedy przyszła ta ciężka godzina, że ją śmiertelna choroba schwyciła — ja po doktorów z gołą głową latałam po nocy, w aptekach dzwonki urywałam. Raz mnie stójkowy<sup>136</sup> mało do cyrkułu<sup>137</sup> nie zwlókł... Co pan chce! Dla dziecka to się w ogień skoczy! Nie pomogło! Chudła, sztywniała — i już tylko na rękach nosić ją trzeba było dniem i nocą. Ja też nosiłam i jeszcze tylko to gwizdanie mogło ją uspokoić na trochę, na krótko! I ja też gwizdałam! Łzy mi jak groch leciały!... ale nosiłam i gwizdałam!

Umilkła i spod przysłoniętych rzęs zamigotały nagle dwie lśniące krople łez, po czym z pochylonej w tył głowy spływały po skroniach, moczając silnie pęki fryzowanej grzywy.

— I wiesz pan co? Umarła mi na rękach wtedy, kiedy chodziłam z nią po pokoju i gwizdałam jej cichutko, cichuteńko — prawie w samo uszko. Późno było, świeca się dopalała, w kącie chrapała kobieta, u której ona się chowała. Ja chodziłam boso, żeby nie wstrząsać rękami, gwizdząc — ona oddycha, raz, drugi oczki otworzyła — sina obrączka naokoło ust się rysuje. Jezus Maria! Myślę sobie — dziecko!... gwizdząc wciąż — ona już nie oddycha, ja głowę tracę... i ludzie mnie znaleźli z dzieckiem na ręku, ciągle po pokoju chodzącą. Podobno nawet jeszcze gwizdałam!... Co pan chcesz!... Dostałam bzika. Nie miałam nic mego... ją jedną!... Oprzytomniałam później i czasem, kiedy sama jestem mówię, sobie: zagwizdaj, Papuziu!... gwizdź!... i płaczę!

Rozpuszczoną masą włosów otarła strumień łez płynący jej z oczów.

— Przepraszam pana — wykrztusiła wśród łkań — ja zaraz przestanę beczeć, to już... taki cholerny narów... ja zaraz będę... wesoła!...

Lecz on — zbliżył się ku niej teraz i wyciągając ręce przyciągnął ją ku sobie.

W gości tym nie było śladu współczucia dla jej cierpienia, był tylko jakiś sybarytyzm<sup>138</sup> dziwny, rozsmakowanie się w gorącości łez i w spazmatycznym skurczu wstrząsającym piersi kobiety.

Melancholiczne zwierzę zbudziło się w nim i brutalnie, bezczelnie domagało się praw swoich.

Sentymentalny samiec wyciągnął trupa rękę i na ranie serca kobiety-matki położył.

Obwisła warga zadrgała mu rozkosznie.

Oczy pokryła biała, wilgotna mgła.

Dziecko

Łzy

<sup>135</sup>tingel-tangel (daw.) — drugorzędna kawiarnia, kabaret. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>stójkowy — policjant w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>cyrkuł — komisariat policji w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>sybarytyzm — rozmiłowanie w przyjemnościach życia. [przypis edytorski]

I od tej chwili żyli razem, we dwoje — schowani w kącie oddalonej ulicy, w mieszkaniu, które on urządził z banalnym komfortem biurowego parweniusza<sup>139</sup>. Wszystko naokoło nich było martwe, trupie, wystygłe.

Dziewczyna z początku rwała się jeszcze do życia, walcząc z resztkami temperamentu.

Wprędce jednak ciało zniszczone latami przymusowej rozpusty — zapragnęło grobowego spoczynku.

Za ciałem poszedł duch.

Minuśka zamierała wśród strzyżonej tkaniny mebli i zakurzonych parasoli, włącząc po otomanie swe bezsilne członki anemicznej kobiety.

On — tryumfował, kąpiąc się teraz w tej cmentarnej atmosferze, którą włączył w fałdach swej kurtki, ciągle milczący, ponury, ziejący niczym nie usprawiedliwioną rozpaczą, zwłaszcza w chwilach wiosennego rozkwitu.

Czasem tylko dziewczyna wyrzuciła jeszcze z siebie „psiakrew” — zebrane z ust towarzyszek łatwej zabawy i ciężkiej pracy, i słowo to jak uderzenie szpicruty przecinało powietrze.

Lecz on, nie ruszając się z miejsca, przez zaciśnięte usta szeptał:

— Cicho!...

Kobieta milkła i siedzieli tak oboje w milczeniu, w rozpaczliwej melancholii dwojga zamierających organizmów, skutych ze sobą — ona, rozpamiętując swą przeszłość, on — pławiąc się w lubieżności smutku i o trumny potrącającego wspomnienia.

I gdy jasnoblękitne światło od okien płynące z szarego tonu zmieniało się w złotorudy blask wycinający kontury mebli, a coraz dalej ku głębi pokoju rozpływało się w czarniawoszafirowym cieniu — on pochylał się nad martwiejącą w trupiej pozie dziewczyną.

— Zagwizdaj, Papuziu!...

Ona gwizdała, z początku niechętnie, potem coraz więcej zatapiając się w cichej nutce melodii.

Trup dziecka wyschły, żółkły, biedny — zjawiał się przed nią w przepotędze swego nieprawego pochodzenia, wspaniała bezimiennością swoją, doskonała w zrodzeniu z miłosnego tchnienia. Trup ten zimniał, sztywniał — tuż przy jej piersi — przy jej łonie, które go stworzyło, i gniółł jej ciało strasznym ciężarem nieżyjącego potwora.

I wtedy cała fala łez lała się z czarnych oczu kobiety i po przechylonej w tył głowie ku masie pokręconej grzywy spływała...

Tymczasem mężczyzna trupie swe palce w kaskadzie tych łez maczał i leniwym głosem sentymentalnie powtarzał:

— Zagwizdaj, Papuziu!...

## Bydłę

Zaturkotało i na drodze od miasta wiodącej podniósł się tuman kurzu.

Niewielki koczyc<sup>140</sup> zielony, ciągniony przez czwórkę w poręcz sprzężonych koni, stuknął silnie o belkę położoną na poprzek tuż przed chatą Hieronima i ku bramie dworskiej podązał.

Na kozłże, w szaraczkowy surdut<sup>141</sup> ubrany stangret i lokaj w długim czarnym angielzie<sup>142</sup>, zetknęli się gwałtownie ramionami, zakłęli i do równowagi wrócili.

Z koczycy tymczasem na obie strony, jak drogowskazy, sterczały dwa olbrzymie cybuchy, ciemne, z fajkami wypchanymi silnie tytoniem.

Pan hrabia i pani hrabina palili w milczeniu, rzucając w jasność liliową wołyńskiej przestrzeni całe kłęby białego dymu.

Pudełko z tytoniem stało na przednim siedzeniu.

<sup>139</sup>parweniusz (z fr.) — człowiek, który dorobił się majątku i nieumiejętnie naśladuje klasy wyższe. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>koczyc — rodzaj czterokołowego powozu. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>surdut — długa dwurzędowa marynarka popularna na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>angielz — dłuższa odmiana surduta. [przypis edytorski]

Pani hrabina miała płaszczyk i twarz lśniąca od nadużycia gliceryny.

Pan hrabia miał prześliczne turkusowe oczy, wprawione w poźółkłą maskę zgryzionego wątrobiarza<sup>143</sup>.

Koczyk stanął przed bramą.

Lokaj zlął powoli i za wrota pociągnął, pasące się obok stado gęsi uciekło z przerażającym wrzaskiem.

Koczyk próg bramy przestąpił, wstrząsając woźnicą, pudłem, panią hrabiną, panem hrabią i obydwoma cybuchami.

Gęsi, drąc się, leciały wśród masy traw, łopocząc skrzydłami, i hen, aż pod tajemnicze gąszcze ożyn<sup>144</sup> się dostawszy, przypadły do ziemi, zdyszane i srodze zmęczone. Lecz już na ganku dworu powstał ruch i w kredensie Janek, czytający *Resurrecturi*<sup>145</sup> w „Tygodniku Ilustrowanym”, otarł nos w znaczący sposób.

— Czort diabła niesie! — wyrzekł półgłosem.

Znad tapczanu surdut zdjął, poślinił welwetowy kołnierz, na którym łupież silnie przyłgnał, surdut nadział i powłócząc nogami, na ganek podążył.

Już pani sędzina pędziła od strony garderoby, pokrzykując cienko:

— Z Hati! Hrabstwo z Hati!

I szybko odwróciła się do Janka, który melancholijnie spod spadającej hyry na swą panią spoglądał.

— A ty mi się nie upij, bo jak Boga kocham, tak już z tobą koniec zrobię! Słyszysz?

Janek brwi zmarszczył i za poły surduta obydwoma rękami się schwycił.

— Słyszę, jaśnie pani! — odparł.

Koczyk z głuchym szumem już przed ganek zajechał.

Sędzina wpadła we drzwi prowadzące do głębi dworku, a Janek, ze specjalnym gestem ze stopni ganku schodząc, drzwi wchodowe<sup>146</sup> hrabstwu ukazywał.

— Państwo w domu? — zapytał hrabia.

— Jaśnie państwo są! — odpowiedział lokaj.

Cybuchy i tytoń na rękach lokaja wędrowały już w głąb domu.

— A uważaj, kanalio, abyś cybucha nie przetrzącił! — dodał w formie uwagi hrabia.

Nie, to było ponad jego siły!

Musi pójść do karczmy.

Chodzi, chodzi naokoło stołu, pociąga obrus, karbuje sól w solniczce, ustawia garnuszeczki ze śmietanką. Na środku piramida z poziomek krwawi się plamą purpury wśród zielonych liści. Po obu stronach, na złożonych porcelanowych koszyczkach, rudym tonem znaczą się świeże obwarzanki, cukier miałki piętrzy się piramidką prawie skrzącą w promieniach zachodzącego słońca.

Poprzez okno na wpół otwarte płynie cała taka struga ognista, przecięta smukłością topoli, sterczących dokoła dworu.

Jeszcze bydło z pola nie wraca.

Nie słyhać kołatek ani hukania pastuchów poza wodą, hen poza stawem.

Janek ręce po napoleońsku na piersiach złożył i stanął koło okna.

Włożył liliowy atlasowy krawat i włosy jasnobłond, w których srebrne nici się bielą, olejkiem zlał i z czola odgarnął.

Czeka, aż kucharz kurczęta z przypadłej opodal dworu kuchenki do kredensu przyniesie.

Wtedy samowar, syczący w kredensie, do jadalni wniesie, na stoliku obok ustawi, otworzy drzwi do salonu i zaanonsuje niskim głosem:

— Podano do stołu!

Tymczasem przecież coś go we wnętrzu ssie jak wąż, a śliny w ustach pełno.

Janek wie dobrze, co to znaczy...

Alkohol

<sup>143</sup>wątrobiarz — mężczyzna z chorą wątrobą. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>ożyny (reg.) — jeżyny. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>*Resurrecturi* — powieść J. I. Kraszewskiego. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>wchodowy — dziś popr.: wejściowy. [przypis edytorski]

Czco mu; do karczmy go ciągnie.

A jest ona tam po drugiej stronie stawu, ta karczma cała czarna mimo czerwonej jasności słońca.

Janek drogę tę od lat trzydziestu zna.

Zmienił ją tylko od chwili ożenienia. Trzeba bowiem było ze dworu do karczmy właśnie koło chaty iść, chaty, którą mu jaśnie pani dała, kiedy Warkę z garderoby wziął i z „werczem” do dworu przyszedł.

Pani chatę i Warkę dała, ale Warka darła się o wódkę z Jankiem i zaraz na próg chaty wypadła, za poły surduta chwytając i zawodziła het, jak suka, gdy jej szczenięta odbierają.

Wiedziała Warka, że jaśnie pani ma tego pijaństwa Jankowego dosyć i lada chwila go z kredensu wygna precz.

Tym bardziej że Janek nie pił całe miesiące i tylko, gdy gość się zjawił, wnet do karczmy pędził i za siwuchę<sup>147</sup> chwytął.

A przecież trzydzieści lat już w Horodyszczu przetrwał służąc wiernie, nieposzlakowanie uczciwy, pełen arystokratycznych przesądów, właściwych wołyńskiemu chłopu, cerując dywany i szlafroki pana sędziego, objijając sofę w buduarze panny sędzianki, obszywając gościnne kółdry na trawie dziedzińca, kolekcjonując „Tygodnik Ilustrowany”, bijąc Warkę i najstarszą córkę, Paraskę, tyranizując chłopaków kredensowych i leżąc bez pamięci, od czasu do czasu, w krzakach berberysu, które bukietem blaszanych liści i delikatnych jagód wznosiły się na środku dziedzińca.

Pani sędzina nazywała go wtedy „bydlę”. Była to nazwa mniej wykwiwna niż dosadna.

Pani sędzina była jednak córką ekonoma. Stąd miała dużo poczuć arystokratycznych wrodzonych!...

Lokaj, a zwłaszcza pijany lokaj, był dla niej bydlęciem!

Hrabia mówił na swoją służbę „kanalia”.

Pani sędzina mówiła „bydlę”.

Pani sędzina nie lubiła chłopów i nie wdawała się z nimi w bliższe stosunki. Tolerowała tylko chłopki, gdyż jej przynosiły kury albo jaja, związane w szmaty.

Pan sędzia ciągnął namiętnie starke<sup>148</sup> rano i wieczorem, a czasem i w nocy.

Pani sędzina znajdowała to naturalnym.

Co innego było z pijaństwem Janka!...

Co wolno panu — nie wolno bydlęciu.

Pani sędzina, mówiąc o pijaństwie męża, mówiła „słabość mego męża”.

Pijaństwo Janka było zbrodnią, nie chorobą.

Lokaj nie mógł być chory!

Organizm jego nie mógł żądać alkoholu.

Janek pijany — był bydlęciem.

Pan sędzia pijany był... słabym!

Przekonanie to wpoili pani sędzina w Warkę.

Dlatego teraz Janek miał schowane w oczerecie<sup>149</sup> czółno i drag i poprzez staw się do karczmy Szmula dobijał.

Kiedy bowiem szedł przez wieś — a Warka, broń Boże, „cupała” w ogrodzie za chruściakiem przy burakach albo tytoniu — to porywała się z wrzaskiem, aż jej medaliki po piersiach dzwoniły.

— A doloć moja, dolo zatracona!... — krzyczała, przez płot przełaząc, rozdierając spódnicę, zapaskę, z „dołami” najeżonymi dokoła twarzy jak faworyty<sup>150</sup> pana sędziego.

I był to lament tak wielki, że wszystkie baby, jakie były w chacie, wypadły na drogę z koszulami zawiniętymi po kolana, z zapaskami ubielonymi mąką, ta od łatania świty, ta od przewijania dziecka. Wszystkie otaczały Janka i Warkę, łamały ręce, kiwały głowami, a dokoła podskakiwały dzieci w zgrzebnych koszulach, czasem zupełnie nagie, z masą jasnych włosów na spiczastych głowach, i kwiczały prosięta zbiegłe ze źle domkniętych chlewików...

<sup>147</sup>siwucha — wódka. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>starka — odmiana wódki poddawanej leżakowaniu. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>oczeret — zarośla nadbrzeżne. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>faworyty — pasma zarostu na policzkach. [przypis edytorski]

Teraz — Janek już potrafił unikać tej gorącej łaźni. Wprost do stawu szedł, w czółno wskakiwał i wodę pruł, aż szumiała. Potem do drugiego brzegu gdy się dobił, to już do Szmula było tylko kilkadziesiąt kroków — i łatwo było się dobrać. Wracał jednak wolniej, na wpół przytomny, potrzebując mało do zupełnego upojenia, rozstrojony zupełnie nerwowo, mając dziwną naturę wtłoczoną w smutne ciało dworskiego służalca, z fantazją przepelnioną wizjami powieści i artykułów, których nie rozumiał w setnej części, z tęsknotą straszłą, wrodzoną Wołyniakom, z tą tęsknotą, co serce z piersi wyrywa za czymś, czego określić na razie niepodobna<sup>151</sup>, co szum sosen, zapach poziomek, krzyk spłoszonej gęsi, skrzyp wrót nagle budzi i potem jak druga dusza w ciele pokutuje, rwie, szarpie, nęka o zachodzie słońca i życia.

Bydlę miało to wszystko w sobie, to wycie rozpaczliwe w pustkę, która się powiększa z dniem każdym. Jak duch pokutujący, jak trup, któremu nie dano mogiły i domowinki uskąpiono, tak błąkał się Janek od karczmy do dworu z „Tygodnikiem” sterczącym brudną bielą druku w obciągniętej kieszeni surduta. Włosy mu posiwiały, twarz o delikatnych rysach nerwowego blondyna nabrzękała, oczy zmalowały i z jasnoblękitnych zrobiły się żółte. Plecy wygięły się w kabłąk, ręce jedne pozostawały nerwowe, silne, suche, jakby cała siła woli lokaja skoncentrowała się w tych rękach, w których była potęga jego pracy. Gdy z krzaków berberysów podnosił się po okresie<sup>152</sup> pijaństwa, zaciskał silnie pięści, jakby próbując, czy cała wola pozostała w nim jeszcze, czy nie spływa razem z umysłem w ten cień niepochwytny, który go otaczał i do karczmy iść kazał.

I — z pięściami jeszcze zaciśniętymi — szedł prosto do kredensu, do swego tapczanu, na którym wylegiwał się w czasie jego nieobecności Józiek.

— Won, bydlę! — mówił chwytając chłopca za kołnierz — won, pan wrócił!

Kucharz nie dawał znaku życia i tylko z kuchenki dobywał się wąski pasek dymu, który się aż nad drzewa owocowe wznosił.

Janek na lipę pod oknami patrzył i przypominał sobie, którego to było roku, gdy piorun w nią uderzył.

Pan sędzia wtedy do Żytomierza na wybory pojechał.

Ale który to był rok, za nic przypomnieć sobie nie może.

Nagle zakolatało na drodze.

Ha! Ha! A! A!...

Bydło wraca do obór, pastuchy do chat.

Nie widać ich z okna, tylko duża smuga poza stawem się ściele, biała jak wielki kłęb powstającej pary.

I razem z tym jękiem chłopów goniących bydło jakaś nieokreślona tęsknota spada na całą wieś.

Słońce nie świeci jaskrawo.

Żółte i jakby gasnące zapada coraz niżej.

Coś się nad ziemią snuje, coś jakby widma z grobów wstające, szepczące tajemnicę mogił, trupich czaszek rozhowory<sup>153</sup>.

Janek określić tego nie umie, rwie się w nim tylko coś i w przepaść dąży.

Obejrzał się jeszcze raz ku kuchni.

Nie widzi nikogo.

Zanim kurczęta podadzą, on przez staw przepłynie i powróci.

Wypije tylko jeden kieliszek, jeden tylko, aby lepiej służyć do stołu...

Czuje bowiem, że jest cały z waty i na nogach się nie utrzyma.

Wyskoczył przez okno, wpadł w grządkę nasturcji, zaklął i jak zając poprzez trawniki pomykać zaczął.

Do stawu dopadł, do oczeretu, w którym drzemało płaskie, z trochę lśniącą wody na dnie, czółno.

W czółno wskoczył, za drąg porwał, splunął w garść i od brzegu się odepchnął.

<sup>151</sup>niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne a. niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>period (z łac.) — okres. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>rozhovor (rus.) — rozmowa. [przypis edytorski]

W tej chwili ciemny pas jakby od żalobnego całunu na wodę padł.

Janek w pas ten wpłynął i nawet białe smugi, które zwykle czółno po sobie zostawia, krepły tej rozjaśnić nie mogły.

Od strony wsi kołatały wciąż drewniane dzwonki i wlokło się jęśliwe zawrozenie.

Ha!... A! A!...

Janek w głosy te wsłuchiwał się i czuł, że pod dworskim surdudem, z którego numer „Tygodnika” wystawał, w piersi rwały mu się całe przepaście, ech, na dźwięk tych chłopskich nut.

Ha!... A! A!...

W tej samej chwili z kuchenki Józik z półmiskiem kurcząt wypadł i ku dworowi dążył.

Idąc, mimo woli dziecinny głosikiem powtarzał:

Ha!... A! A!...

Bose zastępy ku sobie się rwały, ręce łączyły w tęsknocie nieokreślonej, co ku nim spod ziemi płynęła.

Gdy Janek wreszcie z krzaków berbersy powstał i do kredensu się powłókł, zastał tam, oprócz Józika, jakiegoś młokosa ubranego w szary surdut, bez wąsów, z miną wyćwiczonego złodzieja nastawiającego samowar.

Janek do intruza podszedł i ręce wyciągnął.

— Czego to pan się do samowaru miesza? — zapytał zaspanym i powolnym głosem.

Lecz nowy lokaj zmierzył go od stóp do głów.

— Jaśnie pani kazała nastawić samowar! — wyrzekł i znów, za stary but z cholewą chwyciwszy, koło samowara krzątać się zaczął.

Janek osunął się w kąt i na swym tapczanie przysiadł. Powoli jednak ręce jego namały inną derkę, nie jego własną. Pochylił się i w ukośnym promieniu, idącym z okna, które lipy zaciemniały zupełnie, dostrzegł całą obcą pościel na swym łóżku. Poduszka była z irchy, druga gumowa, wypchana powietrzem, widocznie skradziona lub otrzymana w prezencie. Tylko nad tapczanem rozkładał się jeszcze szmat gobelinu, na którym widać było szerniałe, jak nogi topielca, nogi jakiegoś mitologicznego bohatera i plamę kobiecej purpurowej sukni.

Za obrębem gobelinu zatknięty obrazek z „Tygodnika”, kilka plam, fotografia pana sędziego, stara strzelba, profitka z różowych paciorek służąca za pantofelek do zegarka — wszystko jeszcze było na swoim miejscu, nieruszone i jakby uszanowane.

Janek podniósł się i do okna podszedł.

Tam był zawsze szuwaks<sup>154</sup> i szrotki do butów, ustawione we framudze razem z kalamarzem i gęsimi piórami, które Janek dla pana sędziego temperował.

Pióra znikły, kalamarz także, pomimo tego, że lat dwadzieścia stały na tym miejscu...

Janek ogarnęło złe przeczucie. Powoli spode łba spojrzął na młokosa, który samowar już z ziemi podniósł i do pokoju podać się gotował.

Janek kilka kroków postąpił.

— Ja zaniosę!

— Nie trza — wyrzekł ten drugi, nogą drzwi otwierając.

Janek pozostał na środku kredensu, w którym zaczynał zapadać powoli zmrok, przez abażur lipowych gałęzi koło okien rozpostartych.

Nagle w bocznych drzwiach ukazała się pani sędzina.

Miała usta silnie zaciśnięte i oczy zmrużone.

— Niech Janek zabiera swoje rzeczy i idzie precz, zaraz... od dzisiaj!... Jaśnie pan za dwa dni wróci, to się z Jankiem obliczy! Trzeba się mi dzisiaj wynosić, mam już dosyć pijaków w kredensie!

Ręką tłustą i żółtą drzwi ukazywała.

Ręka ta w ciemności kredensu majaczyła przed Jankiem jak plama jasna, obwiedziona dokoła błękitną obwódka.

— Jaśnie pani!... — wybełkotał wreszcie — ja... ostatni raz!...

<sup>154</sup>szuwaks (daw.) — czarna pasta do butów. [przypis edytorski]

— Ta, ta, ta!... — przerwała sędzina — już mam dosyć trzydzieści lat takich skandali!... Janek niech się wynosi, bo wyrzucić każę!

Janek się wyprostował.

— Jasnie pani wyrzucać nie ma potrzeby. Ja sam pójdę, choć trzydzieści lat wierniem przy służbie warowa!

Sędzina parsknęła śmiechem.

— Bo to psi wasz obowiązek! Za pensję i ordynarię<sup>155</sup> jeszcze każdy wierny będzie.

Janek drżał cały, włosy mu na czoło spadły. Cofnął się w cień kredensu i milczał chwilę, wreszcie, jakby chcąc upokorzyć sędzinę.

— W konduktory pójdę!... — wyrzekł zdławionym głosem.

Sędzina ku drzwiom zmierzała.

— Z Panem Bogiem! Właśnie tam na pijaków czekają! A wynos mi się dziś jeszcze!.. won!... won!...

Wyszła.

Janek pozostał sam.

Obejrzał się dokoła i nagle uczuł w sercu ból straszny.

Trzydzieści lat przeżył w tych ciemnych ścianach kredensu, w których zapach razowego chleba miesza się z wonią stygnących na półmiskach tłuszczów. W ciemnicy tej przeszedł życie całe, wałąc się w nocy na tapczan, jak kłoda, smutny, wiecznie znękanym, zniechęconym do życia, a mimo to bałwochwalczo do tych miejsc przywiązany.

Chata, w której mieszkała jego żona, nie była mu domem, chodził tam w gościnę, w chwilach wolnych, nie pamiętając i nie wiedząc nawet, jakie imiona miały jego dzieci.

Od grzebania się w ziemi i mieszkania w izbie z uklepaną z gliny podłogą odwykł i tylko w kredensie żyć już mógł, w tym kredensie pomiędzy szafą z ubraniami pana sędziego a kantorkiem, w którym chował roczniki „Tygodnika Ilustrowanego”. Dziś mu każą iść precz, nie pamiętając, że on, Janek, ma religię ścian, wspomnień i sprzętów, że on się tu przekotał całe lata, całe noce, całe jesienne wieczory, obrębiając ścierki, wsłuchany w tony fortepianu, na którym uczyła się panna sędzianka i który dzwonił jak szklana kołatka spoza stawu w smudze białej płynąca.

Kazano mu iść „won”, a przecież tam, przez ścianę, jest szafa, w której jest *jego* porcelana, *jego* srebro, *jego* szkło.

Trzydzieści lat myje, ociera, czyści tę całą zastawę... to więc wszystko mu po prostu w duszę wrosło i on tego z siebie wyrwać nie może! nie może!...

A piece! Te wielkie piece wszystkie schodzące się w jednej wielkiej izbie, w którą szedł wczesnym zimowym rankiem, za Józikiem niosącym całe naręczce polan grubych jak ludzkie nogi. On, Janek, niósł świece. Stearyna kapiała mu po rękach, a on przez trzydzieści lat nie oprawił nigdy świecy w lichtarz. Miał takich przyzwyczajęń mnóstwo, teraz wszystkie jak mary otoczyły go i za gardło chwytają.

Nawet ta pani sędzina, która wygnała go tak bezlitośnie, nawet ten pan sędzia, który nieraz uderzył go w kark i „wysobaczył” po swojemu, nawet ta panna sędzianka zatykająca nos, gdy przechodziła przez kredens, wszyscy oni byli mu teraz drodzy w chwili utraty.

Kochał ich przywiązaniem psa, który nie dość, że dobytku pana strzeże, jeszcze pana tego kocha i po rękach liże.

Powiedział pani — „pójdę w konduktory”, ale teraz, w tej chwili, myśleć o tym nie mógł. Dławił się własną żalnością.

Nerwy tego chłopca zalkoholizowanego tańczyły piekielną sarabandę<sup>156</sup> bezsilnej rozpaczy.

Gdyby mógł się rozplakać, byłoby mu lżej. Lecz nie, lzy go piekły, były w nim całym, rwały mu serce, paliły powieki, płynąć mu jednak nie chciały.

„Bydlę”... cierpiało.

Po chwili przecież Janek ocknął się, zbliżył się do tapczanu i szalonym ruchem zdarł ze ściany gobelin. Profitka, fotografie upadły na ziemię. On schylił się, podniósł je, wetknął

<sup>155</sup>ordynaria — część wypłaty dla służby dworskiej wydawana w naturze. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>sarabanda — szybki taniec hiszpański. [przypis edytorski]



za pazuchę, potem podszedł do kantorka, wyjął całą masę gazet i w gobelin zawinął. Czynił to machinalnie, gryząc wargi. Zwrócił się po ubranie, które wisiało na gwoździach wbitych w ścianę, lecz machnął ręką i tylko tłumok z gazetami pod pachę wziął, czapkę na głowę nasadził.

Wreszcie z kredensu wyszedł.

Przeszedł pod lipami i wydostał się na trawniki. Słońce znów zachodziło całe krwawe, na wiatr się znacząc. Staw w ciszy i w obramowaniu oczeretu drzemał, a nad jego brzegiem, na pagórku, brzoza dziwaczna i pokręcona długie gałęzie w wodzie rozpaczliwie moczyła. Janek machinalnie do stawu się skierował i czółno odszukawszy, gobelin z książkami na dno czółna cisnął. Po czym sam w łódź wlał i drąg chwycił. Zdawało mu się, że idzie gdzieś w daleką drogę, a ten drugi brzeg nigdy nie trąci o drzewo czółna. Drżącymi rękami drąg pchnął i na staw wypłynął.

Cisza była dokoła prawie kościelna.

Janek szmer wody tylko słyszał, która się skarżyła cicho na ciężar, jaki jej nieść kazano.

I nagle, z daleka, delikatny, jakby krepą przystońięty, daje się słyszeć głos kołatek i przeciągły jęk pastuchów.

Serce Janka, które było w tej chwili jedną raną, targnęło się jeszcze silniej, i codzienna melancholia, tłocząca go ku ziemi, wżarła się w boleść rozstania z tym, co już za swoje przywykł uważać, go się z nim zrosło, z czym umrzeć miał...

Przed nim bielił się dwór, nieduży, silny, dobrze rozłożony na tle masy drzew. Z boku widać było ganeczek i wejście do kredensu. Do kredensu!...

I nagle porwał Janka szal.

Schwycił gobelin i cisnął go w wodę.

— Szczejnij — zasyczał przez zęby.

Gobelin zakołysał się na wodzie i pozostał tak rozciągnięty, prezentując w świetle krwawego słońca wypłowiałą barwę delikatnych linii.

Janek drągiem gobelin w wodę zanurzać zaczął.

— Szczejnij!... — syczał.

Był cały teraz czerwony, z sinymi pręgami żył po obu stronach skroni. Z serca krew mu płynęła na mózg zatruty siwuchą. Pijany był w tej chwili, pijany rozpaczą.

Za nim wciąż kołatki grały.

Teraz pochylił się, cały stos „Tygodnika” w wodę wrzucił. Woda prysnęła miała masą, łódka zachybotała, Janek nogą w ścianę czółna kopnął.

— Na pohybel<sup>157</sup> ci! — zaklął.

Nie dokończył, bo czółno się gwałtownie przechyliło, a on z dziką radością, po raz pierwszy w życiu roześmiany serdecznym, gorącym śmiechem, w wodę skoczył, waląc się głową naprzód, tak jak zwyczajnie na swój tapczan w kredensie się walił.

Samobójstwo

Teraz kołatki triumfalnie wypłynęły nad brzeg stawu i dzwoniły ciągle mistyczną litanie w obłoku białym z ziemi się wznoszącym.

Na stawie była cisza zupełna i kołysało się tylko próżne czółno, które powoli wróciło do swej równowagi...

## Gołąbki

Gwaro było w „gołębniku” podczas tego fixu<sup>158</sup>.

Rozgruchotały się „gołąbki”, rozchichotały, aż wstążki fruwały naokoło ramion i szyi, jak prawdziwe skrzydła gołębie.

I wszystkie, jakby się umówiły — ubrały się biało, popielato, perłowo lub bladolila...

Cała gama niepewnych barw, jak plama jasna lekko pocieniowana, rozkładała się tryumfalnie pod zielonymi liśćmi w kącie zbitych oleandrów.

Strój

<sup>157</sup>Na pohybel (rus.) — zgiń! [przypis edytorski]

<sup>158</sup>fix — przyjęcie. [przypis edytorski]

Pani domu, księżna... ukraińska — cztery kąty swego salonu ozdobiła oleandrami.

Było to niekosztowne i dawało złudzenie szyku.

Książę wzruszył ramionami, pociągnął za krótką kamizelkę i poszedł do drzwi „robić honory” chórem wchodzącym koncept-praktykantom<sup>159</sup> z Namiestnictwa<sup>160</sup>.

„Księstwo” przybyli niedawno z dalekiej podróży i przywieźli z sobą spory zapas konfitur i czternaścioro dzieci, z których dwie dorosłe panny miały zamiar wydać się za męża.

Arystokracja lwowska, złożona z galicyjskich hrabiów i baronów<sup>161</sup>, podejrzliwie patrzyła na ten tabór książęcy, rozbijający swe namioty w szerokich salonach żydowskiej kamienicy; powoli wszakże przekonano się do sumiastych wąsów księcia, nadzwyczajnych mantyl<sup>162</sup> księżnej, długich warkoczy księżniczek i ich kurhanowego tytułu.

Fixy bywały liczne, księżna promieniała, księżniczki zdążyły zakochać się w dwóch „golcach” o szerokich barach i wspaniałych frakach. Książę umierał z nudów, stojąc pod zyrandolem, z którego kapała stearyna. Ciągnął kamizelkę i wzdychał do śniegu, który się białymi błamami<sup>163</sup> jak królewska szata włókl daleko po wiejskich rozłogach.

Dnia tego fix miał niezwykle ożywienie.

Gołębnik aż dygotał od panińskiego chichotu.

Gołębnikiem nazywał się kąt pod piecem, pomiędzy pianinem a czwartym oknem okrytym czerwonymi jak krew adamszkowymi firankami.

W kącie tym gromadziły się zwykle panienki i panny.

W żółtobiałym blasku lamp i świec ta powódź jasnych sukien i białoróżowych plasterów twarzy znaczyła się z jakąś impertynencką chęcią rzucania się w oczy każdemu wchodzącemu do salonu.

Były to trzy Minuśki, pięć Muszek, dwie Lole, jedna Gilda, jedna Lili, jedna Nini, dwie czy trzy Niusie.

Całe Sacré-Coeur<sup>164</sup> lwowskie nagle wypuszczone spoza krat klasztoru i wrzucone w gorącą atmosferę niewyraźnego salonu książęcego.

„Gołąbki”, tak słusznie nazwane od gołębiej niewinności okrągłych twarzyczek i białych fałd sukien, zdawały się być wykute z jednej sztuki marmuru, dłutem jednego rzeźbiarza.

Wszystkie miały jedne i te same długie, płaskie z przodu i silnie w pasie ściśnięte figury.

Wszystkie miały zanik bioder i piersi.

Ręce, obciśnięte w długie duńskie rękawiczki, przytrzymane poza łokciami podwiązkami z wstążek, podnosiły automatycznie do czoła, nagarniając grzywkę, pociągając rzęsy aż do brwi uparcie sięgające.

Każda z nich miała na wpół wycięty stanik i tuż pod szyją dwie głębokie „solniczki”, znaczące się ciemnowymi plamami na żółtym tle skóry.

Jedna Nini, córka wdowy po generale, panna bez posagu, ale za to zuchwale piękna i wspaniale zbudowana, prezentowała ze spokojem niezmaconym przepyszny biust, pełny, okrągły, z niewielką fałdą tuż pod pachami, dyskretnie wysuwającą się z obramowania bladoliliowego tiulu.

— *C'est convenu! N'est-ce pas?*<sup>165</sup> — pytały „gołąbki” jedna drugą.

— *C'est convenu!* — odpowiadała zapytana.

Panienki te mówiły przeważnie po francusku akcentem przerażającym, niemniej przeto dziwnie aroganckim. Gdy się rozszechotały, tworzyła się silna wrzawa, a chichot ich miał wszystko oprócz inteligencji. Każda z nich jednak była *très bien*<sup>166</sup> i miała się za par-

Język

<sup>159</sup> *koncept-praktykant* (daw.) — aplikant biurowy. [przypis edytorski]

<sup>160</sup> *Namiestnictwo* — najwyższy urząd administracyjny w Galicji, stworzony w 1849 roku, od 1866 piastowali go wyłącznie Polacy. [przypis edytorski]

<sup>161</sup> *galicyjski hrabia i baron* — za czasów cesarza Józefa II (1741–1790) w Galicji rozpowszechniły się tytuły arystokratyczne kupowane za pieniądze. [przypis edytorski]

<sup>162</sup> *mantyla* — krótka damska peleryna. [przypis edytorski]

<sup>163</sup> *blam* — zszyte ze sobą skóry zwierząt futerkowych. [przypis edytorski]

<sup>164</sup> *Sacré-Coeur* — Zgromadzenie Panien Serca Jezusowego, założone we Francji w 1800 roku przez Madelaine-Sophie Barat (1779–1865); zajmowało się wychowaniem młodych dziewcząt. [przypis edytorski]

<sup>165</sup> *C'est convenu! N'est-ce pas?* (fr.) — Zgodzi! Nieprawdaż? [przypis edytorski]

<sup>166</sup> *très bien* (fr.) — bardzo dobrze. [przypis edytorski]

cię<sup>167</sup>. Każda wyobrażała sobie, że czyni raważ<sup>168</sup> pomiędzy czarną kohortą<sup>169</sup> mężczyzn, którzy w swych frakach, jak stado nagle spłoszonych karawaniarzy, stali w przeciwnym kącie salonu lub włóczyli się po przyległych pokojach, obmawiając panny lub stambulki<sup>170</sup> księcia pana, za olbrzymie podkowy drewniane zamiast szpicrut i rajtpejczów<sup>171</sup> zatknięte.

„Gołąbki” jednak były niespokojne. Spoglądały ciągle ku drzwiom wchodowym, jakby oczekując na wejście.

— Może nie przyjdą?

— Przyjdą, przyjdą — uspokajały księżniczki.

Powoli salon napełniał się i już wysuwały się niewielkie grupy do przyległego małego pokoju, nazwanego salonikiem księżnej. Atmosfera stawała się ciężką i przesyconą całą masą różnorodnych perfum. Był to jakby bukiet najwonnniejszych kwiatów, nagle rozdeptany i rozgnieciony w gorącej masie powietrza, leniwie ciężącego ku ziemi. Szczególniej z sukien starych kobiet płynęły całe smugi delikatnych zapachów, upartych jak wspomnienie, które zdawały się być wplątane pomiędzy oczka sinawych koronek. — Z gołąbniaka biła delikatna woń muguetu<sup>172</sup> i świeżego, dziewczęcego ciała. Była to jeszcze niezdecydowana nuta, coś błędzącego w przestrzeni na kształt płatków lipowego kwiatu. Płatek lipy na żelazo pada i powiewny a biały — rdzy plamę na sztabie wygryza...

Nagle u drzwi wchodowych zrobił się szmerek leciuchny i gospodyni domu, porwawszy się z fotela, posunęła naprzód. Książę podciągnął znów kamizelkę i przekręcił na bakier siwe długie wąsy.

Gołąbki zatrzepotały, zaszczebotały radośnie: *Les voilà!... les voilà!*<sup>173</sup>...

Ode drzwi bramowanych czerwienią portier ku środkowi salonu w jasność płonącego żyrandola szła grupa ludzi z trzech istot złożona.

Przodem sunęła kobieta lat średnich, *sur le retour*<sup>174</sup>, drobna, chuda, nadwiednięta, trzymała się pochyło i ręce miała jakby wsparte na brykli<sup>175</sup> silnie ściśniętego gorsetu. Za nią włókl się tren jasnozielonej sukni, obrysowanej na dole wałkiem ciemnomiedzianego aksamitu. Olbrzymie stylowe rękawy, bufiaste, aksamitne, wznosiły się po obu stronach głowy, małej, brzydkiej, nieforemnej, nastroszonej rzadką kępą silnie przyczerzonych włosów. Włosy te, ściągnięte mocno na skroniach, rwały ku tyłowi głowy skórę skroni i podnosiły w ten sposób łuk brwi i wykrój dołów ocznych na wzór japońskiej czaszki. Suknia, głęboko wycięta, zapadała na piersiach smutnym całunem nicości. Szyję pokrywała szeroka aksamitka miedzianego koloru, na której rozkładały się cztery rzędy cudnych pereł, prawie różowawych w kontraście skóry żółtej, siatką drobnych zmarszczek pokrytej.

Kobieta szła wolno, jak istota anemiczna, z pochyloną głową skończonej neurasteniczki<sup>176</sup>. Oczy ciemnoszafirowe, spłowiałe, dobrze podkreślone tuszem, utkwiała w idącą ku niej księżnę i wyciągnęła rękę chudą, drewnianą, obciążoną lapisową<sup>177</sup> rękawiczką.

Poza nią i za obramowaniem trenu szło dwóch mężczyzn, niemal równym, sztywnym krokiem, jak dwóch na sznureczkach prowadzonych automatów. Jeden z nich — mąż, wysoki, prawie olbrzym, o szerokich barach i olbrzymich stopach, baron Mak von Maken, dźwigał na sobie mundur, cały błękitny, sznurami opleciony.

Siwy, hałaśliwy, z twarzą purpurową, wiecznie grożącą kongestią<sup>178</sup>, z szyją wysuwającą się różowym wałkiem dokoła kołnierza munduru, szedł poza pochyloną i jakby przelamaną postacią żony, chrząkając i hałasując jak w koszarach. Książę z uwielbieniem patrzył na tę postać c. k.<sup>179</sup> Zagłoby i z wytyżeniem ścieżki sznurów na plecach Mak

<sup>167</sup> *partia* — tu: dobra kandydatka do małżeństwa. [przypis edytorski]

<sup>168</sup> *raważ* (z fr.) — spustoszenie, zniszczenie. [przypis edytorski]

<sup>169</sup> *kohorta* — jednostka organizacyjna armii starożytnego Rzymu. [przypis edytorski]

<sup>170</sup> *stambulka* — fajka turecka, lulka. [przypis edytorski]

<sup>171</sup> *rajtpejcz* (z niem.) — pejcz używany do konnej jazdy. [przypis edytorski]

<sup>172</sup> *muguet* (fr.) — konwalia. [przypis edytorski]

<sup>173</sup> *les voilà!* (fr.) — oto oni! [przypis edytorski]

<sup>174</sup> *sur le retour* (fr.) — zaczynająca się starzeć. [przypis edytorski]

<sup>175</sup> *brykla* (z niem.) — rodzaj stalowej taśmy wszywanej w gorset. [przypis edytorski]

<sup>176</sup> *neurasteniczka* — kobieta znerwicowana a. nadpobudliwa. [przypis edytorski]

<sup>177</sup> *lapisowy* — koloru jasnoliliowego. [przypis edytorski]

<sup>178</sup> *kongestia* (z lac.) — chorobliwy napływ krwi do jakiegoś organu. [przypis edytorski]

<sup>179</sup> *c. k.* — cesarsko-królewski, określenie i skrót odnoszące się do władz Austro-Węgier. [przypis edytorski]

von Makena śledził. Lecz już druga postać, mężczyzna obok generała idący, rzucał długi jezuicki cień czarnego fraka na jasną plamę mundura<sup>180</sup>. Ten drugi siedł cicho, choć kroki jego stosowały się do szerokości kroków Mak von Makena. Był to wysoki, bardzo chudy mężczyzna, na którym frak wisiał jak na wieszadle, a kamizelka, jakkolwiek starannie ściągnięta, ukazywała jeszcze pustkę pod klatką piersiową. Trzymał się pochyło, jak idąca przed nim kobieta, wyciągał spiczastą brodę silnie ogoloną i wytartą pudrem. Włosy siwe, przyklepane, otulały długą głowę angielskiego wyścigowca, oczy bladobłękitne, zmrużone, tonęły w setkach zmarszczek, którymi twarz była pokrajana. Małe ciemnawe faworyty tworzyły ramę, z której wystawał nos silnie garbaty, duży, opuszczony na opadłe w podkowę wargi.

Towarzystwo zebrane w salonie powitało „tych troje” wesołym uśmiechem. Od lat piętnastu zadeptowano milczącą ugodą ten *ménage*<sup>181</sup> Maken-Helding. Z początku trochę szeptano po kątach, powoli utarło się przecież; Makenowa z taką pokorną nieśmiałością zdawała się prosić o przebaczenie, Helding był tak nieznaczącym i już wysortowanym z liczby epuzerów<sup>182</sup>, Mak von Maken tak wspaniałą w swej bucie i dobrym humorze dobrze odżywianego generała, że szepty powoli ustały i z pewnym rozrzewnieniem zaczęto śledzić przebieg tego romansu. *Cette pauvre baronne*<sup>183</sup> mogła rzeczywiście pragnąć więcej subtelności i delikatności w pożyciu. Mak von Maken był *un homme charmant*<sup>184</sup>, ale chwilami trywialność jego miała skrzyp drzwi stajennych, a dowcipy — zapach koszarowej zupy. Makenowa była *une mignonne*<sup>185</sup>, delikatna, chuda i pełna niezwykłych aspiracji; było to małe bóstwo, które potrzebowało być adorowane cicho i dyskretnie. Helding z delikatnością starego kawalera, celibatora jadającego w domu i mającego pokój sypialny bladobłękitny, w którym nie było ani jednego rajtpejczy, nadawał się szczególnie do roli takiego „uwielbiacza”. Że się później podobno z platonizmu wyrodził inny, mniej platoniczny stosunek, ha! to już rzecz Makenowej i Heldinga. *Enfin, après tout*<sup>186</sup>, nie można żądać od ludzi nadzwyczajności i wymagać, aby byli aniołami. Mak von Maken zdawał się nie dostrzegać nic i akceptował Heldinga jako przyjaciela domu. Skoro sam mąż przyjmował „uwielbiacza” — i niejako sankcjonował go przed światem, mówiąc mu *mon ami*<sup>187</sup>, to nie było rolą „towarzystwa” mieszać się w podobne rzeczy i czynić tej biednej Makenowej jakąkolwiek przykrość. I powoli ta trójka wsuwała się wszędzie, z początku nieśmiało, jakby macając grunt, śledząc wrażenie na twarzach, słuchając dźwięku głosów, witających ją na progu salonów. Lecz wkrótce, uprzejmością ośmielone, *ménage* Maken-Helding nabrało pewności siebie i wchodziło spokojnie, coraz więcej zabierając miejsca, rozdając uśmiechy, w których znajdowano nawet *quelque chose de piquant*<sup>188</sup>. Deprawacja ta jawna, cudzołóstwo to, wleczone w trenie jedwabnej sukni, w listkach gardenii Heldinga, w lazurowych barwach munduru Mak Makena drażniła nerwy i zmysły otaczających. W jasności świec kandelabrowych posyłało sobie wzajemne uśmiechy i spostrzeżenia. Makenowa miała chwilami rumieńce nowo zaślubionej pod deszczem niedyskretnych spojrzeń, Helding lekkie uśmiechy zwyczajcy, Mak Maken — dobroduszną pobłażliwość siwowłosego ojca, oprowadzającego zięcia i córkę, pełnych zbyt jawnej miłości. I powoli trójka Maken-Helding stała się ogniskiem, do którego zwracano się coraz chętniej po miłosne wrażenia, śledząc każde bardziej burzliwe widzenie się baronowej i Heldinga, każdą „scenę”, każde przeproszenie się w cieniu dyskretniej alkowy.

I z latami razem weszło zupełnie zuchwalstwo w ujawnianiu tej miłości baronowej i Heldinga. Teraz Makenowa wchodziła pewna siebie, tryumfalna — czując, że potęgą swej wielkiej miłości zwalczyła tę hydrę, pełną jadu, którą „światem” zowią. Czuli się w pełni urody i miłość dodawała jej blasku. Miała w gruncie serca wiele szlachetności i nie kłamała teraz, zwracając się otwarcie i śmiało do Heldinga. Nie przyznawała się jednak głośno, bo to było niepodobnym, ale w każdym jej spojrzeniu, ruchu, słowie —

<sup>180</sup>*mundura* — dziś popr. forma B.l.p: munduru. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>*ménage* (fr.) — małżeństwo, związek. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>*epuzer* (z fr.) — kandydat do małżeństwa. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>*cette pauvre baronne* (fr.) — ta biedna baronowa. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*un homme charmant* (fr.) — uroczy człowiek. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>*une mignonne* (fr.) — pieszczotka. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>*enfin, après tout* (fr.) — w końcu, zresztą. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>*mon ami* (fr.) — mój przyjaciel. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>*quelque chose de piquant* (fr.) — coś pikantnego. [przypis edytorski]

przebijała się bezgraniczna miłość i przywiązanie. Holding mimo woli zajął stanowisko męża kochanego i czuł się dobrze w tej roli. Nie zrozumiał jednak, jak w straszną grę grała Makenowa, narzucając tak światu swego kochanka. Nie czuł, ile istotnej potęgi miłości musiała mieć w sobie, aby tak dać „przełknąć” światu ten stosunek, kazać mu go przyjąć i niejako usankcjonować.

Nie zastanawiał się nad tym, szedł zadowolony z tej roli, jaką grał, podbudzony w swej próżności, człowiek, któremu żona generała, kobieta stanowiąca ozdobę salonów lwowskich, na szyję się rzuca. W kasynie mówił o Makenowej z rozrzewnieniem dobrego męża, jakkolwiek nigdy poza kadry gentelmeńskiej przyzwoitości nie wyszedł. Inni „koniarze” nie błagowali nawet, poważni i pełni szacunku dla tej cudzołożnej żony.

Powoli wszakże ta fala tryumfu zmieniła się w cichy i spokojny stan zaadoptowanego przez świat związku. Makenowa? Holding? — ależ to stare małżeństwo! Nie pojmano jednego bez drugiego i tylko przy wejściu jeszcze witano ich uprzejmym uśmiechem. Później ginęli w tłumie. Inne pary potworzyły się, połączyły i promieniały miłością i szczęściem wśród pragnących wrażeń tłumów.

Makenowa starzała się i brzydła powoli. Jej maska japońskiej laleczki z latami ciemniała i osuwała się w głębokie bruzdy. Holding chylił się ku ziemi, oczy mu gasły powoli, tracąc barwę i płowiejąc w gorącu miłosnej ekstazy. Czuli, że byli złączeni na zawsze, do śmierci, i mieli w sobie spokój dobrze zawarowanego kontraktem małżeństwa. Skoro znaleźli się w salonie pod rześnym światłem kandelabrow, szukali wygodnego miejsca, gdzie siadali we dwoje, zamieniając od czasu do czasu jakąś uwagę półgłosem. On trzymał jej wachlarz spokojnie, rozsuwając sennym ruchem koronki lub gładząc delikatnie marabuty. Nikt już nie zwracał na nich uwagi, chyba ktoś świeżo przybyły i nie obznajmiony z istotnym stanem rzeczy. Często brano ich za małżeństwo wzorowe, przywiązane do siebie równym, nienerwowym uczuciem. Maken hałasował w fumoirach<sup>189</sup>, nie psując jasnym swym mundurem i swą siwizną ciemnych i mistycznych sylwetek tych dwojga, którzy siedzieli prawie nieruchomo obok siebie z oczami wlepionymi w przestrzeń, jak widzowie na przedstawieniu znanej już dobrze sztuki. Oboje oni stanowili jedną całość. Jakiś krąg niewidzialny, a mimo to istniejący, otaczał ich i bramał, odsuwając od reszty towarzystwa. Było to zapewne ich kilkunastoletnie uczucie, które z burzy miłosnej przeszło w mocne i zda się nierozzerwalne przywiązanie.

Kobieta szczególnie miała w swej zestarzałej postaci upór miłosny kobiety tryumfującej nad zmiennością męską.

Mężczyzna był już obojętny, trochę zawsze załęczony i jakby uśpiony w tej stałości, w którą się sam spowinał przed tyloma laty!

Ale „gołąbki” były innego zdania: Odebrać Makenowej Holdinga?

— Co?... jak myślicie!

Projekt ten powstał w głowie jasnowiącej Lili. Minuśki, Nuśki i Muszki zaadoptowały go w jednej chwili.

— Tak! tak!... trzeba to zrobić. To ożywi fix i zabawi wszystkich dokoła. Trzeba Holdinga *zaakaparować*<sup>190</sup> i patrzeć, jaką Makenowa będzie miała minę.

— Przecież go reklamować<sup>191</sup> nie będzie przez konwenanse.

Rauty bywały nudne. Mężczyźni młodzi nie umieli poprowadzić porządnie rozmowy. Panienci nudziły się w swym gołębniku. Oglądały się za rozrywką.

Błękitne oczy Lili padły nagle na dwie mistyczne sylwetki, siedzące nieruchomo obok siebie. Panienska skrzywiła się nagle. Stanowczo ta para działała jej na nerwy. Już trzeci karnawał przyjeżdża ze wsi do Lwowa i trzeci karnawał widzi tych dwoje „starych”, siedzących jedno obok drugiego w wierności chińskich bałwanów. I pochyliwszy się ku swym towarzyszkom, podsuwa im projekt flirtu z Holdingiem tym samym tonem, jakim w *Sacré-Coeur* podsuwała myśl przeciągania palcem po wywoskowanym brzegach pulpitu.

Znudzone jednostajnością rautów panienci przyjmują projekt z entuzjazmem, obierają dzień i miejsce i dziś zeszyły się wszystkie u księżnej z zamiarem wprowadzenia swych

<sup>189</sup>*fumoir* (fr.) — palarnia. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>*zaakaparować* (z fr.) — przywłaszczyć sobie. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>*reklamować* (z fr.) — odzyskiwać. [przypis edytorski]

zamysłów w czyn z okrutną energią istot, które nie wiedzą nawet, czy serce boleć może naprawdę i czy są lzy, które pałą.

Kampanię rozpoczyna księżniczka młodsza, szatynka, o twarzy schorowanego anioła i długich warkoczach ukraińskiej dziewczki. Siada do fortepianu i rozkłada zeszyt nokturnów Chopina z najniewinniejszą pod słońcem miną.

Chwilę ogląda się po salonie, jakby szukając kogoś.

— Panie Holding!... proszę mi kartki przewracać!... — prosi wreszcie z czarownym uśmiechem.

Holding otwiera szeroko spłowiałe źrenice.

— Pan taki muzykalny... — dodaje panienska.

Stary kawaler wstaje z pośpiechem, pełen kurtuazji, i śpieszy do fortepianu.

„Gołąbki”, śledząc tę scenę z niepokojem, oddychają swobodnie. Holding jest tuż obok nich, na progu „gołębnika”. Wciągnąć go łatwo potrafią.

Wciągną... i nie puszczą...

Cicho i spokojnie płynie jeden z nokturnów Chopina.

Holding przewraca kartki trochę zaniepokojony, zdenerwowany tą „rolą”, jaką odegra obok siedzącej przy fortepianie dziewczyny. Zeszedł już do rzędu „widzów”, przyzwyczajony, że to inni defilowali przed nim, podczas gdy on spokojnie siedział obok Makenowej, bawiąc się jej wachlarzem. Długie, suche palce mężczyzny z pośpiechem przewracają kartki, klekocząc jak kastaniety.

Księżniczka za każdą przegraną stronicą spogląda na Holdinga i uśmiecha się łagodnie, Holding mimo woli dostrzega koło ust dziewczyny dwa ładne dołki...

Wreszcie ostatni akord przecina powietrze. Holding pragnie wrócić na swe miejsce, lecz „gołąbki” otaczają dokoła księżniczkę i dziękując jej gorąco, posuwają go mimo woli w stronę gołębnika. Lili mówi coś do niego, śmieje się, szczebiocze; z drugiej strony Nini prezentuje swój przepyszny profil greckiej bogini. Śmiech, chichot, srebro głosu, woń konwalii i młodego ciała, jakiś szum jakby skrzydeł gołębic — Holding znajduje się nagle w gołębniku, uwięziony ładnymi gestami drobnych rączek, giętkich figurek i młodych twarzączek.

Zmieszany, prawie pociągnięty, siada na taburecie i wszystkie panienski z szelestem opadają nagle ku ziemi. Całe stadko białoliliowe, różowe, białe, popielate, przypadło do purpury dywanu i zaczajone, uśmiechnięte, wyciąga ożywione nagle dziobki.

Holding doznaje ekstazy, olśnienia, wysadzony z siodła tą brutalną, a przecież na pozór delikatną taktyką panienską. On, mężczyzna siwiejący i zdeprawowany, czuje się przerażony, wyrwany ze snu, niepewny i jakby poszarpany nagle na strzępy.

Pragnie się wydostać, czyni nieśmiało usiłowania, wyciąga kilkakrotnie szyję, ma oczy topielca zapadającego w bagno szmaragdowe, perłami wody lśniące...

Lecz „gołąbki” zwartym szeregiem otaczają go coraz silniej jak „wodnice” o spłowiałych barwach, w niepewnym blasku księżycy się kąpiące. Jedwab szatni, iluzja pnie się pajęczą siecią, wstążki warkoczy mają zapach orzechów cokolwiek wilgotnych, a młodość i ożywienie zapala w oczach całe różańce iskierki. Aż szumi od chichotu, aż srebrzy się od białych zębów. Dziewczyny, pochylając się, mają gesty pokornych kotek. Nini wilgotnymi oczami patrzy wprost w twarz Holdinga. Atlas jej ciała mieni się podskórnymi różowymi pręgami mory. Holding, osłupiały, wpatruje się w to bogactwo kształtów i śledzi wstążkę, wiążącą stanik na ramieniu okrągłym i doskonale pięknym.

Nini wzrok ten czuje i prostuje się cała, dumna ze swej dziewiczej kraszy, nie skalanej jeszcze dreszczem miłosnej chęci. Podnosi wysoko brodę i ukazuje cudną szyję o delikatnych, przezroczystych tonach ambry<sup>192</sup>...

Holding przymyka na chwilę oczy i osuwa się osłabły, ocierając pot z czoła...

\*

W kącie Makenowa widzi ten cały manewr i dostrzegłszy Holdinga pomiędzy panienkami, doznaje nagłego ściśnięcia serca. Zwalcza jednak ten ból przelotny i uśmiecha się jakby zadowolona z tego powodzenia kochanka. Ma bowiem przeświadczenie, że

<sup>192</sup>ambra — składnik perfum, pozyskiwany z podgardla kaszalota. [przypis edytorski]

Helding z grzeczności usiadł na chwilę w „gołębniku” i wprędce znudzony panienki, powróci do niej, na dawne swe miejsce. Spokojnie więc śledzi ruchy dziewcząt, ot, jak żona uśmiechająca się pobłażliwie na niewinny żart ze strony męża.

Wydarza się to wprawdzie pierwszy raz, bo zwykle panienki nie zwracały uwagi na Heldinga, jako na „starego kawalera”, nie zabawnego, i nie liczyły się z nim wcale. Pozostawała mu tylko ona, ona jedna, i tak miało już być na zawsze. Tymczasem dziś nagle zmienia się dawny porządek rzeczy...

To śmieszne, a jednak te kilka minut zaczynają się jej wydawać wiekiem.

Tym bardziej, że Helding nie zdaje się nudzić panienek ani być znudzonym. Owszem, ożywienie panuje tam wielkie, całe snopy śmiechu wybiegają w przestrzeń salonu. Makenowa doskonale pomiędzy tym chichotem rozróżnia głos Heldinga. Mówi coś, powoli, ot, tak jak on zwykle, ale z trochę więcej energii i ożywienia. Słów Makenowa dosłyszec nie może, dźwięk głosu dobiega do niej dokładnie.

To dziwne, wydaje się jej, że ten głos, że sam Helding jest od niej bardzo, bardzo daleko i że niknie nagle w całym tumanie ironicznych akordów...

Zagryza usta i doznaje wrażenia zupełnego osamotnienia.

Czuje chłód przejmujący dokoła nóg i wsuwa je szybko pod suknię. Traci pewność siebie i staje się niezgrabną i jakby związaną. Przeczuwa... śmieszność i kurczy się przed tym ohydny widmem. Nagle zaczynają jej dolegać rękawy sukni. Są zbyt ciasne w łokciu, a za wolne w ramieniu. Włosy ma zanadto ściągnięte i dreszcze przebiegają ją wzdłuż krzyża. Obronić się nie może, nie potrafi. Śmieszność jest tuż przy niej. Helding nie wraca.

---

Powoli w salonie zaczynają dostrzegać, co się dzieje w „gołębniku”. Poza wachlarzami flirtujące pary z uśmiechem pokazują sobie szpiczastą głowę Heldinga pomiędzy jasnymi i ciemnymi fryzurami dziewczyn. Powoli od gołębnika oczy zaczynają się zwracać ku Makenowej. Wygląda ona tak jak człowiek, który zgubił swój cień. Mruga szybko oczami i polyka ślinę. Wszyscy znajdują ją trochę śmieszna. *Au fond*<sup>193</sup> musi być zazdrosna... Z bocznych salonów zaczynają schodzić się goście i wszyscy z najobojętniejszymi na pozor minami śledzą rozłączoną tak nagle i niespodziewanie parę. *Tiens*<sup>194</sup>! *tiens!*... Helding pomiędzy panienkami? Flirtuje nie na żarty! A Makenowa? Siedzi i patrzy. *Enfin*... Helding zdobył się na trochę własnej woli. Bardzo naturalne! Mężczyzna!... powinien już skończyć tę śmieszna awanturę. Stary?... e! Cóż znowu. To Makenowa stara — Helding jest niemłody, ale jeszcze niestary. Zestarzał się przy niej. Ileż to lat już trwa ich romans? To nie ma sensu, to powinno się raz skończyć!...

I nagle razem z chichotem dziewczyn w tę nudę rautową wpada brutalna chęć tłumy szarpania tej miłości adoptowanej, przyjętej, tolerowanej. I ci sami, którzy niedawno jeszcze z uśmiechem sympatii spoglądali na dwie ciemne sylwetki, siedzące w tym nimbie nieugiętej wierności, ci sami teraz odsłaniaли tajemnice tego stosunku, który przed laty promieniał i ogrzewał chłód konwenansu mrożonych salonów. Jakaś głucha niechęć zaczynała nurtować dokoła, coś na kształt zemsty za ten tryumf uczucia i doskonałej miłości, która lata całe przetrwała nienaruszona, skończona, nad wszystko silniejsza. Ludzka nędza, nie mogąca znieść doskonałej harmonii, radowała się tym niespodziewanym dysonansem wśród zastygłego już w przestrzeni akordu. I ciepły, sympatyczny prąd szedł ku „gołębnikowi”, w którym widać już było tylko plecy dziewcząt, obciążone jedwabiem staników i połyskujące drabinkami silnie ściągniętych sznurowadeł. Dziewczyny, pochylone ku Heldingowi, całe rozweselone dobrą farsą, jaką baronowej robiły, bawiły się serdecznie, wpatrując w pomarszczoną twarz kochanka Makenowej. Jego długa szyja, po której przesuwano się owe „jabłko Adamowe”, była przedmiotem ich szczególnej obserwacji. Trącały się łokciami, dusząc się ze śmiechu. Ten stary był wspaniały! Usta miał w podkowę i rzadkie włosy, od lewego ucha nagarnięte ku prawemu, Teraz kosmyk jeden odczepił mu się nagle i powiewał jak siwiejące pióro tryumfalnie ponad uchem. Tęgo było nadto. Nusia Dobrojewska schowała się za plecy Nusi Małowiejskiej.

Jeszcze chwila, a byłaby na głos parsknęła śmiechem.

<sup>193</sup>*au fond* (fr.) — właściwie, w gruncie rzeczy. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>*tiens* (fr.) — słuchaj (dosł.: trzymaj). [przypis edytorski]

Tymczasem Holding, na wpeł pijany tym zapachem blondynek, brunetek naokoło niego zebranych, cały zgorączkowany widokiem biustu Nini, błękitnych oczu Lili i dołków naokoło ust księżniczki, odmładzał się w tej atmosferze młodości i nie zwiędniętego ciała, jaką nagle poczuł dokoła siebie.

Starzejąc się razem z Makenową, zapomniał niemal, że są jeszcze na świecie pełne ramiona, długie warkocze i lśniące oczy. Nagle otoczyła go orgia młodości, dziewczęcego wdzięku, dziecinnego prawie szczebiotu. Długi post w zeschniętych ramionach jednej kobiety wyrobił w nim ascetę pozorowego, pod którym drzemał wiecznie błędzący za nowością mężczyzna. Ręce mu drżały, uszy paliły go, całe czerwone na tle żółtej skóry i resztki włosów. Był śmieszny, nędzny, biedny wobec tego flirtu, który zdawał się przedłużać w nieskończoność. Z początku nieśmiały, powoli rozzuchwalał się i jak zbudzony ze snu kilkunastoletniego królewicz, dobywał ze swej pamięci przestarzałe komplementy i dowcipy. Paniutki znajdowały go zajmującym, widział to po ich ożywieniu, wymawiały mu jego odosobnienie się i widoczne unikanie „gołębnika”. Tłumaczył się powagą wieku, lękając się, aby nie zostały tej wzmianki bez zaprzeczenia. Lecz one protestowały gorąco.

— Wiek? Cóż to? Czy jest starcem, aby się wiekiem przed nimi zastawia<sup>195</sup>? — I coraz miłsze, coraz weselsze nacierały, otaczały go, rzucając od czasu do czasu przelotne wejrzenie na Makenową...

— Oh! *ma chère*... co za mina!... spojrzij na Makenową! *elle est verte*<sup>196</sup>!...

---

Teraz już Makenowa uczyła, że pomiędzy Holdingiem a nią otwiera się przepaść. Całe lata wielkiej i gorącej miłości zapadały w przestrzeń, spychane szelestem gołębic skrzydeł i chichotów dziewczęcych. Makenowa instynktem kobiecym odgadywała cały proces obudzenia się Holdinga i zamierała sama z bólu, porównyując swój biust zapadły z przepysznym gorsem Niny, którą widziała dokładnie na tle ciemnoczerwonego obicia, tryumfującą i całą różową w blasku płonących kandelabrow. Te głowy dziewczęce, pochylone, bogate w masy ciemnych lub jasnych warkoczy, te plecy giętkie, proste, impertynenckie, zwartym murem otaczające Holdinga, przedstawiały się w jej oczach jak mur silny, straszny, wznoszący się nagle pomiędzy nią i jej kochankiem. Teraz już nie był od niej daleki, ale ten, który niedawno jeszcze był nią samą, oddzielał się od niej, odchodził, stawał się obcym, ciągnąc za sobą jej potluczone i obolałe serce. Przez chwilę chciała powstać, podejść do fortepianu pod pretekstem przejrzenia nut i wmieszać się w to całe grono, ale czuła na sobie setki spojrzeń i pozostała na miejscu, zdjęta nieśmiałością, gładząc tylko powolnym ruchem pióra swego wachlarza. Nagle jednak zatrzymała rękę, sparaliżowana, z gardłem ściągniętym, z oczyma lez pełnymi, jak zwierzę tropione w legowisku, osaczone psiarnią grającą przyszły tryumf i krwawą radość. Uczuła się starą, brzydką, śmieszną, spodloną. Była przedmiotem szyderstwa tej całej bandy, której przez lat tyle imponowała spokojem swego cudzołóstwa. Miała nóż w sercu i kamień wstępu nad głową. Po raz pierwszy może poczuła, że Holding był tylko jej kochankiem, do którego nie miała żadnego prawa... Uciekał od niej, szedł pomiędzy młodsze, weselsze istoty...

I bez kropli krwi na ustach siedziała zgarbiona, strasznie zmieniona, niemal zgrzybiała w tej niemej rozpacz, którą się dławić zaczynała.

\*

W kilka godzin później Holding w ciszy swego błękitnego pokoju stał przed lustrem i z uśmiechem zadowolenia spoglądał na swą twarz rozjaśnioną.

Tak... bez wątplenia, nie jest jeszcze starym i byłoby szaleństwem z jego strony nie korzystać z tych warunków, które pozwalają mu spędzać od czasu do czasu tak miłe chwile, jak dzisiejsze.

---

<sup>195</sup>zastawiać się (daw.) — zasłaniać się. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>*ma chère*... *elle est verte*!... (fr.) — moja droga... ona jest zielona. [przypis edytorski]



Zapalił kandelabr na kominku i przyglądał się uważnie swej twarzy, oczom, zębom, włosom. Nucił coś pod nosem i postanowił myć się od jutra w benzoesie oraz wprawić sobie trzy przednie zęby.

Przymknął na chwilę oczy i uśmiechnął się radośnie, przypomniawszy sobie biust Niny, oczy Lili i dolki księżniczki. Co za dziewczyny!... *saperlipopette*<sup>197</sup>!... Gdzie on miał oczy, że do tej chwili nie dostrzegł, jakie to cacka są obok niego! Prawda! że wiecznie siedział obok Makenowej. Skrzywił się i wzruszył ramionami. Ta Makenowa zanadto go więzi i przy sobie trzyma!... To dobre było dawniej, ale dziś?... Przy tym zauważył, że się bardzo posunęła i dziś, gdy wychodziła z rautu, miała minę zupełnie niemłodej kobiety. Chciała coś do niego przemówić, ale właśnie Nini i Lili podsunęły się i musiał im wyszukać ich zarzutek. Podając rotundę<sup>198</sup> Nini, dotknął niechcący jej ramienia. Jeszcze teraz ukrop przebiega jego żyły. Myślał, że już jest niezdolny do podobnych wzruszeń... Przy Makenowej nie doznawał nic podobnego. Prawdopodobnie dawniej i ona tak na niego działała... Z latami wszakże przyszło przyzwyczajenie!...

Zaczął rozbierać się powoli, wpatrując w płomienie świec, które odbijały się złotymi gwiazdkami w gładkim tle lustra.

Figlarne są te dziewczęta, miłe i młode! Bodaj to młodość... ożywiła go! Czuje się sam odmłodniałym, odrodzonym!... Nie widzi swej brzydoty, chudości i siwych włosów. Zdaje mu się, że gdyby miał taką młodość świeżą i zdrową ciągle obok siebie, wróciłby do lat dawnych, do gorących namiętności trzydziestoletniego mężczyzny.

I z zagadkowym uśmiechem wciąga na nogi pantofle, dar i pracę Makenowej.

Kto wie jeszcze, jak będzie. Jest niezależny, wolny, jeszcze młody, powodzenie ma u panien niemałe, może się zdecydować... ożeni...

---

W panińskich łóżeckach pod niebieskimi, różowymi i białymi kołderkami leżą „gołąbki”, otulone, z włosami gładko splecionymi z tyłu, z przodu zakręconymi w papiloty. Niebieskie, różowe lub zielone *veilleuzy*<sup>199</sup> palą się przed obrazkami albo statuetkami Dziewicy. Panińki zasypiają spokojnie, wesoło, rozbawione jeszcze tą farsą, jaką urządziły Makenowej i staremu Hellingowi. Uśmiech rozjaśnia ich wpółsenne buzie, gdy myślą o kosmyku chwiejącym się nad uchem i o tym, że Helling wziął ten flirt zbiorowy na serio, a Makenowa z przestrachu i zazdrości pozieleniała.

I doskonale w swym okrucieństwie, spokojne w tej zbrodni, jaką wyrządziły, rozrywając silne jak śmierć uczucie, zasypiają jedno po drugiej, gołąbki białe, niewinne, łagodne w mdławych światelkach, składając na piersiach ręce gestem pensjonarek śpiących w dortoirach Sacré-Coeur, gestem aniołów otaczających fałdy błękitnego płaszcza przezroczyściej wśród chmur Madonny.

## Kundel

Cóż u diabła starego? Dlaczegoż nie mam i ja zrobić kariery? — zawołała Resia, ciskając obszarpaną książkę na ziemię.

Zerwała się z obdartej sofy, a pociągnawszy falbaną szlafroka kawał sprężyny i pęk siana, poskoczyła ku oknu.

Ładnie tam było na dworze, choć trochę jeszcze chłodno. Resia nie uczesana głowę wytknęła przez okno, a wiatr wiosenny rozwiewał jej kręte, czarne włosy. Ona od czasu do czasu dmucha silnie, chcąc odpędzić natrętne kosmyki, które kręciły się koło jej wybladłych warg lub czepiały się długich rzęs i wzrok zasłaniały.

Była to jeszcze młoda dziewczyna, pysznie zbudowana, brudna i pokryta piegami. Stanowiła najwytworniejszy okaz wesołych cór miasta — i odznaczała się szczytną głupotą, dobrym sercem i zamiłowaniem do pieczonej gęsi.

Lubiła przy tym pieniądze (była Żydówką), nowe buciki, karmelki i zwykle w zimie o szarej godzinie piekła sobie na trzech patyczkach jabłka, kiwając się i mruczając jakąś

<sup>197</sup>*saperlipopette* (fr.) — do kaduka! [przypis edytorski]

<sup>198</sup>*rotunda* — płaszcz damski o wykroju w kształcie koła, popularny w XIX w. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>*veilleuza* — (z fr. *veilleuse*) lampka nocna. [przypis edytorski]

monotonną piosenkę. Umiała czytać, lecz za to nie umiała pisać, jadła chleb ze szmalcem na obiad, a potem, nie umywszy rąk, nacierała się „chyprem”.

Palila papierosy i czesała się raz na tydzień, była antysemitką w całym słowa znaczeniu, a na kwestię emancypacji kobiet nie zapatrywała się wcale.

Dnie całe leżała na swojej sofie, paląc papierosy, dopiero z nadejściem zmroku budziła się ze swej bezczynności.

Wstawała wtedy, mrużąc i plując po kątach i szczoteczką od zębów czyściła buciki, a bielila twarz kredą w braku pudru. Potem — usiadłszy przy oknie, czekała na... Kundla.

\*

Kundel ten był obecnie jej wielką miłością. Był to mały, potwornej brzydoty chłopak, syn jednego ze znaczniejszych urzędników miasta. Przysłowiowo brzydki, był dziwnym okazem jakiejś brutalnej zuchwałości i bezczelnej arogancji, którymi w domowym zaciszu uzyskał słodkie miano... Kundla. Wielka jego głowa, pokryta rozwichrzoną, olbrzymią czupryną, miała kształt prawie czworograniasty; wyraz małych oczek i ust wydętych, obrosłych sterczącym, rudawym włosem, znamionował upór, przewrotny spryt i jakieś niczym nie ukrócone zuchwalstwo. Trzymał zwykle ręce w kieszeniach od spodni i nosił małoruskie koszule, najczęściej rozpięte na piersiach. Mówił powoli, zacinając się na syczących spółgłoskach i miał zupełnie odrębny sposób wyrażania się, który trwogą przejmował słuchaczy.

W domu był postrachem matki i siostr, dwóch młodych dziewczynek, słodkich i nieśmiałych, tulących się do kątów, gdy Kundel — podczas nieobecności ojca — zjawiał się w salonie lub w jadalni. Matka sama podnosiła ku niemu błagalnie oczy, w których niezadko przewijała się łza...

Lecz Kundel urągał wszystkiemu. Mówił, że jest „wyższy nad świat cały”, i rozwalając się na kanapie przetrwalał, ziewając, resztę nocnych pohulanek i pochłoniętego piwa. Zrodzony z rodziców szczytnie „bürgerskich<sup>200</sup>” — według jego słów własnych, nie wiadomo skąd rozwinął w sobie naturę nocnego włóczęgi i junakierię bursza<sup>201</sup>. Całe dnie włóczył się w przydeptanych pantoflach po czyściuchnych pokojach, wytrząsając popiół z fajki na dywany lub fotele. Gdy mu ktokolwiek zrobił jaką uwagę, odpowiadał chrapliwym głosem:

— Odsuń się, bo cię psom oddam na pożarcie, a krwią twoją drzwi mego przedpokoju pomalować każę!

Miał lat dwadzieścia i skończył dwie klasy. Nie było siły ludzkiej, która by go skłoniła do powrotu do szkół. Uczył się „prywatnie” — doprowadzając zwykle nauczycieli do rozpaczki lub do dzielenia z nim nocnej rozpusty.

Życie nie miało dlań już żadnych tajemnic, zakosztował wszystkiego i od lat pięciu czepiał się spódnicy kobiecych, pełen przewrotnej żądzki, z której sobie doskonałą zdawał sprawę.

Doszedłszy do lat dwudziestu, był przeżytym i znudzonym starcem, gdy wracał do domu nad ranem, twarz jego miała odcień ziemisty, a oczy czerwone i spuchłe.

Ręce mu drżały, kąciki ust miał wiecznie zaślinione. Gdy siadał do obiadu, nie umyły, nie uczesany, i wyciągał trzęsące się palce po wino lub cytrynę, cieszył się widocznym z nerwowego drżenia, które mu ramię targało.

— Łapcie mi się trzęsą! Co? — pytał, spoglądając tryumfalnie po obecnych, którzy wzruszając ramionami, zdawali się zapominać o jego obecności.

Przyzwyczajono się bowiem w domu do tego Kundla — na pół pijanego, uważającego jadalnię rodziców za przedłużenie lokalu knajpowego. Jeden tylko ojciec umiał poskromić tę ohydłą zuchwałość. Przy nim Kundel zapinał na piersiach koszulę, schodził do obiadu o właściwej porze i zamieniał tradycyjne pantofle na głębokie kalosze. Gdy spodziewano się gości, Kundel obcinał paznokcie u lewej ręki i usiłował zaprowadzić porządek we włosach. Był to rozkaz ojca, rozkaz wypowiedziany dobitnie urywanym suchym tonem.

<sup>200</sup>bürgerski (z niem.) — mieszczański. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>bursz (z niem.) — członek korporacji studenckiej. [przypis edytorski]

Głos ten oddziaływał na chłopca przynajmniej drobiazgowo i pozornie.

— Stary ma fajgle, trzeba go nabrać!

A „nabierania” tego, więcej aniżeli zwykłej zuchwałości, bała się szczególnie matka.

Kundel bowiem, znając słabą stronę ojca, gdy zbyt wiele narobił długów i za często był proszony do cyrkułu<sup>202</sup> — stawał się nagle melancholijny i odczuwał potrzebę poprawy. Pragnął wtedy czystej bielizny, mydła, książek naukowych i trochę szacunku ludzkiego.

Wchodził do pokoju ojca na palcach, ucierał nos chustką, sługom pozwalał przejść spokojnie, a siostry głaskał po głowie, nazywając je pieściznami „małpisonami”.

Dozwał sprzątać w swoim pokoju i przewracać materace na drugą stronę, fajkę ostentacyjnie zawieszał na gwoźdźniku i palił damskie papierosy, mówił cieniuchnym głosem, dobierając słów, a oglądając lampę deklarował, że „już się wszystko skończyło i on, Dyńdzio, zabiera się do pracy...”

Ojciec zwykle z początku sceptycznym wzrokiem śledził zmianę w postępowaniu syna. Powoli jednak dawał się ludzi nadziei. Kto wie — może wreszcie coś się zbudziło w tej głowie mózgu pozbawionej, w tym sercu zda się zatopionym w kale rozpustnych uciech.

— Patrz, duszko — mówił do żony, która z robótką w rękę dozorowała zabawy dwóch dziewczynek — ot, zdaje się, że tam na górze jakiś porządek panować zaczyna...

Dyńdzio zajmował dwie facjatki<sup>203</sup> położone na drugim piętrze i domowi, chcąc unikać wymówienia imienia najstarszego z rodu, nazywali *locum*<sup>204</sup> Kundla „górami”.

Matka jednak wzruszała ramionami.

— Pewnie coś nabroił lub chce coś uzyskać — mówiła smutnym głosem.

— No!... kto wie! Kto wie! — protestował ojciec — może się wreszcie upamięta i przestanie zatruwać nam życie.

Matce łzy stawały w oczach.

— Daj Boże! — odpowiadała wzdychając.

Lecz nie ludziła się wcale.

Wiedziała, co znaczy to „upamiętanie”. Wszakże i ona niejednokrotnie została w ten sposób przez syna zwiedziona. Na wskrós religijna, mająca w sobie ślełą wiarę i poszanowanie praktyk religijnych, konfesionalem, kazaniem chciała wpłynąć na rozhukanego chłopca. Kundel od razu zrozumiał, że z tej naiwnej i pełnej adoracji duszy — może wyciągnąć dla siebie korzyści.

I powoli wprowadził system dziwny, a przyjęty przez matkę, która w żarliwości swojej stała się źródłem wyzysku.

Każdą wysłuchaną mszę, każdą spowiedź, otrzymane rozgrzeszenie, odprawioną pokutę, każdą bytność na kazaniu — opłacała pewną umówioną kwotą pieniędzy.

Gdy Kundel zanurzył swój rozczochrany łeb w cienie konfesjonu, biedna kobieta padała na kolana, modląc się żarliwie o „oświecenie nieszczęśliwego”.

Lecz ten „nieszczęśliwy”, plotąc księdzu niestworzone brednie, wyjawiając wątpliwości, od których włosy spowiednikowi stawały po prostu na głowie, obliczał w myśli, ile to nocy bezsennych za otrzymane od matki pieniądze w murach knajpy przepędzi.

I długo włóczył się tak po kościołach, będąc postrachem księży, którzy zobaczywszy przystępującego do krtek Kundla, czuli krew bijącą im do głowy. Na mszach porannych widzieć go można było drzemającego obok rozmodlonej matki, z oczyma zaczerwienionymi jak u królika, z rękami brudnymi i koszulą pomiętą.

Czasem, wpadłszy w dobry humor, „fiksował jaką zamodloną dewotkę” lub gasił świece defilującemu bractwu.

Wreszcie matka zrozumiała, że każda spowiedź Kundla, każda msza jest dla chłopca tylko źródłem wyzysku, a pieniądze otrzymywane dają mu możliwość pogrążania się w coraz większej rozpuszcie. Zamknęła kieszeń i od tej chwili, gdy Kundel zapowiadał poprawę, wiedziała, czego się trzymać w takich razach.

Ojciec ludził się jeszcze. Gdy Dyńdzio z wielką pompą wchodził do jego kancelarii i zabierał libry<sup>205</sup> papieru, kilka piór i pakę bibuły, ojciec pytał go, w jakim celu bierze te foliały.

<sup>202</sup>cyrkuł — posterunek policji w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>facjatka — pokój na poddaszu. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>locum (z łac.) — mieszkanie. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>libra — sto arkuszy papieru. [przypis edytorski]

— Idę pracować — będę robić notatki z *Naukowych podstaw krytyki literackiej* Hennequina<sup>206</sup> lub ocenę którą z tragedii Sofoklesa — odpowiadał Kundel, stawiając ostrożnie nogi obute w stare kalosze, które jak dwie plamy rozlewały się na jasnym tle dywanu.

— Sofoklesa? — pytał ojciec.

— Hm!... tak, jeśli będą tego warte. Nie wiem jeszcze. Być może, iż sam coś napiszę, bo coś mi się w głowie... kielbasi! Zresztą, pracować będę do rana. Dobranoc ojcule!

I wychodził powłócząc nogami, a zamknąwszy drzwi za sobą, uśmiechał się złośliwie:

— Stary jest wzięty... pojutrze można się lansować — a beknie, i to dobrze!

\*

Lecz Kundel miał także w głębi duszy swojej kącik poetyczny, w którym rosła błękitna niezabudka sentymentalizmu. Kundel był kochliwy i jak wszyscy „przeżyci” — w miłościach swoich dążył do ideału. Ideał był to zupełnie odrębny od ideału Danta i Petrarci, lecz mimo to nie przestał być ideałem, w którym Dyńdzio czerpał natchnienie i siłę do życia. Dyńdzio cieszył się takim wstrętem mieszkanek miasteczka, że dość było dla kobiety ujrzeć na ulicy Kundla, aby mieć humor popsuty na dzień cały.

Kundel nie martwił się tym wcale. Nienawidził kobiet dobrze ubranych i jako tako wychowanych. W knajpie po opiciu się odpowiednią ilością piwa — brutalnie zdzierał z każdej „damy” kryjące obsłony i z cynizmem najwyższym obrzucał ją wyrazami pogardy i szyderstwa. Dla niego istniała tylko natura w postaci rozczochranych dziewczyn, którym jego małoruska haftowana koszula imponowała, a plugawy żargon przypominał ciemne zaułki, wśród jakich młodość spędziły.

Do takich więc „ideałów” Dyńdzio pisywał ody, maczając palec w piwie i kreśląc słowa na marmurze stołu. Gdy blade światło kładł im wszystkim na czoła zielonawe, trupie tony — Kundel deklamował:

Niekiedy blada Wenus z mławym blaskiem w oku  
Schodzi tu na ziemię w latarnianym zmroku.

Dziewczyny zanosily się od śmiechu.

Ten Kundel! A niechże go! A to je wyzywał! Lecz on przygasłymi oczami spoglądał na nie jakby ze smutkiem i sącząc z kufła resztki piwa, bełkotał:

I uniesioną suknią wpół bezmyślnie szasta,  
Ukazując światu brudnych pończoch parę...

Zwykle Dyńdzio kochał którąkolwiek z tych dziewczyn, kochał po swojemu, tyraniując i maltretując bez litości. Gdy przyszła kolej na Resię, Kundel odmienił swój system postępowania. Resia przypadła mu do gustu i cygańska natura kobiety złała się wybornie z brutalnym usposobieniem chłopca. Podbita jego trywialną, a chwilami znów sentymentalną namiętnością, Resia zachwycała się Dyńdziem i dozwalała mu na wszelkie wybryki.

Były chwile, w których Kundel nazywał Resię „nikczemną Żydówką” — po to, aby po kwadransie nadawać jej miano Fryny<sup>207</sup> i wycinać z jej wykoszlawionych bucików greckie sandały. Po czym mówił jej wiele o potrzebie kształcenia umysłu i obiecywał dać jej nauczyciela angielskiego, gimnastyki i gry na cytrze. Najczęściej następowała później mała nauczka moralna, w której Kundel wykladał zdziwionej i drapiącej się w łydkę Resi, że są pewne warunki, z którymi szanująca swą godność kobieta liczyć się powinna, a właśnie ona zdaje się urągać społeczeństwu i wskutek tego może doznać w przyszłości zmartwień i upokorzeń. On, Dyńdzio — jest wprawdzie wolny od przesądów i bez kwestii „szanuje” w niej kobietę, ale właśnie dlatego pragnie, aby cały świat ją szanował. Gdy Resia opornie przyjmowała podobne słowa i w trakcie podobnej perory oddawała się sportowi dłubania szpilką w uchu, Kundel dla poparcia swych argumentów uderzył ją pięścią w głowę, co wywołało oczekiwany skutek.

<sup>206</sup> *Hennequin, Emil* (zm. 1894) — francuski krytyk literacki. [przypis edytorski]

<sup>207</sup> *Fryne* — słynna z piękności kurtyzana grecka z IV w. p.n.e. [przypis edytorski]

Kundel obdarzał Resię prezentami i od czasu do czasu znosił do mieszkania swej ulubionej najdziwniejsze przedmioty pochwyte na kredyt po sklepach, w których przez wzgląd na rodziców kupcy nie śmieli Dyńdziowi czegokolwiek odmówić. W ten sposób Resia posiadała siedem par szelek, cztery pary kaloszy, trzy spluwaczki, cztery brzytwy, jedenaście pędzli do rozrabiania mydła i olbrzymi teleskop. Żywiła się przeważnie sardynkami, rodzynkami, paloną kawą, pieprzem tureckim i musztardą. Nauczyła się palić papierosy, a nawet żuć tytoń jak stary turkos<sup>208</sup>.

Tego rodzaju wspaniałe „utrzymanie” zaczęło powoli nie wystarczać Resi. Kundel imponował jej ciągle — zapewne — a teraz, kiedy wymyślał światłocienie i opowiadał, że użyje ją do „pleinairu<sup>209</sup>”, od którego świat „zdesenieje”, Resia zapominała o pieczeniu jabłek i cała zasłuchana kuciała u kolan Dyńdzia wyciągniętego niedbale na kosztliwym krzeselku. Ale... Dyńdzio od pewnego czasu przynosił już same słoiki musztardy, a w dzień urodzin Resi obdarzył ją męskim siodłem, więc dziewczyna powoli zaczynała się niecierpliwić. W dodatku Dyńdzio, w celu rozświetlenia umysłu swej Fryne i uczynienia z niej Lais<sup>210</sup> miasta — przynosił znudzonej dziewczynie tłumaczenia rozmaitych francuskich romansów, w których imaginacja autorów wraz z potwornością fabuły walczyła o lepsze. Resia czytała te opisy wonnych buduarów, wypikowanych atlasem, tonących w półcieniu sypialni, nocnych lamp kryształowych, migocących w przestrzeni.

Dyńdzio dopełniał reszty. Wieczorem puszczał wodze swej sentymentalności i tak we dwoje wśród brudu, porozlewanej wody, połamanych grzebieni i dziurawych krzesel, galopowali myślą w sferę woni, połysku jedwabiu i bladych barw abażurów.

Wreszcie doszło do takiego naprężenia sytuacji, iż Resia, zjadłszy dwa słoiki musztardy i trzy stare bułki, włożywszy spódnicę praną przed pięcioma miesiącami — zeskoczyła z sofy i stanąwszy w lufciku, powiedziała z mocą:

— Muszę zrobić karierę!...

\*

Kiedy te słowa posłyszał wieczorem, Kundel roztworzył szeroko oczy i wyduł wargi.

— Tego ci się zachciewa? — zapytał.

Lecz Resia dnia tego nie była usposobioną do żartów.

Zmarszczyła brwi, zatopiła popękane z odmrożenia ręce w rozczochrane włosy i nie odpowiedziała ani słowa.

— Cóżes się tak nadęła jak pluskwa w maśle? — pytał Dyńdzio.

Milczenie.

Dyńdzio począł się niecierpliwić.

— Chcesz zrobić karierę, a cóż to... mała kariera, jaką masz teraz?

Resia wykrzywiła usta.

— Ojej!... — wyrzekła wreszcie — co mi z tego. Mieszkam jak śledziarka... a czym żyję, to już wstyd powiedzieć...

Dyńdzio machnął ręką.

— To wszystko marność, widzisz, serce to grunt...

Resia zamilkła i znów kiwała się długą chwilę, wpatrzona w odrapane ściany swego pokoju.

— Chciałabym — zaczęła znów powoli — chciałabym mieć dywan na podłodze i atlasową koldrę, i samowar na szafie, i komodę, i firanki, i taką lampę u sufitu z kolorowym szkiełkiem. Aj, aj, o!... to bym chciała mieć!...

CMoknęła ustami i znów zakołysała się, obejmując nagimi ramionami<sup>211</sup> swe kolana ledwo okryte cienką spódnicą.

Słaby blask płonącej na stoliku świeczki żółtawą linią oznaczał jej kontury. Miała w tej niedbalej pozie, w tym skurczu całej postaci coś z owych Żydówek tkwiących w piasku pustynnym.

— Och, ty puchu mamy! — wyrzekł wreszcie z pogardą.

<sup>208</sup>turkos (daw.) — Algierczyk odbywający służbę w wojsku francuskim. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>plein air (fr.) — malowanie krajobrazu z natury. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>Lais — imię to nosiły liczne greckie kurtyzany. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>ramiony — dziś popr. forma N.lm: ramionami. [przypis edytorski]

Resia wzruszyła ramionami.

— Żebyś ja puchem była — to dawno bym z siebie pierzynę zrobiła — wyrzekła sentymentalnie.

— Więc bogactw ci się zachciewa, ty kuku żydowski? — ciągnął Dyńdzio — bogactw? Wschodniego zbytku? Nie wystarczy ci skromny dobrobyt, jakim cię otoczyłem? Dobrze, poznasz więc udrękę bogactwa! Pęknię w czternaście kawałków, jeśli od dziś za miesiąc, ty cholero azjatycka, nie będziesz mieć tu dywanów... dzieł sztuki i twego samowara bydlęcego na szafie!...

Resia spojrzała na Dyńdzia z niedowierzaniem.

— Diabeł wie, czy to będzie, a tymczasem może być jutro mi coś przysłał do zjedzenia, bo ta musztarda już mi łokciem wylała!...

— Cicho, córo Izraela! Jutro ci przyślę trzy funty mydła, bo ojciec mi kredę<sup>212</sup> na mydło otwiera. Pojutrze u nas goście, więc powiadają, że się umyć trzeba...

Resia przysunęła się do krzesła Dyńdzia, nie wstając z klęczek.

— Ty i tak ładny, Kundlu! — wyrzekła, mrużąc oczy i przeginając się jak kotka.

— To się wie! — odparł Kundel, wyciągając swe brudne ręce i kładąc je na wspaniałych ramionach klęczącej u jego stóp Żydówki.

\*

W miesiąc później rodzice Kundla wyjeżdżali na letnie mieszkanie.

W domu pozostawał Dyńdzio i stary stróż.

Ojciec po dwutygodniowym na wsi odpoczynku miał powrócić do miasta i objąć nadal swe zajęcia biurowe.

Rano odjechali wszyscy, odprowadzeni nawet na pociąg przez Dyńdzia, który od tygodnia zachowywał się przyzwoicie, prawie bez zarzutu.

Nawet matka zaczęła się ludzi możliwością poprawy. Chciała mu na samym wyjeździe zaproponować spowiedź, ale cofnęła się i postanowiła czekać.

Kto wie, co się w tej mózgownicy gnieździło.

Za to ojciec dał się unieść złudzeniu. Przestał nazywać syna „Kundlem”, a natomiast mówił dobitnie „Dionizy”! — lub „synu”! Dał mu trochę pieniędzy, otworzył kredyt u krawca na dwa garnitury letnie i na wyraźne żądanie Dyńdzia sprawił mu pół tuzi- na koszul z poczwórnymi gorsami. Lecz zdziwienie całego domu dobiegło szczytu, gdy Dyńdzio zażądał fularowych<sup>213</sup> chustek do nosa, szkockich skarpetek, *Encyklopedii Orgel- branda*<sup>214</sup> i pasty do zębów. Czym prędzej udzielono mu żądanych przedmiotów i Kundel ostentacyjnie wycierał teraz nos w olbrzymie kolorowe fułary, które zawsze wyglądały mu ze wszystkich kieszeni ubrania.

Skarpetki nosił także — wprawdzie w kieszeni, ale to był już stanowczy zwrot ku lepszemu, i gdy pociąg ruszył, ojciec wychylił się raz jeszcze, aby spojrzeć na Kundla stojącego przykładowie na peronie pomiędzy posługaczami i urzędnikami kolejowymi.

— Stoi, a nawet zdjął kapelusz i ku nam powiewa!... O!... teraz wyciągnął chustkę i ciągle macha!... — mówił biedny ojciec do cisnącej się gromadki — doprawdy wygląda jak porządny człowiek.

— Kto wie! — szepnęła matka — może Bóg go wreszcie raczy... — i ręką opiętą w ciemną rękawiczkę kreśliła w powietrzu znak krzyża... ot... matka!

Tymczasem Dyńdzio, postawszy jeszcze chwilę na dworcu, schował płachtę do kieszeni i szybko skierował się ku domowi.

Wszedłszy do mieszkania, zamknął drzwi na klucz i zaczął systematycznie zdejmować ze ścian obrazy. Zdjęte składał na ziemi jedne na drugich, nie zważając, że ramy wpijają się kantami swymi w płótna i kaleczą cenne oryginały i dobre kopie skrzętnie przez ojca zbierane.

Potem przyszła kolej na dywany.

<sup>212</sup>*kreda* (daw., pot.) — kredyt. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>*fularowy* — jedwabny. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>*Orgelbrand, Samuel* (1810–1868) — polski wydawca i księgarz, znany z publikacji *Encyklopedii powszechnej*. [przypis edytorski]

W gabinecie ojca było kilka wschodnich makat, miękkich, o wytwornych gustownych odcieniach. Makaty te Dyńdzio zerwał ze ścian i nie składając zwałił na obrazy. Po czym rzucił się ku portierom, oberwał je wraz ze strzałami, na których były zawieszane. Jedna ze strzał spadając uderzyła go boleśnie w głowę, lecz on potarł tylko czuprynę i rzucił się do łóżek zdzierać kołdry i poduszki.

Z toaletki matki porwał dwa kryształowe flakony, weneckie lustro, z małego saloniku japońskie maski, sztylety i dwa wypchane ibisy. Z kuchni zwłókł durszlak, patelnię, wałek do ciasta, samowar olbrzymi, mogący pomieścić do czterdziestu filiżanek, worek do piasku, kawał wosku od podłóg i dwie żelazne dusze<sup>215</sup>. Pomieszał to wszystko z fajkami ojca, poduszką haftowaną, dziełem rąk siostr, z koszykiem do robót matki, gustowną szyfonierką, zerwaną ze ściany, i malowaną paterą na bilety wizytowe.

Dopełniwszy tego dzieła, zwaliwszy jeszcze na całą kupę tych przedmiotów cztery wyzłacane krzeselka, wschodnie lustra, dwa pufy fortepianowe, prześliczną lampę, biuścik śmiejącego się dziecka, świecznik mosiężny żydowski i killkanaście sztuk srebra stołowego, usiadł Dyńdzio na tym wszystkim i pogwizdując oczekiwał zmroku.

\*

Gdy zmrok nadszedł, dwóch wynajętych posłańców przeniosło na tragach wszystkie te przedmioty do mieszkania Resi. Trągi eskortował Kundel, kroczący z dumą i spoglądający z góry na przechodzących. Wszyscy usuwali mu się z drogi, tylko stary stróż mrucał otwierając bramę, lecz przed podniesioną laską panicza schował się czym prędzej do swej izdebki.

Posłańcy śmieli się, dochodząc do mieszkania Żydówki. Znali oni dobrze Kundla i wiedzieli, że „panicz znów coś ukuł”.

Zapłaceni z góry, wrzucili wszystkie sprzęty do pokoju i życząc „dobrej nocy” — odeszli, śmiejąc się bezustannie.

Kundel zabrał się teraz do urządzenia pokoju Resi, która otworzywszy szeroko oczy, przykucnęła na ziemi, oszołomiona widokiem tylu nieznanymi dla niej przedmiotów.

Wreszcie, ośmielając się powoli, wyciągnęła spomiędzy portier poduszki i oszalała z radości, poczęła je ciskać po pokoju.

— Z puchu! aj, aj!... z puchu! — wołała, gniotąc je w rękę i zanurzając twarz w szleszczącą jedwabiem pościel.

Na widok samowaru chwilę zamilkła, po czym podszedłszy ku niemu, z szacunkiem przyklękła i twarz swą rozpaloną do chłodnej blachy przykładając poczęła.

— Same księżne takie nie mają! — szeptała drżącym ze wzruszenia głosem.

Tymczasem Dyńdzio na brudnych, odrapanych ścianach rozwieszał obrazy, wbijając z energią przyniesione w kieszeni haki. W braku młotka posługiwał się marmurowym przyciskiem przedstawiającym uśpioną Dianę. W mdłym blasku świecy zamajaczyła *Elegia* Siemiradzkiego<sup>216</sup>, energiczna *Głowa starca* Kotsisa<sup>217</sup> i zabieliło się ciało *Najady* Hennera<sup>218</sup>.

Ostatni obraz zwrócił uwagę Resi.

— Goła! — wyszeptała, chichocząc się cicho.

Lecz Dyńdzio pracował ciągle.

Portiery wisiały krzywo, zakrywając drzwi wejściowe. Połowa tkaniny leżała na ziemi, maczając się w strudze wody, płynącej z rozbitego dzbanka.

Na podłodze Kundel porozrzucił makaty, a rozsypane po ziemi węgle trzeszczały za każdym krokiem. Stara sofa została nakryta gobelinem, przedstawiającym Pallas Atenę, a złożone krzeselka stanęły dokoła stołu pokrytego batystową kapą ściągniętą z łóżka jednej z siostrzyczek.

Durszlak, patelnię, wałek do ciasta — Resia poustawiała na komodzie wraz z flakonikami kryształowymi i weneckim lustrem.

<sup>215</sup>dusza — kawałek żelaza, po rozgrzaniu wkładany do żelazka. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>Siemiradzki, Henryk (1843–1902) — malarz polski, mieszkający w Rzymie, tematy do swych obrazów czerpiący ze starożytności greckiej i rzymskiej. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>Kotsis, Aleksander (1836–1877) — malarz polski, chętnie podejmujący tematy ludowe. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>Henner, Jean Jacques (1829–1905) — malarz francuski, naśladowca Tycjana. [przypis edytorski]

Zbytkowne wydanie *Pana Tadeusza* poszło dla<sup>219</sup> braku miejsca pod szafę. Ten sam los spotkał wyborną kopię z Ary Scheffera<sup>220</sup> i śliczną broń gallo-romańską.

Wreszcie na łóżko Resi rzucono poduszki oszyte cienką, nicianą koronką i na ciemnym z brudu prześcieradle rozłożono atlasową pąsową koldrę — jeszcze wyprawną matczyną.

Wreszcie Kundel zatarł ręce i czując się znudzony, siadł z nogami na sofce, znacząc ślady błota na twarzy Pallady.

— Masz... coś chciała — wyrzekł, dobywając z kieszeni fajkę i zapalając ją ze smakiem.

A Resia, leżąc na ziemi z włosami rozczochranymi, z policzkami rozpalonymi, tarzala się wśród makat, dotykając co chwila ręką samowaru i żydowskiego świecznika, który o mało ją nie wprawił w szaleństwo.

— Aj! aj!... takie bogactwa!... — mruzczała cmokając.

\*

W trzy tygodnie później inna odbywała się scena.

Ojciec Dyńdzia, powróciwszy do miasta, z najwyższym przerażeniem dostrzegł spustoszenia poczynione w mieszkaniu. Co więcej — Kundel od chwili powrotu ojca wcale się w domu nie pokazał. Zawezwana telegraficznie matka przyjechała i z pomocą stróża i owych posłańców odkryła miejsce, w którym mieściły się wyniesione z mieszkania przedmioty. Również domyślano się, że tam, a nie gdzie indziej kryje się zapewne Kundel, obawiając się skutków swego zuchwalstwa.

Rozpoczęło się parlamentowanie.

Kundel, zaatakowany listem ojca, zagroził w razie użycia środków represyjnych strzeżeniem sobie w łeb.

Serce rodziców zadygotało, postanowiono obniżyć kamerton i matka zaproponowała listownie ugodę pokojową.

Kundel odpowiedział zimno i spokojnie, że po głębokim namyśle przychodzi do przekonania, iż rodzice nigdy nie zechcą go uważać za dojrzałego mężczyznę, który wie, co robi i za każdy swój krok przed Bogiem i honorem odpowie. Że znudzony bezczynnością, powróciłby może na łono rodziny, ale tylko w tym razie, jeśli zapewniona mu zostanie stała miesięczna renta i za zwrócenie zabranych przedmiotów pewna suma pieniężna.

Kilka dni ciągnęły się te pertraktacje pokojowe, a w miarę czasu rosły pretensje i zuchwalstwa Kundla. Matka płakała po kątach, a ojciec targał wąsy, patrząc na opustoszałe ściany, w których tkwiły gdzieniegdzie haki lub zwieszały się porwane liny.

Wreszcie dnia jednego zajechała z hukiem przed dom dorożka i wysiadł z niej Kundel, rozczochrany, obdarty, wychudły. Na samym wstępie uderzył w głowę stróża, który go zdradził i wyjąwszy z dorożki *Elegię*, niebieską szklaną miednicę i potrząsając włosami, które w przeciągu tych tygodni doszły do potwornych rozmiarów, wyrzekł:

— Jestem! Zrobiłem, co mi nakazano. Ponieważ jednak na tym wszystkim ucierpiała najwięcej szacunku godna kobieta — muszę wynagrodzić jej krzywdę i prawdopodobnie się z nią... ożenię!

A spojrzawszy tryumfalnie na zgębionych tymi słowy rodziców, wyszedł powłócząc nogami i pakując ręce w kieszenie.

<sup>219</sup> *dla* (daw.) — z powodu. [przypis edytorski]

<sup>220</sup> *Scheffer, Ary* (1795–1858) — malarz francuski, przedstawiciel romantyzmu, autor obrazów ilustrujących dzieła Goethego, portrecista. [przypis edytorski]



---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zapolska-menazeria-ludzka>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, *Menażeria ludzka*, Kantor Wydawniczy SAWW, Poznań 1994. Gabriela Zapolska, *Nowele*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1958.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: [monkeywing@Flickr](mailto:monkeywing@Flickr), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-1074-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do **Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).